

SYRENA – NAJDŁUŻEJ PRODUKOWANE POLSKIE AUTO

JAK GWIAZDY SPORTU WIAŁY Z PRL

PZPR



POWSTANIE WARSZAWSKIE ZAPOWIADAŁY KOLEJKI DO KONFESJONAŁÓW

Nr 09–10 (112–113)
WRZESIEŃ–PAŹDZIERNIK 2022
CENA: 11,90 zł (w tym 8% VAT)

wSIECI

HISTORII

MAGAZYN O POLSCE, HISTORII I KULTURZE

POMYSŁY NA POLSKI KAPITAŁ – LIBERALIZM CZY ETATYZM?

UCIECZKA PRZED BIEDĄ

INDEKS 297127 ISSN 2300-6803

NAJTANIEJ

I Z PREZENTEM!

ROCZNA PRENUMERATA PAKIETU:

tygodnik SIECI
+ magazyn wSIECI HISTORII
ponad **38% taniej**
i zawsze z atrakcyjną
książką w prezencie



ZAMÓW JUŻ DZIŚ!

DARMOWA DOSTAWA PRENUMERATY WPROST DO TWOJEJ SKRZYNKI

tel. 22 616 36 00 | prenumerata@fratria.pl
www.wsieciprawdy.pl/prenumerata

eprasa.pl e7783acae2

STRAŻNICY PAMIĘCI

Zbliżała się okrągła, 30. rocznica wybuchu II wojny światowej. Pod datą 28 sierpnia 1969 r. prymas Stefan Wyszyński zanotował w „Pro memoria": „Wyjazd z Bp [Bronisławem] Dąbrowskim i Ks. [Władysławem] Padaczem do Łomży. Całą drogę omawiamy sprawy na pograniczu Kościół–Państwo. Głównie sprawę listu na 30-lecie wojny światowej, z którego USW [Urząd ds. Wyznań] nie jest zadowolony. Nie znajdują potępienia hitleryzmu. – A sprawa najazdu ZSRR – Mołotow – Ribbentrop? List Episkopatu nie może zawierać fałszu historycznego. I dlatego mówi się o najeźdźcach". Próba cenzorskiej interwencji, by zawęzić odpowiedzialność za wybuch wojny do „hitlerowców'" – po powstaniu NRD komuniści unikali także używania słowa „Niemców" – nie powiodła się. Prymas nie zamierzał pozostawiać złudzeń komunistom, dowodząc, że Episkopat Polski stanowi gwarancję pamięci o rzeczywistej historii Polski, w tym odpowiedzialności zarówno III Rzeszy, jak i ZSRS za wybuch wojny, która pochłonęła blisko 60 000 000 ofiar na całym świecie.

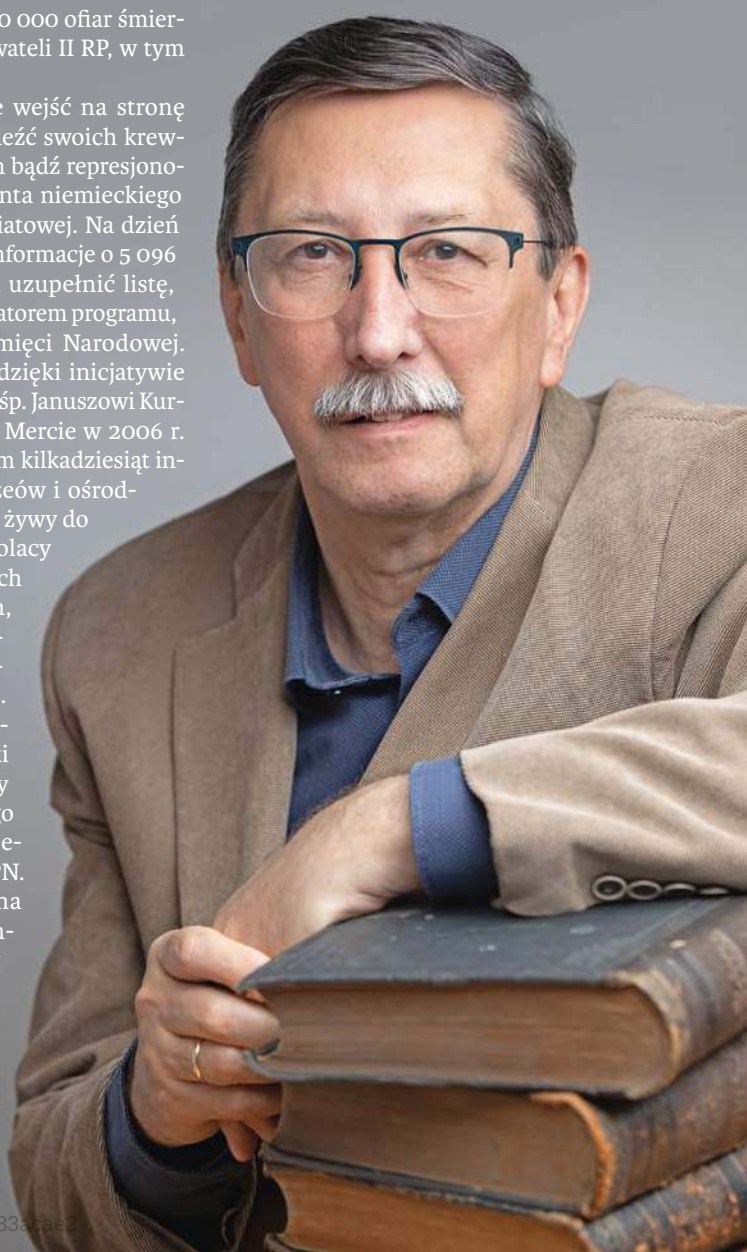
Dziś nie ma już komunizmu i, podobno, komunistów. Jednak nadal potrzeba nam strażników pamięci, na miarę Prymasa Tysiąclecia. Żyjemy bowiem w czasach, w których manipuluje się historią. W przestrzeni publicznej funkcjonują „naziści", a zabrakło Niemców. Nie ma ZSRS i stalinowskiej propagandy, ale nadal Rosja putinowska podkreśla „wyzwoleńczą rolę Armii Czerwonej w walce z faszyzmem". Rolą strażników pamięci, w tym nauczycieli, którzy od września wraz z uczniami powrócą do szkół, jest krzewienie wiedzy o najważniejszych wydarzeniach z historii Polski. Pomocą stanie się zapewne nowy przedmiot – historia i teraźniejszość – i podręczniki (m.in. wydany niedawno autorstwa prof. Wojciecha Roszkowskiego).

Strażnikami pamięci mogą być jednak wszyscy Polacy. Tak się składa, że ważne polskie instytucje od dawna starają się dotrzeć do nas za pośrednictwem różnych stron internetowych i kwestionariuszy, które trzeba jedynie wypełnić, a przedtem sprawdzić i poznać historyczne losy naszych najbliższych. Jeśli chodzi o polskie straty osobowe pod okupacją niemiecką, funkcjonuje nadal liczba 6 028 000 podana wkrótce po wojnie przez Biuro Odszkodowań Wojennych (w tym ok. 3 000 000 polskich Żydów). Dzięki wysiłkowi wielu instytucji państwa polskiego, a także wcześniejszym akcjom badawczym, od 2009 r. funkcjonuje w literaturze przedmiotu liczba ofiar śmiertelnych od 5 470 000 obywateli II RP do 5 670 000, w tym ok. 2 770 000 Polaków. Do niej należy doliczyć ofiary okupacji sowieckiej, zarówno tej z lat 1939–1941, jak i rozpoczynającej się od 1944 r. na Kresach Wschodnich. Szacunki mówią o 500 000 ofiar śmiertelnych spośród obywateli II RP, w tym głównie Polaków.

Każdy z nas może wejść na stronę www.straty.pl i odnaleźć swoich krewnych zamordowanych bądź represjonowanych przez okupanta niemieckiego w latach II wojny światowej. Na dzień 28 lipca br. zebrano informacje o 5 096 632 osobach. Można uzupełnić listę, kontaktując się z operatorem programu, czyli Instytutem Pamięci Narodowej. Projekt ten powstał dzięki inicjatywie Ośrodka „Karta" oraz śp. Januszowi Kurtyce i śp. Tomaszowi Mercie w 2006 r. i objął swym zasięgiem kilkadziesiąt instytucji kultury, muzeów i ośrodków badawczych. Jest żywy do dziś, tak długo jak Polacy będą pamiętać o swoich bliskich – zabitych, więzionych czy wysyłanych na roboty przymusowe do Niemiec. Ważną bazę przygotował także niemiecki ośrodek badawczy w Bad Arolsen, którego polskojęzycznym operatorem jest także IPN. Wystarczy wejść na stronę: www.arolsen--archives.org/pl/, by odnaleźć dane dotyczące ponad 13 000 0000 ofiar terroru niemieckiego. Podobne bazy istnieją w przypadku ofiar sowieckiego agresora z 1939 r. Można się o tym przekonać, zaglądając do wydanej w 2009 r. przez IPN pracy pt. „Polska 1939–1945. Straty osobowe i ofiary represji pod dwiema okupacjami", pod redakcją Tomasza Szaroty i Wojciecha Materskiego.

Zapraszam do korzystania z tych lektur i baz, byśmy mogli wspólnie pozostać strażnikami pamięci. ■

JAN ŻARYN



FOT. ANDRZEJ WIKTOR

AUTOPROMOCJA

eprasa.pl e7783

wSIECI HISTORII
SPIS TREŚCI
Nr 09–10 (112–113) WRZESIEŃ–PAŹDZIERNIK 2022



17 WYBUCH REWOLUCJI PROTESTANCKIEJ W XVI w. DOPROWADZIŁ DO OGROMNYCH ZMIAN EUROPEJSKIEGO HANDLU I GOSPODARKI, NISZCZĄC FUNDAMENTY POLSKIEGO PAŃSTWA – OCENIA JAKUB WOZIŃSKI



60 KSIĄDZ JÓZEF TISCHNER BYŁ W III RP JEDNYM Z NAJBARDZIEJ ROZPOZNAWALNYCH DUCHOWNYCH. STAŁ SIĘ ZARAZEM SYMBOLEM KAPŁANA, KTÓRY ZBYT BLISKO ZWIĄZAŁ SIĘ ZE ŚWIATEM POLITYKI – TWIERDZI RAFAŁ ŁATKA

3 GŁOS NACZELNEGO
JAN ŻARYN

6 CO BYŁO, CO BĘDZIE
PIOTR MAZUREK

9 LIST DO REDAKCJI: JEDWABNE RAZ JESZCZE
ELŻBIETA I WACŁAW KUJBIDOWIE

10 TOMASZ WŁODZIMIERZ MARSZEWSKI (1928–2022)
JOANNA ROKIMI MARSZEWSKA

UKRAIŃSKO-POLSKA HISTORIA WSPÓLNA I OSOBNA

12 CÓRA WAREGÓW, BIZANCJUM I... RZECZYPOSPOLITEJ OBOJGA NARODÓW
PRZEMYSŁAW WAINGERTNER

TEMAT MIESIĄCA

14 CHŁOPI I PIENIĄDZE
PIOTR GUZOWSKI

17 PROTESTANTYZM JAKO PRAPRZYCZYNA UPADKU RZECZYPOSPOLITEJ
JAKUB WOZIŃSKI

20 II RP – OD ETATYZMU DO REPRYWATYZACJI
ANDRZEJ SADOWSKI

24 NARODOWCY II RP Z EKONOMIĄ NA TY
JAN ŻARYN

ZIEMIAŃSTWO

27 Z ITALII NA WSCHODNIE KRESY RZECZYPOSPOLITEJ
JAROSŁAW KOSSAKOWSKI

WEHIKUŁ CZASU

30 WRZESIEŃ, PAŹDZIERNIK
MICHAŁ KOMUDA

SKARBY AGAD

34 O SKARBACH W ARCHIWACH ZAMKNIĘTYCH
JACEK KROCHMAL

TAJEMNICE AAN

36 ARCHIWUM OBRONY LWOWA 1939
RAFAŁ KIERZKOWSKI

DUSZA KONTUSZA

38 DEFENSOR PATRIAE
HENRYK LITWIN

FELIETONY

41 CHADECJA NIEOBECNA
GRZEGORZ GÓRNY

71 1962 – ROK KONFLIKTU WE FRANCJI O NIEPODLEGŁOŚĆ ALGIERII
PAWEŁ SKIBIŃSKI

81 OD TAM-TAMÓW DO TELEWIZJI
GABRIELA SIEROCIŃSKA-DEC

84 NARODZINY SUPERMOCARSTWA
ANTONI DUDEK

84 GRZECH KOŚCIOŁA NA DAWNYCH KRESACH
RYSZARD CZARNECKI

85 SILVA RERUM
ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI

86 JÓZEF KOPEĆ – REKTOR SOLIDARNOŚCI
ARTUR KUBAJ

88 UKRAINA WEDŁUG ADOLFA BOCHEŃSKIEGO
MAREK JUREK

INSTYTUT PAMIĘCI NARODOWEJ

42 „SZLAKI NADZIEI. ODYSEJA WOLNOŚCI"
PRACA ZBIOROWA

UNIE

52 UNIA POLSKO-LITEWSKA
MAREK BARAŃSKI

ZDARZYŁO SIĘ

54 PRASA WŁOSKA O IGNACYM PADEREWSKIM 1918–1919
MARIA RADOŻYCKA-PAOLETTI

57 SOLIDARNOŚĆ W PROKURATURZE CZ. II
ELŻBIETA ROMANOWSKA



















eprasa.pl e7783acae2



FOT. GYODANYZCWIKIPEDIA; PAP/CAF/STEFAN KRASZEWSKI; EAST NEWS/RUTKIEWICZ/REPORTER

68 CZOŁOWI SPORTOWCY ŻYLI W PRL W ZDECYDOWANIE LEPSZYCH WARUNKACH NIŻ PRZECIĘTNY POLAK, ALE MIELI NAD SOBĄ „SZKLANY SUFIT", KTÓRY BLOKOWAŁ KARIERĘ I POZIOM ŻYCIA. DLATEGO WŚRÓD UCIEKINIERÓW NA ZACHÓD NIE BRAKOWAŁO GWIAZD SPORTU – WSKAZUJE GRZEGORZ MAJCHRZAK

60 KSIĄDZ JÓZEF TISCHNER – DUSZPASTERZ, FILOZOF... ALE I KAPŁAN ZAANGAŻOWANY W POLITYCZNY SPÓR
RAFAŁ ŁATKA

INSTYTUT DZIEDZICTWA MYŚLI NARODOWEJ

64 ŻYCIE RELIGIJNE PODCZAS POWSTANIA WARSZAWSKIEGO
MARCELINA KOPROWSKA



66 PŁK JÓZEF ROKICKI. JEGO „BLASKI I CIENIE"
KRZYSZTOF KOSIŃSKI

PRASPORT

68 SPORTOWCY TEŻ WIALI NA ZACHÓD
GRZEGORZ MAJCHRZAK

PEŁNA KULTURA

72 CENTRUM LEMKINA – NIC NIE ZOSTANIE ZAPOMNIANE
ALEKSANDRA KIERETA

74 O KAROLINIE LANCKORONSKIEJ ROZMOWA Z PROF. JERZYM MIZIOŁKIEM
WŁODZIMIERZ RĘDZIOCH

78 W KRĘGU KLIO
RAFAŁ ŁATKA

80 ŁATKI NA KLIO
ROZMOWA Z PROF. MIROSŁAWEM SZUMIŁO

82 SPRAWIEDLIWOŚĆ NADEJDZIE W CZASIE ŻNIW
JANUSZ SZEWCZAK



DIABEŁ NIE MÓGŁ

90 KSIĘŻNA LITERATKA
JOANNA PUCHALSKA

SZLACHETNE ZDROWIE

92 ZWYCIĘSKA PENICYLINA
KRZYSZTOF ŻARYN

CZYM STRZELAĆ



94 TU-2 – Z WIĘZIENNEJ CELI W PRZESTWORZA
KACPER GROCHOCKI



Z FOTOTEKI IPN

95 TAŃCZĄCY Z OGNIEM
ARTUR CIEŚLIK

96 HISTORIA OKŁADKI
MICHAŁ KORSUN

NAC PREZENTUJE

98 KRÓLOWA POBOCZY
ŁUKASZ KAROLEWSKI

ZE ZBIORÓW MPW

99 CZASZKA – ZNAK „RAFAŁKÓW"
MICHAŁ TOMASZ WÓJCIUK



wSIECI HISTORII

ISSN 2300-6803

www.wsieci.pl
Redaktor naczelny: Jan Żaryn
Zastępcy redaktora naczelnego:
Michał Karpowicz, Małgorzata Żaryn
Sekretarz redakcji: Krzysztof Kotowski
e-mail: redakcja@fratria.pl, tel. (22) 616 36 00
ul. Finlandzka 10, 03-903 Warszawa

Stali współpracownicy:
Marek Barański, Ryszard Czarnecki, Antoni Dudek, Kacper Grochocki, Grzegorz Górny, Marek Jurek, Michał Komuda, Jarosław Kossakowski, Jacek Krochmal, Artur Kubaj, Henryk Litwin, Rafał Łatka, Piotr Mazurek, Grzegorz Majchrzak, Jerzy Miziołek, Mariusz Olczak, Joanna Puchalska, Gabriela Sierocińska-Dec, Paweł Skibiński, Andrzej Skwarczyński, Przemysław Waingertner, Krzysztof Żaryn oraz AAN, AGAD, IDMN, IPN, MPW i NAC

Dyrektor artystyczny:
Michał Korsun, michal.korsun@fratria.pl

Studio graficzne:
Andrzej Skwarczyński (kierownik)
andrzej.skwarczynski@fratria.pl,
Lidia Słowikowska-Smolińska
lidia.slowikowska@fratria.pl
Projekt graficzny: Michał Korsun
Fotoedycja: Anna Łabęcka, ania.labecka@fratria.pl, Robert Gołaszewski, robert.golaszewski@fratria.pl,
Obróbka zdjęć: Tomasz Kieras

Wydawca:
Fratria sp. z o.o.
prezes: Romuald Orzeł
ul. Legionów 126-128,
81-472 Gdynia
redakcja@fratria.pl, www.fratria.pl

Druk: Walstead Kraków sp. z o.o.

Prenumerata wydania papierowego:
tel. (22) 616 36 00
www.wsieci.pl
prenumerata@fratria.pl
Regulamin oraz warunki prenumeraty na stronie www.wsieciprawdy.pl
Wpłat za prenumeratę prosimy dokonywać na konto:
91 1240 5354 1111 0010 7713 6290
FRATRIA Sp. z o.o., ul. Legionów 126-128, 81-472 Gdynia,
w tytule wpłaty wpisując pełne dane adresowe od wysyłki oraz rodzaj prenumeraty
Prenumerata realizowana przez RUCH SA:
Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej oraz na e-wydania można składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl
Ewentualne pytania prosimy kierować na adres e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Telefonicznym Biurem Obsługi Klienta pod numerem:
801 800 803 lub 22 717 59 59
– czynne w godzinach 7^{00}–18^{00}.
Koszt połączenia wg taryfy operatora.

Dyrektor ds. Rozwoju Biznesu:
Katarzyna Marchewka
katarzyna.marchewka@fratria.pl

Biuro Reklamy:
reklama@fratria.pl
Paulina Kąkol – paulina.kakol@fratria.pl
Agnieszka Woźniak – agnieszka.wozniak@fratria.pl
Marcin Dąbrowski – marcin.dabrowski@fratria.pl

Kolportaż:
kolportaz@fratria.pl

Redakcja zastrzega sobie prawo do redagowania i skracania tekstów. Copyright © Fratria Sp. z o.o. Wszystkie prawa zastrzeżone (włącznie z tłumaczeniem na języki obce). Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych. Ogłoszenia i reklamy nie stanowią materiału pochodzącego od Wydawcy. Bezumowna sprzedaż numerów bieżących i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez Wydawcę jest zabroniona, nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.

OKŁADKA: Projekt: Michał Korsun;
Fot.: Andrzej Wiktor;
Charakteryzacja: Joanna Wasilewska;
Wystąpili: Weronika Sławoń, Aron Jończyk, Rafał Mączka, Edward Szambelan;
Kostiumy i stylizacja: Michał Kępiński, Retro-Pasje;
Rekwizyty: REKO WAW

W hołdzie Powstańcom Warszawskim

W 78. rocznicę rozpoczęcia Powstania Warszawskiego, na przełomie lipca i sierpnia w stolicy oraz w wielu innych miejscach Polski odbywały się liczne uroczystości w hołdzie uczestnikom boju z 1944 r. 31 lipca, w przeddzień rocznicy, zorganizowano uroczystość upamiętniającą Józefa Rokickiego, komendanta głównego Narodowej Organizacji Wojskowej i dowódcy Mokotowa w Powstaniu Warszawskim. Pierwszym elementem tych obchodów była msza święta w kościele św. Michała Archanioła. Po jej zakończeniu delegacje złożyły kwiaty pod tablicą upamiętniającą Pułkownika. Tradycyjnie kulminacyjny punkt celebracji pamięci o bohaterach sprzed 78 lat przypadł 1 sierpnia. W Godzinę „W" miał miejsce Apel Poległych pod pomnikiem Gloria Victis na Cmentarzu Wojskowym na Powązkach z udziałem najwyższych władz państwowych, w tym prezydenta RP Andrzeja Dudy i premiera RP Mateusza Morawieckiego, a w całej stolicy, jak i w wielu innych miastach, syreny upamiętniły moment początku zrywu. W tym samym czasie na placu Zamkowym uczestnicy akcji społecznej „Żywy Znak dla Powstania Warszawskiego", zorganizowanej przez Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego, Narodowe Centrum Kultury, Fundację Służba Niepodległej, Stowarzyszenie Historyczne Polonia Restituta, Fundację Reduta Dobrego Imienia – Polska Liga Przeciw Zniesławieniom i warszawskiego oddziału Stowarzyszenia KoLiber, oddali hołd Bohaterom, ustawiając się w sposób tworzący z ludzi symbol Polski Walczącej. W godzinach późniejszych odbyły się także uroczystości m.in. na Cmentarzu Powstańców Warszawy. Wieczorem tłumy warszawiaków zebrały się na placu Piłsudskiego, aby wspólnie śpiewać „(nie) zakazane piosenki". 5 sierpnia natomiast odbyły się uroczystości pod pomnikiem Pamięci 50 Tysięcy Mieszkańców Woli Zamordowanych przez Niemców podczas Powstania Warszawskiego 1944, po których ulicami stolicy przeszedł Marsz Pamięci na Cmentarz Powstańców Warszawy.



FOT. GRZEGORZ JAKUBOWSKI/KPRP

Premiera książki „Życie religijne podczas Powstania Warszawskiego"

27 lipca w Centrum Edukacyjnym IDMN przy ul. Andersa 20 w Warszawie odbyła się premiera książki „Życie religijne podczas Powstania Warszawskiego" autorstwa Marceliny Koprowskiej. Pozycja ukazała się nakładem IDMN oraz Wydawnictwa Neriton. W trakcie spotkania miejsce miała dyskusja, w której udział wzięli autorka książki, prof. Paweł Skibiński, zastępca dyrektora IDMN, prof. Krzysztof Kosiński z Instytutu Historii PAN oraz dr Karol Mazur z Muzeum Powstania Warszawskiego. „Życie religijne podczas Powstania Warszawskiego" ukazało się w ramach serii wydawniczej „Młodzi Historycy IDMN" nakładem Instytutu Dziedzictwa Myśli Narodowej oraz Wydawnictwa Neriton. Patronat nad publikacją objęli: Muzeum Powstania Warszawskiego, Katolicka Agencja Informacyjna oraz „Gość Niedzielny". „Niech ta książka stanie się impulsem do tegorocznych obchodów wybuchu powstania. Wiele rzeczy dotychczas zostało powiedzianych, co roku mieliśmy okazję zapoznawać się z najnowszymi ustaleniami badawczymi. Książka, którą dzisiaj prezentujemy, jest pod tym względem ewidentnie nowa" – powiedział dyrektor IDMN prof. Jan Żaryn, otwierając spotkanie. Książka ta jako pierwsza ukazuje kompleksowo opis życia religijnego w powstańczej Warszawie, przedstawiając to zjawisko jednocześnie na różnych poziomach i wieloaspektowo. Po raz pierwszy przedstawiona zostaje także dokładna topografia mszy świętych i nabożeństw odbywających się w stolicy podczas zrywu. Publikacja wzbogacona jest wieloma materiałami ikonograficznymi, w tym dwiema mapami. Autorka pisze zarówno o religijności liturgicznej, jak i pozaliturgicznej, o zachowaniach cywilów oraz żołnierzy, działalności duchownych i inicjatywach oddolnych samych mieszkańców miasta. Marcelina Koprowska nie pomija także kwestii praktyk religijnych wiernych innych wyznań niż katolickie. „Było obecne od pierwszych powstańczych strzałów i pierwszych rannych, do których spieszyły sanitariuszki i księża z ostatnią posługą, aż do opuszczenia miasta przez jego mieszkańców po podpisaniu układu o zaprzestaniu działań wojennych, a nawet po nim – w trakcie tułaczki na wygnaniu" – pisze autorka o życiu religijnym powstańczej Warszawy w książce. Seria wydawnicza „Młodzi Historycy IDMN", w ramach której ukazało się „Życie religijne podczas Powstania Warszawskiego", otwarta jest na młodych autorów publikacji stanowiących efekt badań z zakresu dziejów obozu narodowego i katolicyzmu społecznego. Powstanie serii związane jest z edukacyjnym aspektem działalności Instytutu oraz jego współpracą z resortem edukacji, np. w ramach przeprowadzania konkursów na prace magisterskie i doktorskie. IDMN ma nadzieję wypełniać „białe plamy" w historii XX-wiecznej Polski kolejnymi publikacjami, szczególną wiarę pokładając w młodym pokoleniu historyków.



eprasa.pl e7783acae2

Muzeum bł. ks. Jerzego Popiełuszki w Okopach upamiętni zasłużonego kapłana



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

7 lipca z udziałem wicepremiera, ministra kultury i dziedzictwa narodowego prof. Piotra Glińskiego odbyła się uroczystość podpisania porozumienia pomiędzy Fundacją im. ks. Jerzego Popiełuszki „Dobro" a Muzeum Podlaskim w Białymstoku o utworzeniu Muzeum bł. ks. J. Popiełuszki w Okopach. Placówka będzie oddziałem współprowadzonego przez Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego oraz Województwo Podlaskie Muzeum Podlaskiego w Białymstoku. W ramach zawartego porozumienia o współpracy Fundacja „Dobro" przekaże w formie darowizny na rzecz Muzeum Podlaskiego w Białymstoku nieruchomość we wsi Okopy (gmina Suchowola) przeznaczoną na budowę siedziby przyszłego muzeum. Obecnie finalizowane są prace nad projektem architektonicznym i aranżacją wystawy stałej. Obie instytucje podejmą wspólne działania, obejmujące m.in. pozyskiwanie eksponatów do przyszłej instytucji. Według wstępnych planów Muzeum bł. ks. Jerzego Popiełuszki w Okopach ma zostać otwarte jesienią 2024 r. – w 40. rocznicę śmierci duchownego. Celem placówki będzie gromadzenie, przechowywanie, opracowanie i udostępnianie materiałów związanych z życiem, działalnością oraz spuścizną kapłana oraz prowadzenie badań naukowych i działań edukacyjnych poświęconych czasom jego życia. Na wystawie stałej zwiedzający będą mogli zobaczyć m.in. rekonstrukcję warszawskiego mieszkania ks. Popiełuszki przy ul. Chłodnej, którego wystrój wraz z meblami i pamiątkami będzie przeniesiony do muzeum. W placówce znajdzie się również przestrzeń dla ekspozycji czasowych, sala audytoryjna, a także biblioteka z czytelnią i kawiarnią. Zgodnie z założeniem autora projektu, Mirosława Nizio, muzeum ma być miejscem modlitwy, budowania wspólnoty, spotkań lokalnej społeczności, a także celem pielgrzymek. Kształt bryły budynku będzie nawiązywać do prostoty przydrożnych kaplic, wiejskich domów czy lokalnych kościołów Podlasia i wschodniego Mazowsza, łącząc w sobie tradycyjną architekturę z nowoczesnością. Jego centrum będzie stanowiło Miejsce Skupienia, które przybierze formę kapliczki przykrytej dwuspadowym dachem. Do budowy muzeum wykorzystane mają być występujące lokalnie kruszywa kamienne i żwir. Elewacja zostanie wykonana z betonowych bloków, między którymi pojawią się pionowe i poziome prześwity, mające wpuszczać do wnętrza naturalne światło. Taki zabieg będzie miał symboliczny wymiar – przypomni o tragicznej śmierci bł. ks. Jerzego Popiełuszki, ale też wydobędzie z konstrukcji znak krzyża. Z kolei podążając w kierunku znajdującego się niedaleko lasu, będzie można się zatrzymać na krawędzi emblematycznej tamy. Po ścianie uskoku będą spływać strumienie wody. Betonowa konstrukcja i szum wody to symboliczne nawiązanie do tamy we Włocławku – miejsca śmierci kapłana, a także do wody jako symbolu życia i obmycia z grzechów.

„Zaginieni, ale nie zapomniani żołnierze Polskich Sił Zbrojnych" – groby kolejnych żołnierzy zostały odnalezione

Miejsca pochówków kolejnych trzech żołnierzy oraz lotnika, spoczywających do tej pory w bezimiennych grobach na terenie Francji i Holandii, zostały ustalone w ramach projektu „Zaginieni, ale nie zapomniani żołnierze Polskich Sił Zbrojnych", realizowanego przez Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego we współpracy z ekspertami. Zidentyfikowani to: kapral Mieczysław Szymański, żołnierz 1. Dywizji Pancernej, który zginął w Normandii w sierpniu 1944 r.; plutonowy Edward Morchonowicz oraz bombardier Kazimierz Chartanowicz z 1. Samodzielnej Brygady Spadochronowej, którzy polegli podczas operacji Market-Garden; kapral Teofil Niemeczek, lotnik z 300 Dywizjonu Bombowego Polskich Sił Powietrznych w Wielkiej Brytanii, poległy w czasie lotu bojowego w 1942 r. Celem projektu „Zaginieni, ale nie zapomniani żołnierze Polskich Sił Zbrojnych" jest przywracanie pamięci o poległych niemających imiennych nagrobków oraz identyfikacja bezimiennych grobów żołnierzy na cmentarzach wojennych w Europie Zachodniej (we Francji, w Belgii, Holandii, Niemczech oraz we Włoszech). Projekt jest realizowany od 2017 r. i w ciągu sześciu lat przywrócono tożsamość oraz nazwiska na grobach 11 bohaterów.



Jak wyglądały życie i praca w konspiracyjnej drukarni Solidarności?

Wystartował portal jaworowa44.pl, na którym można obejrzeć kolekcję unikatowych druków opozycji antykomunistycznej oraz takich materiałów jak makiety czy klisze do naświetlania sit drukarskich. To owoc konspiracyjnej pracy rodzinnej drukarni Błażewiczów z Wrocławia, gdzie były zaangażowane trzy pokolenia od dzieci do babci. Na jaworowa44.pl możesz obejrzeć i poczytać konspiracyjną „bibułę", pocztówki, ulotki, plakaty różnych organizacji związkowych, politycznych czy środowiskowych: NSZZ „Solidarność", Solidarność Walcząca, KPN, niezależne druki związane z działalnością Kościoła katolickiego, gazetki szkolne czy studenckie. Zasoby portalu są stopniowo wzbogacane.

eprasa.pl e7783acae2



FOT. ANDRZEJ WIKTOR

Obchody Święta Wojska Polskiego

„Weekend z wojskiem" – to motto przewodnie tegorocznych obchodów Święta Wojska Polskiego oraz 102. rocznicy Bitwy Warszawskiej. Na te dni Ministerstwo Obrony Narodowej oraz Wojsko Polskie zaplanowało liczne wydarzenia o charakterze państwowym, patriotyczno-religijnym, kulturalnym oraz rozrywkowym. W całym kraju zorganizowane zostanie kilkadziesiąt pikników wojskowych, na których będzie można zobaczyć nowoczesny sprzęt wojskowy. Zapewnione będą też: wojskowa muzyka i grochówka. Będą atrakcje dla najmłodszych, młodzieży i dorosłych. Na piknikach i punktach rekrutacyjnych będzie można rozpocząć karierę jako żołnierz. WP będzie zachęcać do dołączenia do nowej formuły służby – dobrowolnej zasadniczej służby wojskowej. Każdy będzie mógł sprawdzić, jak wiele armia może mu dać i kim może zostać w jej szeregach. A możliwości jest co nie miara – służbę można podjąć w każdym zakątku Polski i w dowolnie przez siebie wybranej specjalności. Wyjątkowymi wydarzeniami będą: „Wspólne śpiewanie pieśni żołnierskich" (13.08) oraz „Festiwal orkiestr wojskowych NATO" (15.08) na placu Piłsudskiego w Warszawie, jak również „Koncert piosenki wojskowej państw NATO" (15.08) w Elblągu. Będzie można usłyszeć utwory żołnierskie, ale również pobawić się przy nieco „lżejszym" repertuarze. Z okazji Święta Wojska Polskiego będzie można wziąć udział w dwóch biegach. Biegacze klasyczni są zaproszeni na bieg „Piątka z żołnierzem" (14.08) na Stadion PGE Narodowy, ci z bardziej ekstremalnym zacięciem – do Ossowa na „Falcon – Żelazny bieg" (13.08). Najmłodsi będą mogli się sprawdzić na torze przeszkód prowadzonym przez sportowców i olimpijczyków-żołnierzy. Elementami okolicznościowych spotkań będą wystawy tematyczne. Wiele wymiarów wojska zaprezentuje m.in. Wojskowe Centrum Edukacji Obywatelskiej, Centralna Biblioteka Wojskowa, Reprezentacyjny Zespół Artystyczny Wojska Polskiego oraz Muzeum Wojska Polskiego. Wyjątkową wystawę będzie można zobaczyć na placu Piłsudskiego, gdzie 15 sierpnia zostaną zaprezentowane pamiątki szefa MON z wizyt i delegacji. Więcej szczegółów na temat programu obchodów można znaleźć na stronie internetowej www.gov.pl/obrona–narodowa.



XIV Festiwal Filmowy NNW

W dniach 28 września – 1 października w Gdyni odbędzie się XIV edycja Festiwalu Filmowego „Niepokorni. Niezłomni. Wyklęci" – wyjątkowego wydarzenia na filmowej mapie Europy kierowanego do twórców oraz środowisk interesujących się historią. Festiwal prezentuje filmy kina światowego, europejskiego i polskiego ukazujące różne drogi do wolności narodów, jak i wolności indywidualnej każdego człowieka. Festiwal NNW to także wydarzenia branżowe: Master Classy, Pitching Forum, Case Study, Sesje Q and A. Dopełnieniem festiwalowego programu są wydarzenia artystyczne: koncerty, widowiska plenerowe, spektakle teatralne, wernisaże czy wystawy. Organizatorem festiwalu jest Stowarzyszenie Scena Kultury, a jego dyrektorem – znany filmowiec i społecznik Arkadiusz Gołębiewski. Więcej informacji o wydarzeniu można znaleźć na stronie internetowej www.festiwalnnw.pl.



„wSieci Historii" w Radiu dla Ciebie...

20 sierpnia i 17 września (soboty) o godz. 13.00 w Radiu dla Ciebie red. Wojciech Marczyk będzie rozmawiał z członkami redakcji miesięcznika.

...w Radiu Warszawa...

12 sierpnia (piątek) o godz. 9.30 Radio Warszawa oraz magazyn „wSieci Historii" zapraszają na wspólną audycję. Gośćmi Ewy Pietrzak będą członkowie redakcji pisma.

...i w Radiu Gdańsk

Prezentacja najnowszego numeru „wSieci Historii" w każdą ostatnią środę miesiąca o godzinie 23:09 w audycji Wojciecha Sulecińskiego pt. „Co to za Historia".

CENNIK PRENUMERAT*	OKRES PRENUMERATY		
	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
wSIECI HISTORII	–	**34 zł** (3 wydania)	**59 zł** (6 wydań)
SIECI	**82 zł**	**149 zł**	**265 zł**
pakiet SIECI i wSIECI HISTORII	–	**169 zł** (w tym 3 wydania wSIECI HISTORII)	**295 zł** (w tym 6 wydań wSIECI HISTORII)

dane do przelewu w stopce redakcyjnej

pl e7783acae2

List do redakcji

Jedwabne raz jeszcze

Już w latach 2013–2016 dotarliśmy z naszą kamerą do faktów i dowodów zarówno wykonania, jak i sprawczości przez Niemców zbrodni w Jedwabnem, oraz – jako pierwsi – do naocznych świadków tej masowej zbrodni. Przedstawiliśmy to zarówno w indywidualnych reportażach, jak i w mającej polską premierę filmowej rekonstrukcji dokumentalnej z udziałem tychże świadków, idąc śladami zbrodniczego szlaku Hermanna Schapera oraz jego Einsatzkommando SS Zichenau-Schröttersburg (zob. „Jedwabne – świadkowie, świadectwa, fakty" – film dokumentalny Elżbiety i Wacława Kujbidów, https://www.youtube.com/watch?v=Pi59F8JRBFE).

Historia filmu

Film mający swoją światową prapremierę w 2016 r. w Doylestown, w amerykańskiej „Częstochowie" na Forum Polonijnym, otwierał swoją polską premierą doroczny Festiwal Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich „Maj na Foksal" w 2016 r. w siedzibie SDP. Oprócz wspomnień naocznych świadków, ilustrujących naszą podróż z kamerą śladami zbrodni niemieckiego oddziału SS z 1941 r. na ziemi łomżyńskiej, przedstawiliśmy w filmie wszystkie fakty, do których wtedy dotarliśmy. O zbrodniach Einsatzkommando SS Zichenau-Schröttersburg (powołanego w ramach SS Einsatzgruppe B), który to oddział otrzymał rozkaz przeprowadzenia „czystki" w łomżyńskim. Dowódcą tego oddziału był urodzony 12 sierpnia 1911 r. w Strasburgu w Alzacji Hauptsturmführer SS Hermann Schaper (członek SS nr 3484), późniejszy komisarz policji kryminalnej III Rzeszy, który wsławił się okrucieństwem w dowodzeniu i braniu udziału w egzekucjach ludności zarówno żydowskiej, jak i polskiej. Jedwabne nie było jedyną zbrodnią popełnioną przez oddział Schapera latem 1941 r. Niemcy organizowali i przeprowadzali kolejno egzekucje ludności pochodzenia żydowskiego w Wiźnie, Wąsoszu, Radziłowie, Łomży, Tykocinie, Rutkach, Piątnicy i Zambrowie.

Oprócz naszych wielokrotnych wyjazdowych projekcji w różnych miastach świata i Polski w latach 2016–2018, oprócz projekcji poza konkursem w 2017 r. na IX Festiwalu Niepokorni Niezłomni Wyklęci i wreszcie oprócz kilkudniowej emisji w Telewizji Republika w lutym 2018 r. nasza produkcja objęta została swoistą „cenzurą publicznego zamilczenia" w telewizji publicznej, spowodowaną – jak nam nieoficjalnie przekazano – „decyzją polityczną".

Gorzki smak wolności

Pomimo wielokrotnych osobistych obietnic prezesa Jacka Kurskiego (którego działalność notabene na innych polach osobiście bardzo cenimy) i wstawiennictwa u niego wielu znamienitych osobistości, od 6 lat nie ma na ten ważny dokument czasu w telewizji publicznej. Warto może przy okazji wspomnieć tutaj, że w miejsce również i takich jak nasza „zakazanych" produkcji Polska Młodzież karmiona jest bezustannie w tejże publicznej telewizji niekończącymi się powtórkami filmów czy seriali będących propagandowymi, komunistycznymi produkcjami z czasów PRL-u, wywodzącymi się swoimi korzeniami często nawet z najwyższych gabinetów zbrodniczej Służby Bezpieczeństwa czy Informacji Wojskowej okresów rządów Bieruta, Gomułki czy Gierka.

Mowa tutaj między innymi o:

– „Popiele i diamencie", najpierw powieści, na podstawie której oparto pseudokultowy film. Powieści zamówionej i współtworzonej pod osobistym nadzorem dwóch morderców i katów z Urzędu Bezpieczeństwa – Bermana i Różańskiego;

– „Stawce większej niż życie" – serialu ukazującym cynicznie jako polskiego, wojennego bohatera postać Hansa Klossa. W istocie rzeczywiście istniejącą postać Rittera-Jastrzębskiego, rezydującego w czasie niemieckiej okupacji w Warszawie do ostatnich dni powstania, sowieckiego agenta NKWD, który – nawet mimo prowadzonych od 1941 r. walk Niemców z Rosjanami – kontynuował zainicjowaną konferencjami Gestapo i NKWD w Krakowie i Zakopanem współpracę z Niemcami w zorganizowanej, wspólnej walce i niszczeniu przez obu okupantów Polskiego Patriotycznego Podziemia (głównie AK).

– „07 zgłoś się" – gdzie nie trzeba chyba komentarza. Serial o milicyjno-ubeckich kręgach w PRL, gloryfikujący zarówno to środowisko, jak i jego działania. Warto też przy okazji wspomnieć, że nieżyjący już odtwórca głównej roli był w czasie stanu wojennego naczelnym redaktorem skomasowanych w jedną, „wojenną, komunistyczną gadzinówkę" gazety miasta Krakowa.

Oprócz więc „zamilczania" istnienia naszej produkcji o niemieckich zbrodniach w Jedwabnem są również inne – „uboczne" niejako – efekty tej naszej konkretnie produkcji filmowej. Kilka lat temu, „przypadkowo" oczywiście, TV Polonia nie przedłużyła z nami kontraktu na produkcję comiesięcznego, cieszącego się dużą popularnością magazynu naszego autorstwa z Kanady – „Magazynu Kanada". W tym samym mniej więcej czasie zaczęła się rwać, aż urwała się całkowicie, współpraca korespondencka z Kanady z Polskim Radiem. Również nasza ostatnia produkcja „Mroki Czarnego Lasu" została zignorowana całkowicie przez telewizję publiczną. A szkoda, bo materiał ujawnił mało znany etap niemieckiej „Intelligenzaktion" – planowej eksterminacji ludności polskiej w czasie II wojny światowej przez Niemców. Dotarliśmy do mało znanych faktów o zbrodni w Stanisławowie, popełnionej na polskiej ludności tamtych terenów (ponad 750 ofiar egzekucji niemieckich), jak i do świadków tamtych wydarzeń.

Cóż, właściwie to dla nas nic nowego. Pod koniec lat 70. ubiegłego wieku, po kilkunastu udanych realizacjach scenariuszy TV i radiowych mojego autorstwa, jako warunek kontynuowania dalszej pracy w redakcji Polskiego Radia i TV w Krakowie, ustalono warunek dalszej pracy: moją przynależność do partii komunistycznej PZPR. Kiedy odmówiłem, poinformowano mnie, że dalsza autorska współpraca ze mną w ramach tamtych publicznych mediów nie będzie możliwa. I tak się też stało.

Elżbieta i Wacław Kujbidowie



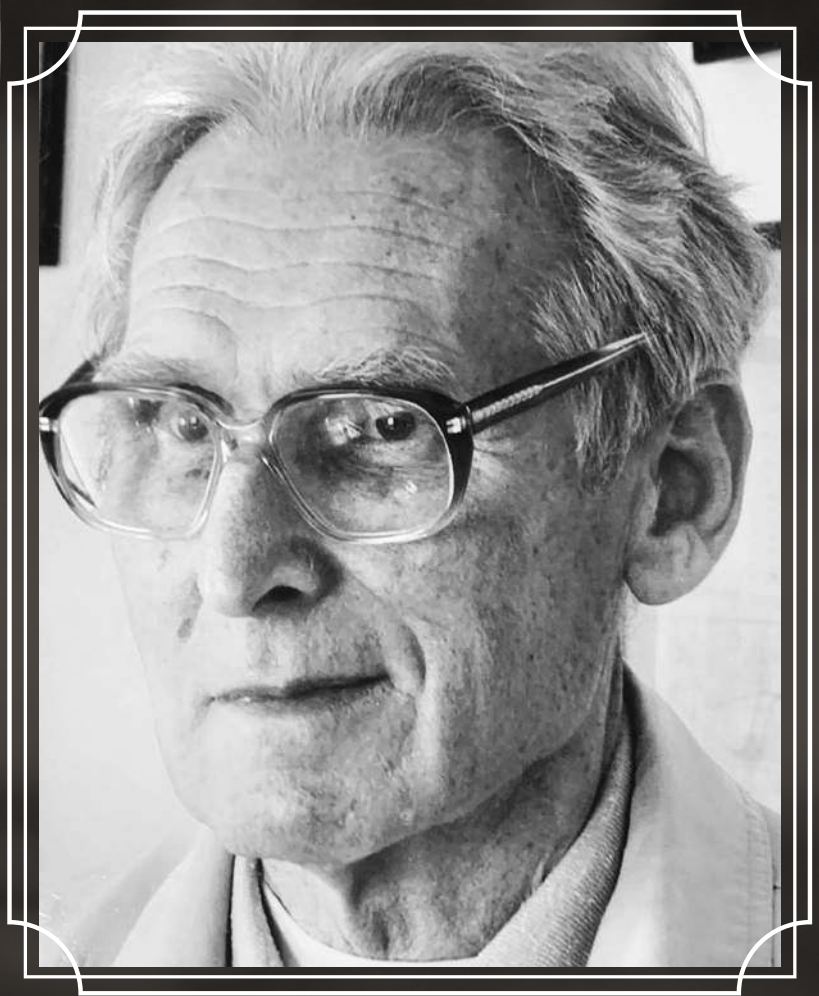
FOT. ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI

eprasa.pl e7783acae2



Śp.
Tomasz Włodzimierz Marszewski

Tomasz Włodzimierz Marszewski herbu Jastrzębiec urodził się 15 października 1928 r. w Warszawie, zmarł 30 czerwca 2022 r. w Krakowie. Długoletni nauczyciel akademicki Instytutu Filologii Orientalnej UJ w Krakowie, członek Polskiego Towarzystwa Ludoznawczego oraz wieloletni współpracownik IPN



JOANNA ROKIMI MARSZEWSKA
córka

Pochodził z rodziny ziemiańskiej o wielkich patriotycznych tradycjach. Jego ojcem był Włodzimierz Marszewski, kapitan piechoty Wojska Polskiego, dyplomata, polityk obozu narodowego, związkowiec, publicysta, wydawca, biznesmen oraz znany tenisista.

W rodzinie Włodzimierza znalazło się wiele postaci zasłużonych dla Ojczyzny. Można wyróżnić Wawrzyńca Gembickiego herbu Nałęcz, który był arcybiskupem gnieźnieńskim, prymasem Polski oraz sekretarzem wielkim koronnym pod koniec XVI w. Natomiast matka jego Małgorzata Chełmicka również herbu Nałęcz pochodziła ze znanego rycerskiego rodu wywodzącego się z linii po Bartłomieju Chełmickim, chorążym ziemi dobrzyńskiej. Rodzina ta brała udział w bohaterskiej walce o Dobrzyń nad Wisłą z Krzyżakami w 1409 r., poprzedzającej ostateczną bitwę rozegraną pod Grunwaldem. Z kolei jej

eprasa.pl e7783acae2

matka Zofia była córką Henryka Kieszkowskiego herbu Krzywda, honorowego obywatela miasta Krakowa, współzałożyciela i dyrektora Towarzystwa Wzajemnych Ubezpieczeń oraz posła na Sejm Krajowy Galicji IV kadencji. Jej siostra Helena była żoną wybitnego architekta i konserwatora zabytków Tomasza Prylińskiego, który szczególnie zasłużył się w Krakowie.

Tomasz z rodzicami i starszym bratem Andrzejem, świetnie zapowiadającym się artystą malarzem, mieszkał w Warszawie. Często wolny czas spędzali w Pilaszkowie, majątku należącym do wuja Antoniego, który odziedziczył go po swoim ojcu Mieczysławie Marszewskim, znanym inżynierze komunikacji, projektancie mostu Poniatowskiego w Warszawie i działaczu rolniczym. Podstawową edukację Tomasz uzyskał od babci Ksawery, córki sybiraka Kajetana Ślewińskiego herbu Śreniawa i przyrodniej siostry znanego polskiego malarza Władysława Ślewińskiego. Późniejsza nauka odbywała się głównie w prywatnie organizowanych kompletach, a następnie w Szkole Ziemi Mazowieckiej w Warszawie. Podczas okupacji niemieckiej dalsza edukacja na poziomie gimnazjalnym organizowana była przez Towarzystwo Szkoły Mazowieckiej. W 1946 r. Tomasz zdał maturę w liceum ogólnokształcącym w Milanówku. Po przeprowadzce do Krakowa studiował filozofię, archeologię i etnografię. W grudniu 1951 r. otrzymał stopień magistra z zakresu archeologii prehistorycznej na podstawie pracy pt. „Paleolityczne pochówki czaszek niedźwiedzia ze Śląska na prehistorycznym i etnograficznym tle porównawczym", a w październiku 1952 r. otrzymał stopień magistra z zakresu etnografii na podstawie pracy pt. „Pochówki przez tzw. porzucanie ciał zmarłych w dawnej i współczesnej Azji i Afryce".

Po ukończeniu studiów w wyniku represji miał duże problemy z zatrudnieniem. Stracił pracę w Muzeum Archeologicznym PAU oraz w redakcji Polskiego Wydawnictwa Muzycznego.

W latach 1954–1956 pracował w Instytucie Historii Kultury Materialnej PAN, a później w pracowni Archeologii Azji Przedniej przy Zakładzie Archeologii Śródziemnomorskiej PAN.

Na Wydziale Historycznym Uniwersytetu Warszawskiego w 1962 r. uzyskał stopień doktora nauk humanistycznych



Śp. Tomasz W. Marszewski z jamniczką Zorbą

na podstawie rozprawy doktorskiej pt. „Łowiectwo w starożytnym Iranie i Indiach w świetle materiałów paleoetnograficznych i archeologicznych". W 1960 r. w ramach stypendium wymiennego prowadził przez rok badania agroetnograficzne w Indiach i Nepalu. Wkrótce po powrocie do Polski wziął ślub z Marią Jeżówną. W 1968 r. został zatrudniony w Katedrze Filologii Orientalnej UJ, gdzie prowadził zajęcia dydaktyczne z zakresu geografii, etnografii i historii dla studentów kierunków orientalistycznych. Należał do grona osób bliskich bp. Karolowi Wojtyle. Wiele godzin poświęcili na wspólne rozmowy oraz wycieczki górskie. Tomasz był wielkim pasjonatem wędrówek po Beskidach i gimnastyki, którą uprawiał codziennie przez całe życie. Często też odwiedzał krakowskie zoo, w którym za zgodą dyrektora przeprowadzał eksperymenty z kapucynkami. Uczył je używania kamieni do rozbijania orzechów, z pewnymi sukcesami. Uwielbiał rysować, szczególnie małpy i małpoludy, którymi też się interesował.

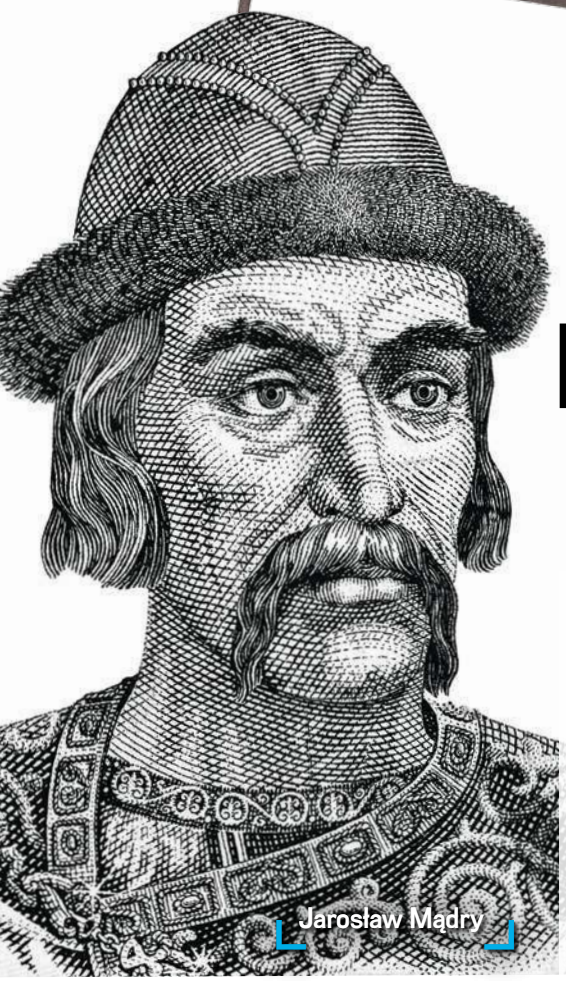
Ponadto był wieloletnim współpracownikiem Instytutu Pamięci Narodowej i autorem biografii działaczy związanych głównie z Komitetem Porozumiewawczym Organizacji Demokratycznych Polski Podziemnej (KPODPP). Prowadził badania z naukową rzetelnością i jako świadek historii głównie dotyczącej jego ojca. Jako naukowiec był niezwykle dokładny. W poszukiwaniu materiałów naukowych godzinami przesiadywał w bibliotekach i archiwach różnych miast.

Losy Tomasza nie były łatwe. Niestety we wrześniu 1939 r. jego ukochany brat Andrzej zginął w walce pod Jacnią w okolicy Krasnobrodu k. Zamościa, mając zaledwie 19 lat.

Następnie po konferencji w Jałcie jego ojciec w wyniku zdrady Kazimierza Czarnockiego, sekretarza organizacji KPODPP, został aresztowany 7 stycznia 1947 r. i osadzony w więzieniu Warszawa-Mokotów przy ul. Rakowieckiej 37, gdzie przeszedł brutalne śledztwo. Tego samego roku w grudniu odbył się bardzo głośny, pokazowy proces KPODPP i III ZG WiN. Wojskowy Sąd Rejonowy w Warszawie pod przewodnictwem ppłk. Franciszka Szelińskiego zakończył proces wydaniem wyroku śmierci dla Włodzimierza Marszewskiego. Takiej kary zażądał oskarżyciel prokurator płk Stanisław Zarako-Zarakowski. Akt oskarżenia zatwierdzony został przez płk. Józefa Różańskiego (vel Józef Goldberg). Najwyższy Sąd Wojskowy pod przewodnictwem płk. Kazimierza Drohomireckiego utrzymał wyrok w mocy, a Bierut nie skorzystał z prawa łaski. Aresztowanie ojca, świadomość okrutnych tortur, proces, potworna niesprawiedliwość, wyrok, walka o jego życie oraz wykonanie kary śmierci 10 marca 1948 r. pozostawiły na całe życie trwały traumatyczny ślad w psychice Tomasza. Do końca swoich dni troszczył się o wszystkie żyjące bezbronne istoty. Wspierał wiele fundacji i organizacji zajmujących się ratowaniem życia nienarodzonych i chorych dzieci. Pomagał każdemu napotkanemu człowiekowi w potrzebie. Nie zapominał również o zwierzętach, które szczególnie kochał. Miał ukochaną jamniczkę o imieniu Zorba. Ratował też malutkie istotki, wydostając je z różnych tarapatów. Pozostała po nim karteczka ze znaczącym napisem: „Tu jest na razie niemowlę ślimaka, być może albo chyba z oznakami życia". Jeśli udało mu się taką istotkę uratować, był niezwykle wzruszony. Sąsiedzi zapamiętali go, jak codziennie wychodził z ukochanym pieskiem. Bardzo go lubili i szanowali. Prowadził z nimi długie i interesujące rozmowy.

FOT. ARCHIWUM RODZINNE

eprasa.pl e7783acae2


Jarosław Mądry

CÓRA WAREGÓW, BIZANCJUM I... RZECZYPOSPOLITEJ OBOJGA NARODÓW

HISTORIĘ KIJOWSKIEGO MOCARSTWA, ROZCIĄGAJĄCEGO SIĘ OD MORZA BIAŁEGO DO CZARNEGO, WYZNACZAŁY KOLEJNE WOJNY Z BIZANCJUM. PO PRZYJĘCIU W 988 r. CHRZTU Z KONSTANTYNOPOLA I SCHIZMIE WSCHODNIEJ W 1054 r. RUŚ ZNALAZŁA SIĘ W STREFIE WPŁYWÓW KOŚCIOŁA PRAWOSŁAWNEGO RYWALIZUJĄCEGO O MIANO PRAWDZIWIE CHRZEŚCIJAŃSKIEGO Z ZACHODNIM KOŚCIOŁEM KATOLICKIM



PRZEMYSŁAW WAINGERTNER

Wśród ukraińskich opowieści o własnej historii – których autorzy z dumą wymieniają kolejne kultury praindoeuropejczyków, Kimerów, Scytów i Sarmatów, rozwijające się nad Dnieprem od czasów prehistorycznych, a nawet głoszą, że współczesna Ukraina to kolebka języków indoeuropejskich – jest i taka, która dowodzi (dość koniunkturalnie!) odwiecznego antagonizmu pomiędzy „ruską" północą i ludami nad Dnieprem. Oto gdy w IX w. skandynawscy Waregowie pod wodzą Ruryka założyli imperium Rusów ze stolicą w Nowogrodzie Wielkim, dwaj waresccy wodzowie Askold i Dir podążyli dalej na południe i stworzyli waresko-słowiańskie państwo ze stolicą w Kijowie. Jednak jeszcze w tym samym stuleciu najechał je z północy Oleg Mądry, potomek Ruryka, tworząc potężną Ruś Kijowską.

Kijowskie imperium

Historię kijowskiego mocarstwa, rozciągającego się od Morza Białego do Czarnego, wyznaczały kolejne wojny z Bizancjum – które miały zmusić Konstantynopol do zawierania korzystnych dla Kijowa traktatów handlowych i składania mu danin-okupów – oraz zwycięskie kampanie księcia Światosława przeciwko Chazarom, Pieczyngom i Bułgarom. Nic dziwnego, że jego syn Włodzimierz I Wielki okazał się godny pojąć za żonę siostrę cesarza bizantyjskiego Bazylego Bułgarobójcy, przyjmując w 988 r. chrzest z Konstantynopola. W konsekwencji – po schizmie wschodniej w 1054 r. – Ruś znalazła się w strefie wpływów Kościoła prawosławnego rywalizującego o miano prawdziwie chrześcijańskiego z zachodnim Kościołem katolickim. Ważną cezurą w dziejach kijowskiego państwa okazało się w pierwszej połowie XI w. panowanie Jarosława Mądrego – założyciela i budowniczego miast, wielkiego mecenasa chrześcijaństwa, organizatora wielu kampanii wojennych przeciwko sąsiadom Rusi, a zarazem pomysłodawcy podziału państwa pomiędzy swych synów. Mimo że

FOT. SHUTTERSTOCK (2X)

eprasa.pl e7783acae2

władca próbował przy tym zabezpieczyć jedność Rusi przez wprowadzenie zasady zwierzchnictwa najstarszego z rodu nad młodszymi Rurykowiczami, na miejscu dawnego scentralizowanego imperium powstało ostatecznie wiele rywalizujących ze sobą i coraz mniejszych (w wyniku dalszego rozdrabniania) państw. W początkach Rusi niejednoznacznie układały się jej stosunki z państwem Piastów. Na Kijów, chcąc osadzić przychylnych Gnieznu książąt, wyprawiali się z powodzeniem w XI w. Bolesław Chrobry i Bolesław Śmiały. Z kolei Polska za Mieszka II padła ofiarą najazdu Jarosława Mądrego. Jednak ten sam książę dopomógł w odbudowie państwa Kazimierzowi Odnowicielowi, synowi Mieszka II, wspierając go przeciwko zbuntowanemu „władcy" Mazowsza Masławowi.

O błogosławieństwie podboju

W XIII i XIV w. przypieczętowany został upadek polityczny słabnących księstw ruskich. Leżące na zachodzie i południu – na czele z kadłubowym już księstwem kijowskim, wołyńskim czy smoleńskim – znalazły się w granicach coraz potężniejszego Wielkiego Księstwa Litewskiego, które rozciągnęło swe granice od Bałtyku do Morza Czarnego. Z kolei Ruś Halicka ze Lwowem i z Przemyślem (gdzie krzyżowały się wielkie europejskie szlaki handlowe łączące północ z południem i zachód ze wschodem) została wcielona do Królestwa Polskiego przez ostatniego z Piastów, Kazimierza Wielkiego. Po unii polsko-litewskiej w Krewie w 1385 r., która zapoczątkowała rządy Jagiellonów w Królestwie Polskim i Wielkim Księstwie Litewskim, ziemie ruskie w granicach Litwy znalazły się w kręgu oddziaływania polskiej, a zatem zachodniej, łacińskiej cywilizacji – jej kultury, prawa i obyczaju politycznego. Zajęcie zachodniej i południowej Rusi przez Polskę i Litwę miało paradoksalnie okazać się dla niej dobrodziejstwem, a granice polsko-litewskiej unii bezpiecznym azylem dla Rusinów. Równocześnie bowiem wschodnie ziemie dawnego państwa Jarosława Mądrego padły ofiarą krwawego i okrutnego najazdu Mongołów. Najeźdźcy nie wcielili wschodniej Rusi do swego państwa, poprzestając na pobieraniu daniny i zatwierdzaniu kolejnych książąt – gwarantów niewolniczej uległości Rusi wobec Ordy. Następne dwa i pół stulecia (do schyłku XV w., kiedy to najpotężniejsze z państw ruskich, Księstwo Moskiewskie, uniezależniło się od mongolskiego zwierzchnictwa) miało decydujący wpływ na rozejście się dróg cywilizacyjnego rozwoju ziem ruskich na zachodzie, podporządkowanych Polsce i Litwie, i na wschodzie, podbitym przez Mongołów, gdzie zaszczepiona została mentalność rodem z azjatyckich despocji, oparta na pogardzie dla wolności, jednostki i prawa oraz posłuszeństwie wobec władzy: Ordy, caratu, komunizmu, a współcześnie – bezwzględnej dyktatury.

Rzeczypospolitej Obojga Narodów naród trzeci

W 1569 r. na sejmie lubelskim z inicjatywy ostatniego Jagiellona Zygmunta Augusta (obawiającego się o przyszłość polsko-litewskiego związku po własnej bezpotomnej śmierci) i wspierającej go średniej szlachty Królestwa i Księstwa unia personalna pomiędzy Polską i Litwą została zastąpiona unią realną. Oba państwa miały odtąd funkcjonować jako Rzeczpospolita Obojga Narodów – „republikańska monarchia" zjednoczona nie tylko przez wspólne instytucje: elekcyjnego władcę, Sejm, lokalne sejmiki, prawo i pieniądz, wreszcie – wspólną politykę zagraniczną, lecz przede wszystkim z racji ukształtowania się w Polsce i na Litwie jednolitego „narodu politycznego". Role tę odgrywała szlachta wybierająca monarchę, posłów do Sejmu i urzędników samorządowych, decydująca w sprawach podatków, a zatem i armii oraz polityki zagranicznej. Na sejmie lubelskim od Litwy odłączone zostały także jej południowe „ruskie" obszary dorzecza środkowego i dolnego Dniepru z Kijowem, które wcielono do Królestwa Polskiego i określano później jako leżące „u kraju" państwa, co dało początek pojęciu „Ukrainy". Tamtejsza szlachta ruska ulegała polonizacji. Równocześnie na ukraińskich „Dzikich Polach" wykształciła się niepokorna i wojownicza wspólnota kozacka, która przejęła rolę nowej elity ludności ruskiej. Niekonsekwentna polityka Rzeczypospolitej wobec Kozaków (z jednej strony próby ich werbunku jako wolnych ludzi do wojska, z drugiej – narzucania poddaństwa) była powodem buntów, z których najbardziej katastrofalne okazało się powstanie Chmielnickiego z połowy XVII w. Jego rezultatem była krwawa wojna domowa, rozpalenie polsko-rusińskiego antagonizmu, najazd moskiewski po oddaniu przez Chmielnickiego Ukrainy pod protekcję Rosji, wreszcie – podział Ukrainy pomiędzy Polskę i Rosję w 1667 r. Był to początek końca polsko-litewskiego imperium, którego szlachecka elita okazała się niezdolna do fundamentalnej przebudowy państwa w Rzeczpospolitą Trojga Narodów – Polaków, Litwinów i Rusinów. Osłabiana kolejnymi wojnami i trawiona politycznym bezładem Rzeczpospolita upadła 100 lat później. Równocześnie Rosja we własnych granicach brutalnie zlikwidowała jakąkolwiek kozacką samodzielność.

Świt Ukrainy

W połowie XIX w. zaczęła rodzić się nowoczesna świadomość narodowa Ukraińców zasiedlających wówczas Małopolskę (Galicję) Wschodnią, pozostającą pod zaborem austriackim, i ówczesne obszary południowo-zachodniej Rosji. Jej kolebką, „ukraińskim Piemontem", były obszary Małopolski Wschodniej – o ile bowiem prawosławna Rosja carska nie tolerowała jakichkolwiek przejawów ukraińskiej odrębności i zwalczała jej przejawy, rusyfikując Ukraińców i prześladując wiązane z nimi wyznanie unickie (greckokatolickie), o tyle liberalna monarchia austro-węgierska sprzyjała bliskiemu Rzymowi Kościołowi unickiemu, a w protegowaniu kulturalnych i do pewnego stopnia politycznych ambicji Ukraińców widziała metodę ograniczania wpływów żywiołu polskiego w Galicji Wschodniej. Narodziny nowoczesnej, narodowej tożsamości ukraińskiej stymulowały twórczość oraz aktywność publiczną pisarza i poety Tarasa Szewczenki, historyka Mychajła Hruszewskiego, a także działalność w okresie Wiosny Ludów Rady Ruskiej w Małopolsce Wschodniej, prace oświatowe późniejszej „Proświty" i organizowanie młodzieży przez skautowego „Płasta". W półwieczu poprzedzającym wybuch I wojny światowej o pozyskanie Rusinów (Ukraińców) dla wspólnej sprawy walki z Rosją zabiegali Polacy – powstanie styczniowe miało być wspólnym dziełem ludności polskiej, litewskiej i „ruskiej", co symbolizowała pieczęć powstańczego rządu z orłem, pogonią i patronem Rusi Michałem Archaniołem. O wspólną walkę, mającą doprowadzić do rozbicia rosyjskiego imperium, apelował też na przełomie XIX i XX w. Józef Piłsudski, ówczesny przywódca Polskiej Partii Socjalistycznej.

eprasa.pl e7783acae2



„Wypłata robocizny" („Sobota na folwarku"), Józef Chełmoński

CHŁOPI I PIENIĄDZE

SYSTEM GOSPODARCZY, KTÓRY CHARAKTERYZOWAŁ POLSKĘ I RZECZPOSPOLITĄ OBOJGA NARODÓW, CZĘSTO OKREŚLA SIĘ FOLWARCZNO-PAŃSZCZYŹNIANYM. NIE JEST TO OKREŚLENIE NAJTRAFNIEJSZE



PIOTR GUZOWSKI

Ograniczanie ono uwagę do zaledwie dwóch elementów: folwarków i pańszczyzny, których obecność w tym systemie w dodatku nie była charakterystyczna dla wszystkich regionów kraju. Pańszczyzna bowiem odgrywała małą rolę np. w Prusach Królewskich, a z kolei folwarki (niekoniecznie oparte na pańszczyźnie) jako przedsiębiorstwa nastawione na zbyt stosunkowo rzadko występowały na terenach oddalonych od wodnych szlaków handlowych czy dużych ośrodków miejskich. Opisując więc gospodarkę państwa szlacheckiego, warto zwrócić uwagę na cały zestaw elementów: poddaństwo osobiste i gruntowe ludności chłopskiej, siłę lub słabość wspólnot chłopskich, zakres przymusowej pracy, znaczenie gospodarstw folwarcznych w lokalnej gospodarce oraz poziom wsparcia państwa dla systemu ekonomicznego, w którym szlachta niewątpliwie zyskała pozycję dominującą nad innymi stanami społecznymi. Należy też pamiętać o tych wszystkich czynnikach, czytając poniższe rozważania o chłopach i pieniądzach.

Pieniądze i gospodarka chłopska

Rewolucja gospodarcza zapoczątkowana rozpowszechnieniem się w późnym śre-

FOT. MUZEUM NARODOWE W WARSZAWIE

eprasa.pl e7783acae2

dniowieczu prawa niemieckiego przyniosła na wsi nie tylko samorząd chłopski (na czele którego stał sołtys lub wójt), lecz zaowocowała wzrostem monetyzacji i komercjalizacji gospodarstw chłopskich. Kmiecie w zamian za możliwość użytkowania i przekazywania potomkom swoich działek musieli płacić czynsze, a co za tym idzie – część swojej produkcji i usług przeznaczać na zbyt, najczęściej w nowo powstających lub rozbudowujących się ośrodkach miejskich. W XVI w. pojawił się nowy niezwykle ważny impuls dla gospodarki krajowej, w równym stopniu dotykając szlachtę i chłopów, a więc zapotrzebowanie na krajowe zboże, produkty leśne, ale także woły na rynkach zagranicznych. Zintegrowało to wiele regionów kraju z rynkami zachodnioeuropejskimi, stworzyło możliwości rozwoju, które wykorzystali nie tylko kupcy gdańscy, magnaci czy szlachta, lecz także średniozamożni i bogaci chłopi. Włączenie do gospodarki światowej oprócz szans rozwoju przyniosło jednak również niebezpieczeństwo załamania koniunktury w Polsce wraz z kryzysami gospodarczymi w innych krajach, wojnami czy ogólnoeuropejskimi epidemiami.

Skąd wiemy, ile pieniędzy mieli chłopi

Późnośredniowieczni i wczesnonowożytni chłopi nie pozostawili po sobie rachunków ani pamiętników pozwalających poznać nie tylko zasady gospodarowania poszczególnych mieszkańców wsi, lecz także ich zasoby pieniężne. Z tego względu historycy muszą bazować na wnioskowaniu ze źródeł pośrednich. Jednym ze sposobów jest sprawdzenie, ile pieniędzy powinni mieć chłopi, by funkcjonować w warunkach społeczno-gospodarczych XIV–XVIII w. Należy więc się przyjrzeć, jak wysokie były świadczenia pieniężne ponoszone przez wiejską ludność plebejską na rzecz właściciela ziemi, państwa i instytucji religijnych. Zacząć trzeba od czynszów, które, mimo ewolucji gospodarki, zwłaszcza w okresie wczesnonowożytnym, nie zanikły i wymuszały pewien poziom utowarowienia gospodarstw chłopskich. Owszem, mieliśmy do czynienia z przejściem od gospodarki czynszowej do opartej w wielu regionach kraju na pańszczyźnie, ale kmiecie zajmujący duże jednołanowe gospodarstwa musieli płacić przeciętnie ok. 12 groszy renty pieniężnej rocznie w XIV w., 24 grosze w XV w. i 48 groszy w XVI w. W późniejszym czasie, w związku z szybszym tempem dewaluacji pieniądza, wysokość czynszu rosła jeszcze bardziej. Nie dorównywał im jednak poziom opodatkowania. Stałe daniny na rzecz państwa nie były duże. Począwszy od słynnego poradlnego ustalonego w Koszycach w 1374 r. w wymiarze 2 groszy z łanu w dobrach szlacheckich i nieco później 2–4 grosze w dobrach kościelnych, ich poziom praktycznie się nie zmieniał, choć mieliśmy w tym czasie do czynienia z rewolucją cen. Większe znaczenie miało więc opodatkowanie nadzwyczajne, które nakładano od drugiej połowy XV w. przeciętnie raz na dwa–trzy lata. Początkowo główny podatek zwany poborem miał stawkę 12 groszy z łanu, później jego wymiar wzrósł do 20 groszy w 1563 r. i 30 groszy w 1578 r., ale połowę z tej sumy potrącano z dziesięciny. W kolejnych latach stawka nie wzrosła, ale podatek wybierano częściej. W 1629 r. został zastąpiony podatkiem podymnym, który w momentach kryzysu uzupełniany był pogłównym (np. po potopie). Gdy dodamy do siebie czynsze i opodatkowanie, ewentualnie dziesięcinę w niektórych miejscach płaconą w pieniądzu (zwykle oddawaną jednak w naturze), to okaże się, że chłopi musieli przeznaczyć na daniny pieniężne ok. 10 proc. swoich dochodów z produkcji zbożowej. Było to znacznie mniej niż w przypadku ludności wiejskiej w krajach sąsiednich, jak i zachodnioeuropejskich. Z jednej strony taka sytuacja była bez wątpienia korzystna z punktu widzenia kmieci, z drugiej jednak renta pieniężna i podatki wymuszały urynkowienie produkcji gospodarstw chłopskich w zaledwie minimalnym zakresie. Możemy przyjąć, że półłanowe gospodarstwa chłopskie na sprzedaż przeznaczały ok. 20 proc. swojej produkcji zbożowej, jednołanowe znacznie więcej, bo prawie 50 proc. W jeszcze większym stopniu utowarowione były największe w kraju 2–3-łanowe gospodarstwa dominujące w Prusach Królewskich. Ich funkcjonowanie oznaczało wysoki poziom partycypacji w rynku i regularny dopływ gotówki do sakiewek chłopskich.

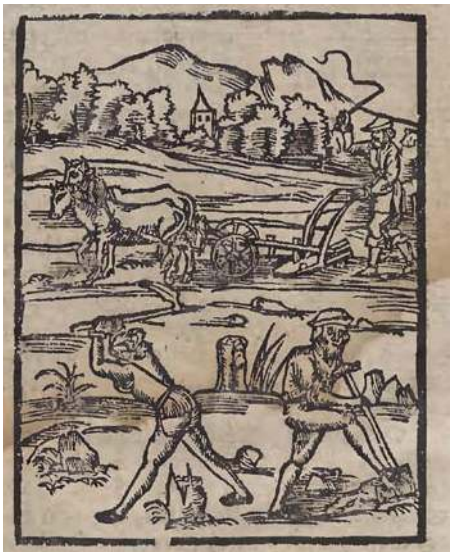
W co chłopi inwestowali?

Dzięki zachowanym wiejskim księgom sądowym, a więc dokumentacji sądów złożonych z sołtysa/wójta i chłopskich ławników pełniących też funkcję notariatu, posiadamy informacje o podstawowych inwestycjach chłopskich. Na wsi funkcjonował rynek nieruchomości, w którym ludność chłopska uczestniczyła zarówno jako sprzedawcy, jak i kupcy ziemi, zagród czy całych gospodarstw. W momencie zawarcia transakcji chłopi wpłacali zwykle część wartości nabywanej nieruchomości, a resztę spłacali w ratach przez kilka kolejnych lat, co wskazuje na pewien poziom wzajemnego zaufania, planowanie biznesowe i założenie stabilizacji ekonomicznej. Także system dziedziczenia zakładający w wielu regionach kraju, że nieruchomości nie powinny być w praktyce dzielone, ale jeden główny spadkobierca powinien spłacać udziały pozostałych, powodował, że dokumenty sądowe pełne są informacji o ratach spłacanych przez chłopskiego dziedzica roli swoim braciom i siostrom. Szlachcic lub jego przedstawiciel (ekonom, włodarz) mogli mniej lub bardziej ingerować w chłopski obrót nieruchomościami, lecz ich działanie zmierzało zazwyczaj do zapewnienia maksymalnego wykorzystania gruntów wiejskich i nie musiało być wymierzone w chłopskie prawo własności. Wiele chłopskich inwestycji miało na celu podniesienie możliwości gospodarczych i zwiększenie utowarowienia. Nie musiały się one wiązać z zakupem nieruchomości. Inwentarze dóbr kościelnych i królewskich potwierdzają, że kmiecie masowo dzierżawili całe gospodarstwa, pola, łąki, stawy czy lasy. Wykazywali się przy tym nie tylko samodzielną przedsiębiorczością, lecz także zakładali spółki, które dzierżawiły przeprawy rzeczne, mosty, skupowały zboże i woły, zapewniały usługi transportowe. Wszystkie te elementy sprawiały, że wśród chłopskiej ludności wiejskiej już od XV w. można było zaobserwować znaczące zróżnicowanie ekonomiczne. Jest ono widocznie nie tylko w komplikującej się z czasem strukturze społecznej wsi, w której pojawili się zagrodnicy, ogrodnicy, komornicy, różne kategorie rzemieślników czy ludzi luźnych, lecz również wśród najważniejszej grupy, czyli kmieci – dziedzicznych użytkowników działek. Musieli się oni odnaleźć w warunkach dominacji społeczno-ekonomicznej szlachty, a jednocześnie wykorzystać sprzyjające warunki rynkowe, takie jak bliskość miast czy osad targowych, duża gęstość zaludnienia czy bliskość szlaków handlowych. »

eprasa.pl e7783acae2







FOT. DOLNOŚLĄSKA BIBLIOTEKA CYFROWA

Drzeworyty z XVI w. przedstawiające pracę chłopów na roli, z dzieła „O pomnożeniu i rozkrzewieniu wszelakich pożytków ziemskich albo rolnych" Piotra Krescentyna

Czy szlachta czyhała na chłopskie pieniądze?

Czynsze, które płacili chłopi za użytkowanie gruntów, początkowo miały stanowić podstawową korzyść płynącą do skarbu króla, Kościoła czy kieszeni szlacheckich. Dobrzy zarządcy dóbr byli świadomi, że ekstrakcja zasobów chłopskich musi być prowadzona w rozsądnych granicach, nie doprowadzając do konfliktu, który mógłby zaowocować ucieczką rodziny chłopskiej, a co za tym idzie – dosyć trwałym spadkiem dochodów. Wbrew pozorom szlacheccy i instytucjonalni właściciele w swoich dobrach dziedzicznych prowadzili zwykle długofalową politykę gospodarczą, zapewniając chłopom stabilne warunki rozwoju i stosując system zachęt, jak np. kilkuletnią wolniznę. Zapisane w przywilejach lokacyjnych warunki gospodarowania, w tym wysokość czynszów, były przestrzegane, a chłopi stali na ich straży przez wiele pokoleń. Wraz ze spadkiem wartości pieniądza przy stosunkowo niewielkiej liczbie ludności i niedorozwoju rynków pojawił się pomysł, by zamiast podniesienia czynszów w pieniądzu wprowadzić robocizny w różnej formie i wymiarze. W przypadku średnich i dużych gospodarstw były one realizowane przez służących w gospodarstwach chłopskich parobków lub czeladników, a najbardziej skomercjalizowani gospodarze wykupywali się od pańszczyzny, płacąc stawki trzy–czterokrotnie przekraczające wysokość czynszów. Jak pisał w drugiej połowie XVI w. Anzelm Gostomski w swoim poradniku gospodarczym: „Robota kmiotków, to dochód albo intrata największa w Polszcze wszędy, którą robotę gospodarz tak ma szafować, coby kmiotków nie zubożył, a ku większemu pożytku co rok przywodził". Dlatego szlachta dbała, by system podatkowy nie był zbyt dotkliwy dla ludności chłopskiej, a jednocześnie świadoma zwiększenia, zwłaszcza w okresie wczesnonowożytnym, poziomu skomercjalizowania życia gospodarczego dążyła do rozszerzenia społecznej podstawy opodatkowania. Przeprowadzane w latach 60. i 70. XVI w. reformy skarbowe nałożyły niewielkie daniny pieniężne na wszystkie grupy społeczne mieszkające na wsi. Uznano, że nie tylko uposażeni w ziemię kmiecie, lecz również bezrolni mieszkańcy wsi żyjący z usług lub pracy najemnej zostali wprzężeni w gospodarkę pieniężną, dysponowali więc pewnymi zasobami gotówki i mogli płacić podatki. Najbardziej przedsiębiorcze jednostki były w stanie nie tylko rozwinąć interesy w swojej rodzinnej wsi, lecz i nabywać nieruchomości w mieście, a nawet zapewnić sobie nielegalne przejście do stanu szlacheckiego.

Wady systemu

Panujące w późnym średniowieczu i epoce wczesnonowożytnej warunki społeczno-gospodarcze, choć trudno je uznać za szczególnie przyjazne dla ludności wiejskiej, umożliwiały skomercjalizowanie gospodarki chłopskiej i bogacenie się niektórych jej grup. Obok siebie funkcjonowały instytucje i zasady sprzyjające chłopskiej przedsiębiorczości, jak i takie, które ją tłumiły. Rzeczpospolita Obojga Narodów postanowieniem unii lubelskiej stała się wielkim wolnym rynkiem dla produktów rolnych sprzedawanych przez wszystkich mieszkańców wsi (nie tyko szlachtę, lecz i chłopów). Jednocześnie szlachecki parlament stał na straży obowiązkowej pańszczyzny czy zwierzchności prawnej szlachty nad chłopami. Jak pisał Andrzej Wyczański: „We względnie wysokiej dochodowości folwarku krył się wkład bezpłatnej pracy chłopskiej – pańszczyzny – i ona też jedynie gwarantowała niskie koszty produkcji. Korzystanie zaś z niej wymagało istnienia i zachowania poddańczych gospodarstw chłopskich". Istniejące w ustroju społeczno-gospodarczym sprzeczności były łatwiejsze do pokonania w okresie wcześniejszym – przed połową XVII w. – kiedy polskie rynki były stosunkowo dobrze zintegrowane z gospodarką światową, a kraj w ograniczonym stopniu był narażony na zniszczenia wojenne. W długiej perspektywie negatywne cechy ustroju jednak przeważyły, konserwując niewydolne ekonomicznie i niesprawiedliwe stosunki w kraju. W państwie liczącym w okresie największego terytorialnego rozkwitu niemal milion kilometrów kwadratowych sytuacja chłopów nie była jednak jednolita. Wszędzie istniały mniej lub bardziej bogate elity chłopskie, których zasoby finansowe były gwarantem stosunkowo wysokiego standardu życia i dawały szansę na awans społeczny.

eprasa.pl e7783acae2

PROTESTANTYZM JAKO PRAPRZYCZYNA UPADKU RZECZYPOSPOLITEJ



JAKUB WOZIŃSKI

WYBUCH REWOLUCJI PROTESTANCKIEJ W XVI w. DOPROWADZIŁ DO OGROMNYCH ZMIAN W STRUKTURZE EUROPEJSKIEGO HANDLU I GOSPODARKI, NISZCZĄC TYM SAMYM FUNDAMENTY POLSKIEGO PAŃSTWA

Przyczyn upadku Rzeczypospolitej w XVIII w. było bardzo wiele i dotyczyły one czynników natury politycznej, ustrojowej, gospodarczej czy też ideowej. Dokonując jednak ich przeglądu, odnaleźć można pewien wątek, który spaja je w całość i ukazuje określony ciąg przyczynowo-skutkowy. Otóż mająca swój symboliczny początek w wystąpieniu Marcina Lutra z 1517 r. rewolucja protestancka okazała się dla Polski prawdziwym „game changerem" – czynnikiem, który pogrążył jej dotychczasowy status i perspektywy na przyszłość.

Tak postawiona teza musi oczywiście budzić w umyśle większości Polaków pewne niedowierzanie czy wręcz bunt. Zwykło się bowiem uważać, że szczyt potęgi naszego państwa przypadł na epokę jagiellońską, której jedną z cech charakterystycznych miała być kontrastująca z większością kontynentu religijna tolerancja. Gdy dodatkowo uwzględnimy fakt, że pomimo postępującego upadku państwa sejmy z XVIII w. były mimo wszystko w stanie wielokrotnie podkreślać jego katolicki charakter, wątpliwości co do tak postawionej tezy z pewnością nie ubywa.



Obraz „Apoteoza Gdańska", zwany też „Alegorią handlu gdańskiego", Izaak van den Blocke, 1608 r.

FOT. GYDDANYZC/WIKIPEDIA

Siła z religijnej jedności

Jednak całkowicie odmienną perspektywę uzyskamy, zadając sobie najpierw pytanie, co tak naprawdę umożliwiło powstanie polskiego państwa i uzyskanie przez nie w średniowieczu statusu regionalnego mocarstwa. Przyjęcie przez Mieszka I chrztu było nie tylko aktem ściśle religijnym i cywilizacyjnym, lecz także stanowiło akces do pewnego projektu geopolityczno-gospodarczego. Począwszy od VIII w. cała chrześcijańska Europa znajdowała »

eprasa.pl e7783acae2

» się pod naporem świata islamu, który opanował najbardziej dochodowe trakty handlowe prowadzące przez terytorium całej Eurazji (w tym przede wszystkim jedwabny szlak, który funkcjonował już w czasach starożytnego Rzymu). Włączenie Polski do wspólnoty narodów chrześcijańskich w X w. było istotnym elementem stopniowej emancypacji całej europejskiej wspólnoty religijno-politycznej. Innymi słowy, Królestwo Polskie zapewne nigdy by nie powstało, gdyby nie idea związku chrześcijańskich narodów wspólnie przeciwstawiających się innym kręgom cywilizacyjnymi i religijnym – również dla korzyści gospodarczych.

Tak długo, jak europejskie chrześcijaństwo zachowywało jedność (nawet mimo przejściowych schizm i lokalnych triumfów herezji), Polska uzyskiwała premię w postaci stabilnego i przewidywalnego międzynarodowego otoczenia. Nawet wojny toczone z sąsiadami nie przekreszy od drugiej połowy XIII w., otworzyła się przed nią historyczna szansa włączenia się w handel jedwabnego szlaku.

Za sprawą kolonii włoskich nad Morzem Czarnym przez terytorium Polski zaczęła przebiegać niezwykle istotna z międzynarodowego punktu widzenia odnoga szlaku komunikującego ze sobą rynki zachodnioeuropejskie (a w szczególności Brugię) ze światem Orientu i Bliskiego Wschodu. Spór Królestwa Polskiego z państwem krzyżackim dotyczył w znacznej mierze tego, kto będzie czerpał profity z tranzytu, o czym świadczy choćby niezwykle zawzięta rywalizacja o prawo składu między Krakowem a Toruniem w XIV–XV w. Szlak wiodący od Morza Czarnego do ujścia Wisły wprowadził Polskę do pierwszej ligi międzynarodowego handlu i przyczynił się do wielkiego ożywienia gospodarczego miast, które dzięki temu mogły odgrywać bardzo istotną rolę w życiu politycznym kraju i przeciwstawiać się szlachcie.

PROTESTANTYZM ODDZIAŁYWAŁ NA SAME FUNDAMENTY POLITYKI I HANDLU MIĘDZYNARODOWEGO, ZAMYKAJĄC NASZ KRAJ W GEOPOLITYCZNEJ PUŁAPCE

ślały na trwałe przynależności do jednego projektu cywilizacyjnego, którego spoiwem była papieska władza. To właśnie ta jedność umożliwiła Europie odniesienie wielkiego sukcesu w postaci uzyskania, dzięki krucjatom do Ziemi Świętej, bezpośredniego dostępu do wschodnich rynków. Muzułmańska bariera handlowa została złamana, a wkrótce potem wręcz przestała istnieć za sprawą najazdu Mongołów.

Otwarta droga na Wschód

W ten właśnie sposób dochodzimy do wydarzenia, które dość przypadkowo wywarło ogromny wpływ na nasze dzieje i walnie przyczyniło się do zbudowania podstaw naszej niegdysiejszej potęgi. Najazd wojowników z Dalekiego Wschodu zniszczył wprawdzie Ruś Kijowską, ale przy okazji złamał dominację muzułmańską w handlu na Bliskim Wschodzie oraz Azji Środkowej. Jeszcze w X w. Polska dostarczała do Kairu i innych metropolii tego regionu tysiące niewolników, lecz począwszy od drugiej połowy XIII w., otworzyła się przed nią historyczna szansa włączenia się w handel jedwabnego szlaku.

Dzięki uczestnictwu w lukratywnym handlu Polska stała się prawdziwą potęgą z dumnymi i zamożnymi miastami oraz rządzącą dynastią, która w drugiej połowie XV w. zaczęła kolekcjonować trony sąsiednich monarchii. Wszystko niestety zmieniło się na gorsze w momencie, gdy Turcy Osmańscy przystąpili do serii podbojów, których ukoronowaniem było zajęcie Konstantynopola i zniszczenie włoskich kolonii nad Morzem Czarnym. Bramy do Orientu zatrzasnęły się z hukiem, a wszelkie próby przeciwdziałania temu kończyły się tragicznie, jak choćby wyprawa Władysława III zamknięta klęską pod Warną.

Cała nadzieja w Bałtyku

Odcięta od szlaków prowadzących na Wschód Polska nie straciła jednak szans na pomyślną przyszłość, gdyż czysto teoretycznie posiadała dostęp do morza i mogła wzorem wielu innych państw uczestniczyć w kolejnych latach w wielkiej akcji kolonizatorskiej, pozwalającej na wejście na rynki wschodnie dzięki szlakom morskim wiodącym przez Atlantyk. W następstwie katastrofalnego w skutkach błędu króla Kazimierza Jagiellończyka, który udzielił w 1454 r. Gdańskowi wielkiego przywileju handlowego, Królestwo Polskie realnego dostępu do morza jednak nie miało.

O ile zwycięska rekonkwista islamu na Bliskim Wschodzie zniszczyła najważniejszy dla polskiej gospodarki – i państwowości – szlak handlowy na odcinku wschodnim, o tyle jego destruktorem na odcinku zachodnim okazała się rewolucja protestancka. Jej głównymi reprezentantami w Polsce był Gdańsk i szlachta. Miasto nad Motławą przeżyło swój ikonoklastyczny szał w 1525 r. i od tego momentu stało się jeszcze bardziej wyobcowane względem przeważająco katolickiej reszty kraju. U ujścia Wisły upadek handlu czarnomorskiego nie był zresztą aż tak bardzo odczuwalny, ponieważ od końca XV w. niezwykle wzmógł się handel zbożem.

W przypadku szlachty podjęcie haseł rewolucji protestanckiej stanowiło wprost kontynuację procesów zapoczątkowanych znacznie wcześniej. Skupieni na walce o czeski i węgierski tron Jagiellonowie, którzy na dodatek całkowicie zaniedbywali politykę morską, udzielali szlachcie od połowy XV w. kolejnych przywilejów. Silne dotąd miasta nie były w stanie się temu przeciwstawić, gdyż na skutek załamania się handlu tranzytowego przez Polskę straciły znaczną część dochodów. Rosnący popyt na zboże wzmocnił zaś nieoczekiwanie szlachtę, która w protestanckich postulatach uczynienia Kościoła ubogim znalazła wygodne uzasadnienie do rabunku ziem i przeznaczenia ich pod coraz bardziej dochodową uprawę.

Gdyby handel prowadzący od Morza Czarnego aż po ujście Wisły nie załamał się, nie doszłoby zapewne nigdy do totalnego zawłaszczenia polskiego państwa przez stan szlachecki, który tworząc pospiesznie folwarki i przykuwając w oparciu o religijne nowinki ludność wiejską do swoich włości, stworzył podstawy gospodarczego marazmu polskiego państwa, skutkującego po XIX w. Polskie zboże, drewno i towary okrętowe płynęły z dóbr szlacheckich do Holandii i innych krajów zachodnich, umożliwiając im bujny rozkwit i wielkie podboje kolonialne. W tym samym czasie stłamszone przez Gdańsk oraz sprotestantyzowaną szlachtę polskie miasta znalazły się na równi pochyłej, gdyż odcięto je od najbardziej dochodowych szlaków.

eprasa.pl e7783acae2



FOT. MUZEUM NARODOWE W GDAŃSKU

Stara pakownia na Wyspie Spichrzów, Gdańsk

Niezwykle pomyślna koniunktura na zboże i towary leśne z Polski stworzyły tym samym wielkie złudzenie „złotego wieku" opartego na jagiellońskiej tolerancji i wielokulturowości. Wysokie ceny pszenicy skrywały katastrofę, która już się wydarzyła. Katastrofa ta przybrała wyraźny charakter geopolityczny, gdyż w następstwie zniszczenia jedności Rzeczypospolitej Chrześcijańskich Narodów protestancka północ kontynentu nawiązała wieloletnią i owocną współpracę ze światem islamu. Mimo że Polska sąsiadowała bezpośrednio z Turcją, sułtan dopuszczał do lukratywnego handlu wschodniego na swoim terytorium głównie gości z odległej Holandii czy Anglii.

Wielkie plany króla Zygmunta

Jak już wspomniano, upadek szlaków łączących Bałtyk z Morzem Czarnym można było wciąż sobie zrekompensować włączeniem się w wielki handel międzynarodowy prowadzony przez Atlantyk lub przez terytorium zajmowane przez państwo moskiewskie. Wielkość polityki realizowanej przez Zygmunta III Wazę polegała właśnie na tym, że doskonale rozumiał, iż Rzeczpospolita musiała jak najszybciej wykuć dla siebie okno na światowy handel. Obóz protestancki, któremu przewodziła wówczas Holandia, uczynił jednak bardzo wiele, aby plany polskiego monarchy nigdy nie zostały zrealizowane. Holenderski kapitał uczynił ze Szwecji potęgę przemysłową i militarną, która nie dość, że pokrzyżowała plany Zygmunta wobec szwedzkiego tronu, to na dodatek mocno przeszkodziła w skutecznym przejęciu władzy w Moskwie. Potęgi protestanckie wspólnie z Gdańskiem miały także duży udział w tym, że nie powiódł się wielki plan utworzenia w czasie wojny trzydziestoletniej wspólnej hiszpańsko-cesarsko-polskiej armady na północy kontynentu, która mogłaby potencjalnie złamać dominację Holendrów i Anglików.

Mogąc swobodnie budować własne statki i pływać nimi przez duńskie cieśniny w stronę Atlantyku, Rzeczpospolita byłaby w stanie powstrzymać swój upadek. Licząc w XVII w. ponad 7,5 mln mieszkańców i dysponując ogromnym terytorium, stanowiła tak naprawdę wielkie zagrożenie dla potęg morskich. O tym, że wielki potencjał polsko-litewskiego państwa nie został nigdy wykorzystany, zadecydowały ostatecznie kwestie religijne. Państwa protestanckie uczyniły z Gdańska swego rodzaju czop, który konsekwentnie powstrzymał kolejne próby utworzenia polskiej floty. Duńskie okręty niszczyły zalążki polskiej floty m.in. w 1571 i 1637 r.

Sam luterański Gdańsk stanowił zaś ulokowane w krytycznym dla polskiej gospodarki miejscu ciało obce znajdujące się na usługach holenderskich finansistów. W kluczowym dla uzyskania przez protestantów dominacji nad światem katolickim XVII w. Holandia czerpała największe finansowe korzyści właśnie z handlu bałtyckiego sprzężonego z handlem z Półwyspem Iberyjskim. Holendrzy nazywali go „moedernegotie" (matką wszystkich handlów), zapewniającym największe przychody oraz przesądzającym o potędze i rozmiarze ich floty. Wielkie zyski czerpane z eksploatacji gospodarczej Rzeczypospolitej pracowały w ten sposób na holenderskie bogactwo i subsydia przekazywane przez Holendrów biedniejszym krajom protestanckim na całym kontynencie. Obóz szlachecki w Polsce nie przeciwstawiał się nigdy temu w żaden stanowczy sposób, gdyż od czasów rewolucji protestanckiej jego sympatie polityczne lokowały go tradycyjnie po stronie przeciwników Habsburgów.

Ostatecznego dzieła zniszczenia Rzeczypospolitej dokonały w XVIII w. Rosja, Prusy i Austria, lecz pod wieloma względami ich działania stanowiły zaledwie dopełnienie demontażu gospodarczych podstaw zapoczątkowanego znacznie wcześniej. Po katastrofie wojen z połowy XVII w. Polska była już zwyczajnie zbyt słaba na to, aby realnie przeciwstawić się koncertowi mocarstw. Rzecz jasna, wciąż jeszcze mógł się wydarzyć cud, ale decydujący cios, który skazał naszą ojczyznę na niezwykle długie konanie, został zadany wraz z rozprzestrzenieniem się protestantyzmu. Jako kraj znajdujący się na wschodniej flance dawnego katolickiego systemu geopolitycznego długo i dzielnie stawialiśmy opór, ale bez odpowiednich podstaw gospodarczych stracił on w pewnym momencie rację bytu.

Skupiając się na cudzych winach, łatwo niestety zapomnieć o grzechach własnych. W przypadku Polski największym z nich było dopuszczenie do sekularyzacji państwa krzyżackiego w 1525 r., które doprowadziło do utworzenia pierwszego w dziejach państwa protestanckiego. Niestety to właśnie Królestwo Polskie pozwoliło na precedens, który szybko obrócił się przeciwko niemu. Jedność religijna, będąca fundamentem ładu międzynarodowego zapewniającego Polsce bezpieczeństwo, pękła po raz pierwszy za sprawą Zygmunta Starego. Gdy później cesarze i katoliccy królowie sprzymierzali się ku naszej klęsce z protestanckimi potęgami morskimi niweczącymi nasze szanse na uzyskanie dostępu do Atlantyku, byliśmy całkowicie bezradni.

Wbrew temu, co się najczęściej mówi, protestantyzm nie był wcale zjawiskiem, które wpłynęło na rzeczywistość gospodarczą głównie w obszarze etyki i ducha pracy. Na przykładzie dziejów Polski widać najlepiej, że oddziaływał na same fundamenty polityki i handlu międzynarodowego, zamykając nasz kraj w geopolitycznej pułapce. Niestety w naszej zbiorowej świadomości, zamiast dostrzegać w rewolucji protestanckiej główną przyczynę późniejszego upadku polskiego państwa, zdajemy się nieustannie na kliszę tolerancji.

eprasa.pl e7783acae2

OD ETATYZMU DO REPRYWATYZACJI

II RZECZPOSPOLITA MIĘDZY LIBERALNYMI DEKLARACJAMI A ETATYSTYCZNĄ RZECZYWISTOŚCIĄ

19 STYCZNIA 1939 r. RADA MINISTRÓW PODJĘŁA UCHWAŁĘ O CZĘŚCIOWEJ REPRYWATYZACJI PRZEDSIĘBIORSTW PAŃSTWOWYCH NA PODSTAWIE OPINII SPECJALNEJ KOMISJI RZĄDOWEJ DO ZBADANIA GOSPODARKI PRZEDSIĘBIORSTW PAŃSTWOWYCH. OPINIA KOMISJI KWALIFIKOWAŁA ETATYZM PRAKTYKOWANY W II RZECZYPOSPOLITEJ JAKO SOCJALIZM



ANDRZEJ SADOWSKI

prezydent Centrum im. Adama Smitha

Odzyskanie niepodległości następuje w warunkach olbrzymich zniszczeń wojennych, dezintegracji społeczeństwa i separatyzmu dzielnicowego oraz dotkliwej utraty rynków zbytu istniejących poprzednio w ramach zaborów. Odwrotnie proporcjonalnie do tragicznej sytuacji odrodzonego państwa polskiego w powszechnej świadomości rodzi się i trwale zakorzenia pozaracjonalna wiara w jego wszechmoc. Wzmacnia ją zwycięska wojna z Rosją sowiecką. Polska z „państwa sezonowego" staje się krajem frontowym, którego zasób zbiorowych wyobrażeń jest kontynuacją idei przedmurza chrześcijaństwa i mesjanizmu.

Odzwierciedleniem i wyrazem sytuacji oraz idei organizujących wyobraźnię społeczeństwa i jego elit jest przyjęta konstytucja marcowa. Wolnościowe aspiracje leżą u konstrukcji ustroju ultraparlamentarnego, który posiadają państwa z ciągłością swoich instytucji politycznych. Powstaje ustrój określany jako „absolutyzm parlamentarny", czyli sejmowładztwa. Istnienie demokratycznego społeczeństwa według Antoniego Z. Kamińskiego jest możliwe „jedynie w warunkach wysoko rozwiniętej gospodarki rynkowej oraz sprawnej biurokracji i znacznego wyrafinowania metod działania w sferze organizacyjnej i formalnych". Niepodległe państwo polskie nigdy nie posiadło w jednym czasie wszystkich tych elementów, aby dokończyć proces europeizacji i stać się w pełni nowoczesnym, gospodarczo oraz politycznie dojrzałym państwem.

Adam Krzyżanowski szukał przyczyn konstytucyjnego absolutyzmu parlamentarnego w chęci neutralizacji nadmiernej roli państwa w życiu gospodarczym, przyznaniu Sejmowi udziału nie tylko w ustawodawstwie, lecz także w rządzie. Powoduje to permanentny zatarg między Sejmem, reprezentantem społeczeństwa, a rządem jako synonimem państwa. Młody parlamentaryzm polski jest proporcjonalny do istniejącego zaangażowania państwa w życie ekonomiczne. Jego nadmiar powoduje i potęguje ujemne skutki etatyzmu, którego rozszerzanie z kolei uniemożliwia sprawne funkcjono-



Pogodzenie w II RP zasad wolności gospodarczej z aktywnością państwa w budowie przemysłu było wielkim wyzwaniem. Na zdjęciu Państwowa Fabryka Związków Azotowych w Mościskach

wanie parlamentaryzmu. Takiego stanu rzeczy nie zmieni nawet zamach majowy, następujący w sytuacji niezmniejszającego się zaangażowania państwa w gospodarkę. Tendencja okaże się trwała, co jest wynikiem zarówno wielkiego kryzysu, „jak i konsekwencją wyznawanej przez sprawujący władzę obóz belwederski ideologii".

Etatyzm a rozwój gospodarczy

Dramatyczny wymiar zależności przedstawił Adam Heydel, pisząc: „Trzeba spojrzeć prawdzie w oczy. W Polsce władza wkracza w życie gospodarcze bezustannie i na każdym polu. Polska ponosi dzięki temu straty, sięgające zawrotnych sum, z roku na rok, co dzień, co godzina. Bez przerwy płynie około nas strumień bogactwa. Etatyzm uniemożliwia czerpanie zeń z całą możliwą sprawnością. Rozpraszają się zasoby energii. Mozoły i trud jednostek idą na marne i przepadają bezpowrotnie". Nie ma najmniejszej wątpliwości, że w ujęciu liberalnym etatyzm nie tylko nie przyczynia się do rozwoju gospodarczego, lecz wręcz go opóźnia czy nawet uniemożliwia. Interesująca jest natomiast argumentacja, która – mając za punkt odniesienia ówczesną rzeczywistość gospodarczą – posiada wymiar uniwersalny. Wychodzi ona z założenia historycznie zweryfikowanego, że liberalizm jest tani, natomiast etatyzm kosztowny. Krzyżanowski przełożył powyższą obiektywną prawdę na zależność, w której „rozszerzenie zakresu działalności państwa jest identyczne ze wzrostem wydatków". W takiej sytuacji majątek publiczny staje się źródłem niedoborów, które zaczynają być pokrywane zwiększaniem obciążeń podatkowych. Mimo że państwo inwestuje pieniądze pochodzące z podatków, dalej jest to – jak pisze Heydel – „skierowanie pewnej sumy sił gospodarczych, które szłyby w kierunku kapitalizacji rentownej, ku produkcji nierentownej. Ogólnie mówiąc, jest to obniżenie rentowności gospodarki społecznej, jej zamrożenie i usztywnienie". Przyczyną tego stanu rzeczy jest istnienie przedsiębiorstw państwowych, które są nierentowne. Dzieje się tak dlatego – jak pisał Krzyżanowski – że „zasada gospodarności, stanowiąca istotę zjawisk ekonomicznych, w zakresie gospodarki publicznej nie jest czynnikiem rozstrzygającym, jak w zakresie gospodarki prywatnej". Heydel ujął problem bardziej wyraziście, że „przedsiębiorstwa prowadzone przez organizacje przymusowe (państwo, gminy) nie pod kątem widzenia materialnego zysku są, z punktu widzenia bogactwa społecznego, trwonieniem bezpowrotnym jego zasobów; są przeto gospodarczo szkodliwe". Przedsiębiorstwa państwowe jako nierentowne nie dokonują akumulacji, wymagają natomiast stałych dopłat. Państwo ma tylko jedną możliwość ich uzyskania. W takiej sytuacji „gospodarka prywatna żywi publiczną" – obrazowo stwierdza Krzyżanowski. Kierunek zależności jest oczywisty, zważywszy na immanentne cechy przedsiębiorstw państwowych czy całego sektora w ogóle. Ma on zawsze wyższe koszty produkcji niż sektor prywatny, biorące się z konieczności istnienia kontroli. Pracownik sektora państwowego nie jest prywatnym przedsiębiorcą ani nawet posiadającym część własności przedsiębiorstwa, co w naturalny sposób by go motywowało i integrowało. Jest urzędnikiem. Dlatego przedsiębiorstwo państwowe musi mieć charakter biurokratyczny, nawet gdyby poddane było komercjalizacji. Nie może istnieć w jego przypadku taka sytuacja jak u prywatnego przedsiębiorcy, który bezpośrednio uczestniczy w zyskach swego przedsiębiorstwa, gdyż pracownik przedsiębiorstwa państwowego nie jest zainteresowany bezpośrednio jego zyskami. Ich nieobecność eliminuje ryzyko i odpowiedzialność, co jest niezbędne do prowadzenia zyskownej działalności. Sprawą nie mniej ważną jest dobór kierownictwa przedsiębiorstw państwowych, który nie opiera się na merytorycznych kwalifikacjach, ale na politycznej lojalności. Przy tej konstrukcji funkcjonowania przedsiębiorstw państwowych inwestycje państwowe są w najlepszym wypadku „tezauryzacją, tworzeniem kapitałów martwych, drzemiących. Skoro zaś dokonuje się ich z rozdętych ciężarów podatkowych, to stwarza się kapitał martwy z pieniędzy, które pozostając w obrocie, stworzyłyby kapitał lokowany rentownie, a więc produkcyjnie". Etatyzm nie tylko nie dokonuje wolnorynkowej alokacji kapitału, lecz również jest systemem potencjalnie „straconych szans". Jego zaawansowany poziom w życiu gospodarczym według twierdzenia Krzyżanowskiego „zniechęca zagranicznych wierzycieli do lokowania kapitału w państwie, które hołduje tej polityce, ponieważ polityka ta osłabia organizm gospodarczy społeczeństwa, a więc utrudnia spłatę procentów i zwrot pożyczonego kapitału". W świetle powyższego wyjaśnienia nietrudno zrozumieć niechęć kapitału obcego do inwestowania w Polsce. Wynikała ona nie z uprzedzeń, ale z analizy polityki gospodarczej i możliwości osiągania zysków, „[...] gdyż takie tylko państwo, w którym rentuje się przedsiębiorczość prywatna, może się spodziewać przypływu do siebie obcych kapitałów i wytworzenia własnych" – konkludował A. Krzyżanowski.


Adam Krzyżanowski


Adam Heydel

FOT. NAC (3X)

Granice działalności państwa i projekt reformy etatyzmu

Odzyskanie niepodległości wywołuje zjawisko silnej identyfikacji społeczeństwa z państwem. Powoduje to utożsamienie się z celami państwa i niedostrzeganie odrębności swoich interesów przez społeczeństwo. W tej sytuacji Krzyżanowski stwierdza wyraźnie, że „zadaniem państwa jest zapewnić obywatelom »



» bezpieczeństwo mienia i życia [...], dbałość o rozpowszechnienie oświaty, zdrowotności, organizacja pieniężno-kredytowa, utrzymanie środków przewozu i porozumiewania się [...], zabezpieczenie bezpieczeństwa na zewnątrz i wewnętrznego przez urzeczywistnienie porządku prawnego, stworzenie pomyślnego rozwoju kultury". Zakreślona przez Krzyżanowskiego sfera działalności państwa jest nieco szersza niż w klasycznej koncepcji liberalnej. Pod wpływem ciśnienia rzeczywistości pozwoli on teoretycznie na jej dalsze rozszerzenie. Zgoda wypływać będzie nie z przekonania o nieodwracalnej konieczności, ale z realnej oceny praktycznej niemożliwości wycofania się państwa z zajętych obszarów życia. Dlatego widoczną granicą działalności państwa jest sytuacja, w której majątek publiczny wzrasta szybciej niż majątek prywatny. Alarmujące staje się wtedy, gdy istniejący zakres działalności państwa powoduje wydatki skarbu pokrywane ze zwiększonego opodatkowania. Przeciążenie podatkowe, które wówczas powstaje, wyczerpuje kapitały obrotowe i powoduje wzrost stopy procentowej, sygnalizujący w ten sposób przekroczenie istniejących dotychczas granic działalności państwa. Dlatego ich zakreślenie Krzyżanowski ujął w następujący sposób, pisząc, że „o etatyzmie można orzec stanowczo i pewnie tylko tyle, że staje się oczywistą klęską, gdy kosztuje zbyt wiele, można natomiast bezkarnie rozszerzać działalność państwa, póki stan finansów jest zadowalający".


Stanisław Głąbiński

W zbliżonym duchu brzmi stwierdzenie Stanisława Głąbińskiego, że „należy [...] w Polsce etatyzm ograniczyć do kierunków i form powszechnie przyjętych i uznanych". Należały do nich komunikacja, poczta, sprawy socjalne. Natomiast Heydel, wychodząc z założenia, że potrzeby jednostek wyrażają się w popycie, tj. „w gotowości do płacenia za dobra, dochodzi do wniosku, że są jednak dobra (lub usługi), z których korzystać może każdy, nie płacąc za nie. Klasycznym przykładem może być oświetlenie ulic w mieście". Podając jeszcze inne przykłady, dowodzi istnienia odrębnej grupy potrzeb i usług. Nazywa je potrzebami kolektywnymi, których wyróżnikiem jest to, że „żywo odczuwane przez jednostki, nie wywołują popytu", a brak popytu nie uruchamia prywatnej produkcji. Heydel dochodzi do konkluzji, że gospodarka prywatna w tym punkcie zawodzi i jest to pierwsze ograniczenie liberalizmu. Na następne można się natknąć w sytuacji, gdy za zaspokojenie potrzeb ludzie gotowi są płacić, ale nie tyle, aby pokryło to koszty uzyskania. Państwo, uznając ważność tych potrzeb, bierze na siebie obowiązek dostarczenia ich po cenach niższych od kosztów wytwarzania, pokrywając różnice z podatków. Należą do nich: oświata, higiena ludowa czy takie kuchnie. Konieczność działalności państwa w tym zakresie nie może jednak przesłaniać faktu, że „podatki, które zostają skierowane na dostarczenie tych dóbr, nie tylko przesuwają kapitały z jednej kieszeni do drugiej, lecz eo ipso uszczuplają w zasadzie ogół bogactwa społecznego", dlatego Heydel stosuje kryterium istotnych żywych potrzeb, odróżniając je od postulatów przejmowanych od innych wyżej rozwiniętych społeczeństw. Brak rozdziału między potrzebami a postulatami prowadzi do rozbudowy działalności państwa w niektórych gałęziach powyżej rzeczywistych potrzeb kolektywnych.

Ferdynand Zweig natomiast daleko bardziej uznaje za konieczną ingerującą działalność państwa. Dokonując przewartościowań klasycznego liberalizmu, stwierdza: „Liberalizm pasywny, liberalizm założonych rąk, liberalizm fałszywego harmonizmu i solidaryzmu, jeno liberalizm aktywny, domagający się interwencjonizmu państwa na szerokiej płaszczyźnie, ale interwencjonizmu należycie zorientowanego, liberalizm głoszący hasła równych szans dla obywatela, zasadę równych punktów wyjścia. Jest to liberalizm nie tylko domagający się wolnej gry sił, ale utworzenia warunków dla tej »wolnej gry« w strukturze społeczno-gospodarczej – przez dążenie do bardziej wyrównanego ustroju własności zarówno w rolnictwie, jak i w przemyśle, przez ochronę pracy, przez oświatę i kulturę ludu". Zweig adoptuje liberalizm do nieodwracalnych jego zdaniem niektórych zmian, dlatego projekt dotyczący reformy etatyzmu nie żąda bezpośredniej jego likwidacji. Pierwsze rozwiązanie i tak byłoby niemożliwe, gdyż niesłabnąca polityka etatystyczna, prowadzona nawet w okresach oficjalnych przyrzeczeń i zapewnień o jej poniechaniu, osłabiła na tyle przedsiębiorstwa prywatne, że te nie byłyby w stanie przejąć większych przedsiębiorstw państwowych. Stąd propozycje stworzenia warunków do podniesienia rentowności przedsiębiorstw prywatnych, która umożliwi powstanie kapitałów zdolnych w przyszłości do przejęcia od państwa nawet tych dużych przedsiębiorstw. Jest to droga dłuższa, ale stwarzająca bardziej realne możliwości likwidacji etatyzmu w przyszłości niż próba natychmiastowego przekazania w ręce prywatne wielkich fabryk bez stworzenia podstaw ich funkcjonowania. Ograniczenia bezpośredniej prywatyzacji tkwią również w stagnacyjnym charakterze gospodarki polskiej, który Tadeusz Bernadzikiewicz określił jako „permanentny zastój". Wynika on z niewłaściwej struktury zdeformowanej natężaniem etatyzmu oraz autarkii. Właściwy kształt polskiej gospodarki mógłby powrócić, gdyby nastąpiła reforma etatyzmu. Bernadzikiewicz ujmuje ją w pięciu zasadniczych punktach: 1. zrównanie przedsiębiorstw państwowych z prywatnymi przez zniesienie sztucznych warunków uprzywilejowania; 2. jawność działalności przedsiębiorstw państwowych, sprawozdań, ocen i wyników kontroli; 3. opracowanie przepisów ograniczających automatyczne rozszerzanie się etatyzmu i zakładanie nowych przedsiębiorstw, a także likwidujących ukryte dotacje; 4. regularne wykazywanie „przerostów etatyzmu" i ich likwidacja; 5. traktowanie powyższych czterech postulatów jako przygotowania do reformy zasadniczej.


Ferdynand Zweig

Postulaty reformy etatyzmu miały charakter „programu minimum". Nigdy nie doczekał się wcielenia w życie, mimo że Rada Ministrów podjęła uchwałę o częściowej reprywatyzacji przedsiębiorstw państwowych. Stało się to dopiero na początku roku 1939, kiedy wolność gospodarcza wraz z liberalizmem gospodarczym były pojęciami funkcjonującymi już tylko w ekonomii czysto teoretycznej, nie zaś w praktyce.

FOT. NAC (2X)

eprasa.pl e7783acae2



eprasa.pl e7783acae2



JAN ŻARYN

NARODOWCY II RP Z EKONOMIĄ NA TY

NALEŻELI DO POLSKIEJ ELITY INTELEKTUALNEJ POSZUKUJĄCEJ STALE LEPSZYCH ROZWIĄZAŃ GOSPODARCZYCH DLA SWEGO NARODU



Jeden z nich, Roman Rybarski, pisał: „Nowe ustroje społeczno-gospodarcze nie są dziełem doktryny, lecz wynikają z potrzeb życiowych, z przeobrażeń ekonomicznych, które dokonują się w praktyce”.

Plejada gwiazd

Ta zdolność rozumienia zmiennych stanowiła główną zaletę obozu narodowego. Jak pisał prof. Władysław Konopczyński w swych dziennikach, obejmując w grudniu 1922 r. mandat posła Sejmu I kadencji z ramienia obozu narodowego (klub nosił nazwę Związek Ludowo-Narodowy), jego obóz polityczny „posiadał niezaprzeczalnie najwięcej sił wysokowykwalifikowanych: któż w Sejmie znał życie konstytucyjne i skarbowość lepiej niż [prof. UJK Stanisław] Głąbiński, kto przemysł lepiej niż Andrzej Wierzbicki [dyrektor Centralnego Związku Polskiego Przemysłu, Górnictwa, Handlu i Finansów „Lewiatana”], rolnictwo lepiej niż [Jerzy N.] Gościcki lub [prof. SGGW Witold] Staniszkis, politykę zagraniczną lepiej niż Stanisław Grabski lub [Marian] Seyda, sprawy oświatowe lepiej niż [prof. UJ Stanisław] Rymar”. O każdej z tych postaci należy prędzej czy później napisać niejedną rozprawę doktorską lub habilitacyjną. Listę wybitnych postaci, które łączyły w sobie kompetencje merytoryczne (w tym z dziedziny gospodarczej) z polityczną aktywnością w obozie narodowym, było, rzecz jasna, dużo więcej. Listę można zatem poszerzać choćby o nazwiska profesorów, jednocześnie premierów i ministrów: Władysława Grabskiego, Jerzego Zdziechowskiego i Romana Rybarskiego, czy też z młodszego pokolenia o Wojciecha Zaleskiego lub Adama Doboszyńskiego, o profesurę uniwersytecką: Edwarda Taylora czy Adama Heydla. W szeregach Ligi Narodowej, w różnych okresach jej istnienia, w towarzystwach społeczno-gospodarczych lub też kasach kredytowych, a potem w wolnej już Polsce wśród działaczy gospodarczych szczebla centralnego i lokalnego bądź samorządu terytorialnego, odnajdujemy członków i sympatyków obozu narodowego, wybitnych ziemian, praktyków właściwego gospodarowania, m.in. członków Centralnego Towarzystwa Rolniczego i autorów tekstów z dziedziny gospodarczej: Jana Steckiego, Mariana Kiniorskiego, czy Jana Kleniewskiego, a także mniej znanych: Władysława Grabskiego z Jarocina czy Mariana Głowackiego z Pleszewa. Dwóch spośród wymienionych warto przybliżyć.

„W wyścigu cywilizacyjnym wygrywać mają nie te narody, które doświadczają ubóstwa, ale te, które dysponują kapitałem, w naszym wypadku polskim” – pisał Roman Rybarski

Jeden z najwybitniejszych

Roman Rybarski (1887–1942), prawnik, profesor ekonomii, działacz obozu narodowego, publicysta, urodził się 3 sierpnia 1887 r. w Zatorze. Maturę zdał w Rzeszowie. Miał staranne wykształcenie;

FOT. NAC

był uczniem prof. Włodzimierza Czerkawskiego ze szkoły liberalnej krakowskiej. Jako absolwent Wydziału Prawa Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie swoją karierę związał z tym grodem. Jako student włączył się w prace konspiracyjnego ZMP „Zet", wydającego miesięcznik „Teka"; został też prezesem jawnego Zjednoczenia Młodzieży Narodowej. W 1910 r. doktoryzował się, a następnie kontynuował studia w Paryżu. W tym samym roku został przyjęty do tajnej Ligi Narodowej. Po powrocie z naukowych wojaży został w 1912 r. asystentem w Polskiej Szkole Nauk Politycznych w Krakowie, od 1913 r. jako docent. W 1916 r. przeniósł się na UJ, gdzie kierował Katedrą Ekonomii Politycznej (ostatecznie do 1920 r.), od 1917 r. jako profesor nadzwyczajny w zakresie skarbowości. Ważnym momentem w jego życiu był wyjazd do Paryża na konferencję pokojową w Wersalu, gdzie od marca do lipca 1919 r. był ekspertem w sprawach gospodarki oraz finansów; m.in. zasiadał w Komisji Odszkodowań i Finansów. W latach 1921–1924 jako profesor ekonomii wykładał na Politechnice Warszawskiej. Był czynnym politykiem. W latach 1919–1920 pełnił funkcję podsekretarza stanu w Ministerstwie byłej Dzielnicy Pruskiej i jednocześnie (do 1921 r.) był wiceministrem skarbu w kolejnych rządach Skulskiego, Grabskiego i Witosa.

W II RP był jednym z przywódców obozu narodowego i autorem jego programu gospodarczego. Jak piszą znawcy jego poglądów, nie był zwolennikiem dogmatyzmu w ekonomii, choć pozostał wierny liberalizmowi gospodarczemu. Za punkt wyjścia w swoich rozważaniach uznawał dobro polskiego narodu. „W wyścigu cywilizacyjnym wygrywać mają nie te narody, które doświadczają ubóstwa, ale te, które dysponują kapitałem, w naszym wypadku polskim" – pisał. Pamiętał jednak, że dążenie do bogactwa tak indywidualnego, jak i narodowego nie jest celem samym w sobie: „nie jest tytułem do zajęcia najwyższego stanowiska w hierarchii życiowej, bogactwo nie jest najwyższą wartością". Nie jest najwyższym „dobrem, dla którego trzeba wszystko poświęcać". Ta powściągliwość w dążeniu do egoistycznego zysku będzie główną cechą narodowców ekonomistów, poddających krytyce narody i ludzi, którzy mamonę traktować chcieli jako nowe bóstwo i po trupach, także członków własnego narodu, kierować wytwórczością. Rybarski moralista opowiadał się jednak za zasadami wolnego rynku, ale jednocześnie oprócz dążenia do pomnażania zysku uznawał inne motywacje wpływające na decyzje i rozwój narodu oraz jednostki – od potrzeby pracy, przez kwestie religijne i patriotyczne. Te motywacje wypływały z polskiego charakteru, odrębności narodu, a więc stanowiły niezbędną siłę; naród nie powinien ślepo naśladować najbogatszych w imię postępu, ale wbrew własnemu obyczajowi. Uznawał własność prywatną jako podstawę rozwoju gospodarczego. Twierdził, że państwo nie może być monopolistą, a także podkreślał szkodliwość przymusowych ubezpieczeń, monopoli i koncesji oraz rozbudowanych podatków, kredytów państwowych i nieczytelnego prawa hamującego możliwości rozwoju gospodarczego. Był zwolennikiem, mówiąc dzisiejszym językiem, podatku liniowego. Uważał, że tylko mobilizowanie Polaków do oszczędności dawało szansę na pomnożenie rodzimego kapitału. Swoich poglądów ekonomicznych bronił także w latach 30. mimo kryzysu gospodarczego i kompromitacji liberalizmu.

CELEM NOWEGO ŁADU, POSTULOWANEGO PRZEZ WOJCIECHA ZALESKIEGO, MIAŁO BYĆ WZMOCNIENIE DROBNEJ I ŚREDNIEJ PRZEDSIĘBIORCZOŚCI, OPARTEJ NA RODZINNYM, POLSKIM KAPITALE

W grudniu 1926 r. został członkiem Wielkiej Rady Obozu Wielkiej Polski (OWP). Od 1928 r. należał też do ścisłego kierownictwa Stronnictwa Narodowego, był członkiem tajnej Straży Narodowej, członkiem Komitetu Politycznego SN (od 1935 r. Komitetu Głównego), także jako poseł na sejm (w latach 1928–1935) z ramienia SN był przewodniczącym klubu. Pozostał w pamięci jako znakomity mówca i krytyk obozu władzy, sanacji: „Człowiek posiadający dużą inteligencję, przygotowanie zwłaszcza w zakresie spraw gospodarczych, charakter i dobrą wymowę – wspominał profesora Stanisław Kozicki, narodowiec z Krakowa – Rybarski był 100 proc. »demokratą« i wierzył w skuteczność walki parlamentarnej. Ja miałem pewne »odchylenie« w kierunku faszystowskim i dawałem temu wyraz w artykułach z dziedziny polityki zagranicznej". Rybarski także wchodził w polemiki polityczne i gospodarcze w ramach swego obozu, pisząc do „Gazety Warszawskiej", „Myśli Narodowej", a po 1935 r. na łamach „Warszawskiego Dziennika Narodowego". Pozostał jednym z liderów pokolenia „starych" narodowców, nazywanych przez młodych „grupą profesorską" lub „demoliberalną", uparcie tkwiącą w przywiązaniu do parlamentaryzmu i zasad gospodarki liberalnej. Swoje poglądy wyraził wówczas w wydanej w 1936 r. pracy pt. „Siła i prawo", kierując ostrze krytyki w stronę ówczesnej elity obozu sanacji. Był przeciwnikiem „państwa monopolicznego", które „nie zna rozdziału, nie zna granicy między swoim własnym życiem, swą sferą działania, a życiem społecznym poza państwem. [...] Życie narodów jest zbyt bogate, by dało się zamknąć w jednolitych formach, by mógł istnieć jeden szablon tego życia". Uznawał „naród polski" i jego odmienność za wartość nadrzędną: „Naród nie jest abstrakcją, lecz żywą całością historyczną. Jego właściwości, jego tradycje, warunki, w których ten naród żyje, muszą być podstawą polityki, także i polityki ekonomicznej" – pisał tuż przed wybuchem II wojny światowej. „Głosi zasady wolnego rynku, ale równocześnie przewiduje zmierzch dominującej roli gigantów produkcyjnych. Wieści to, co się spełniło po II wojnie światowej: przyszłość gospodarki to rozwój małych i średnich firm dobrze skooperowanych" – wspominał po latach lekturę prac profesora Wiesław Chrzanowski.

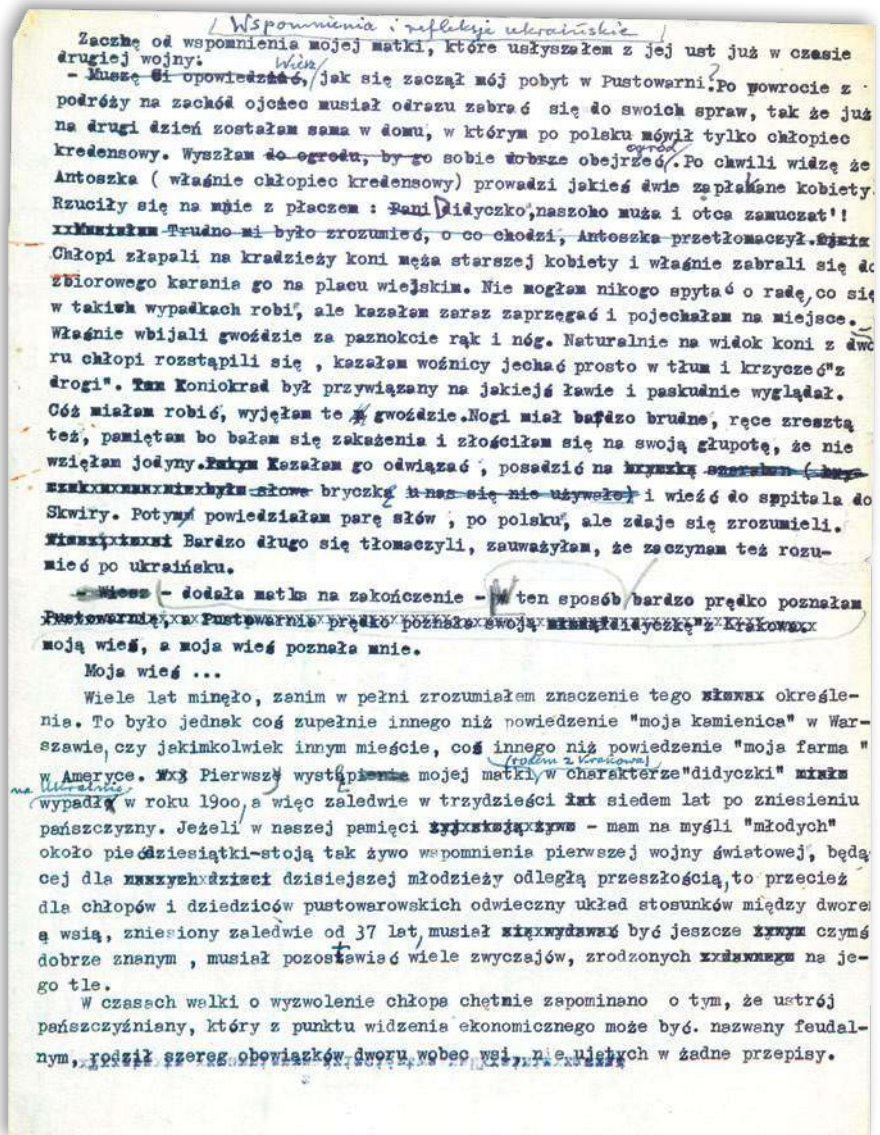
Po wybuchu wojny we wrześniu 1939 r. Rybarski włączył się natychmiast do pracy w konspiracji, m.in. doprowadzając do spotkania przedstawicieli SN, SL i PPS, którzy utworzyli Główną Radę Polityczną przy Służbie Zwycięstwu Polsce, przekształconą w lutym 1940 r. »

eprasa.pl e7783acae2

» w Polityczny Komitet Porozumiewawczy. Równocześnie, już we wrześniu 1939 r., został wiceprzewodniczącym Sekcji Finansowej Stołecznego Komitetu Samopomocy Społecznej, a następnie od marca 1941 r. członkiem Rady Głównej Opiekuńczej, jedynej legalnej organizacji działającej w GG. W ramach tajnej administracji cywilnej Polskiego Państwa Podziemnego, czyli powstającej Delegatury Rządu na Kraj, został pierwszym dyrektorem Departamentu Skarbu aż do aresztowania 17 maja 1941 r. Osadzony na Pawiaku został poddany brutalnym przesłuchaniom, a następnie 21 lipca 1941 r. wywieziony do KL Auschwitz. Wraz z Janem Mosdorfem z przedwojennego ONR stanął na czele liczącego w obozie ok. 100 członków konspiracyjnego SN. Według relacji współwięźniów zaangażował się także w prace tajnego ZWZ, gdzie był odpowiedzialny za przygotowanie planu powstania na terenie obozu (krypt. „Akcja Zryw"). Wykryty przez Niemców spisek zakończył życie profesora, wybitnego ekonomisty i patrioty. Zginął rozstrzelany przez Niemców w KL Auschwitz 6 marca 1942 r.

Jeden z najmłodszych

Jednym z jego adwersarzy w obozie narodowym był dr Wojciech Zaleski (1906--1961), działacz młodszego pokolenia i autor programu społeczno-gospodarczego powstałego w kwietniu 1934 r. ONR, po II wojnie światowej bodaj jedyny Polak biorący udział w realizacji Planu Marshalla w zachodniej Europie, także publicysta „Kultury" Jerzego Giedroycia i „Horyzontów" Jędrzeja Giertycha, w końcu dyrektor sekcji polskiej Radia Madryt. Zanim jednak nastały czasy powojenne, w II RP był autorem fundamentalnej pracy pt. „Polska bez proletariatu", w której dowodził, iż w warunkach kryzysu lat 30. XX w. należy wprowadzić w Polsce Nowy Ład (jak amerykański New Deal). Jego celem miało być wzmocnienie drobnej i średniej przedsiębiorczości opartej na rodzinnym, polskim kapitale. Własność, jak pisał Krzysztof Kawęcki, autor monografii ONR, „polegała na osobistym stosunku do rzeczy, oparta miała być na zasadzie bezpośredniego władania nią przez człowieka". Stąd Zaleski – a w ślad za nim inni – postulował daleko idącą decentralizację wytwórczości gwarantującą wolność jednostki, rodziny i geograficznych regionów. Uważał, że



Wspomnienia i refleksje ukraińskie

Zacznę od wspomnienia mojej matki, które usłyszałem z jej ust już w czasie drugiej wojny:

– Muszę Ci opowiedzieć, jak się zaczął mój pobyt w Pustowarni. Po powrocie z podróży na zachód ojciec musiał odrazu zabrać się do swoich spraw, tak że już na drugi dzień zostałem sam w domu, w którym po polsku mówił tylko chłopiec kredensowy. Wyszłam do ogrodu, by go sobie dobrze obejrzeć. Po chwili widzę że Antoszka (właśnie chłopiec kredensowy) prowadzi jakieś dwie zapłakane kobiety. Rzuciły się na mnie z płaczem : Pani dziyczko, naszoko muża i otca zamuczat'! Chłopi złapali na kradzieży koni męża starszej kobiety i właśnie zabrali się do zbiorowego karania go na placu wiejskim. Nie mogłem nikogo spytać o radę, co się w takich wypadkach robi, ale kazałem zaraz zaprzęgać i pojechałem na miejsce. Właśnie wbijali gwoździe za paznokcie rąk i nóg. Naturalnie na widok koni z dwóch chłopi rozstąpili się , kazałem woźnicy jechać prosto w tłum i krzyczeć "z drogi". Ten Koniokrad był przywiązany na jakiejś ławie i paskudnie wyglądał. Cóż miałem robić, wyjęłem te gwoździe. Nogi miał bardzo brudne, ręce zresztą też, pamiętam bo bałem się zakażenia i złościłem się na swoją głupotę, że nie wzięłam jodyny. Potem Kazałem go odwiązać , posadzić na bryczkę i wieźć do szpitala do Skwiry. Potem powiedziałem parę słów , po polsku, ale zdaje się zrozumieli. Bardzo długo się tłomaczyli, zauważyłam, że zaczynam też rozumieć po ukraińsku.

– Wiesz – dodała matka na zakończenie – w ten sposób bardzo prędko poznałam Pustowarnię, a Pustowarnia prędko poznała swoją dziyczkę" z Krakowa. moją wieś, a moja wieś poznała mnie.

Moja wieś ...

Wiele lat minęło, zanim w pełni zrozumiałem znaczenie tego określenia. To było jednak coś zupełnie innego niż powiedzenie "moja kamienica" w Warszawie, czy jakimkolwiek innym mieście, coś innego niż powiedzenie "moja farma " w Ameryce. Pierwsze wystąpienie mojej matki w charakterze"didyczki" na Ukrainie wypadło w roku 1900, a więc zaledwie w trzydzieści (potem 2 trzydzieści) siedem lat po zniesieniu pańszczyzny. Jeżeli w naszej pamięci żywe - mam na myśli "młodych" około pięćdziesiątki-stoją tak żywo wspomnienia pierwszej wojny światowej, będącej dla dzisiejszej młodzieży odległą przeszłością, to przecież dla chłopów i dziedziców pustowarowskich odwieczny układ stosunków między dworem a wsią, zniesiony zaledwie od 37 lat, musiał być jeszcze czymś dobrze znanym , musiał pozostawić wiele zwyczajów, zrodzonych na jego tle.

W czasach walki o wyzwolenie chłopa chętnie zapominano o tym, że ustrój pańszczyźniany, który z punktu widzenia ekonomicznego może być. nazwany feudalnym, rodził szereg obowiązków dworu wobec wsi, nie ujętych w żadne przepisy.

FOT. ZBIORY IDMN

Karta maszynopisu niepublikowanych wspomnień dr. Wojciecha Zaleskiego

rozwój techniki i jej upowszechnienie zahamuje procesy monopolistyczne, w tym omnipotencję państwa. Uznawał jednak, że istnieją takie formy wytwórczości czy też systemy (np. bankowe), w których musi się pojawić wielki kapitał lub interwencjonizm państwa. Nazywał to jednak unarodowieniem anonimowej de facto własności. Podobnie jak całe pokolenie młodych narodowców, Zaleski uważał, że czynnikiem sprawczym przemian gospodarczych jest moralność zbiorowa narodu i indywidualna, oparta na społecznej nauce Kościoła. Jeden z nich, Wiktor Martini, działacz ONR „ABC", pisał wprost: „Właściwie programu nie musimy formułować, a winniśmy jedynie całą wolę włożyć w realizację zasad głoszonych w encyklikach »Rerum Novarum« i »Quadragesimo Anno«". Uniwersalizm Kościoła katolickiego łączono z poszukiwaniem rozwiązań gospodarczych widocznych w ówczesnej Europie zachodniej, z których jednym z bardziej interesujących stawał się korporacjonizm. Patrzono ze szczególnym zaciekawieniem w stronę Portugalii Antonio Salazara. Jego Nowe Państwo oparto na tzw. społecznych korporacjach i haśle „nic przeciwko narodowi, wszystko dla narodu".

Narodowcy, w tym wybitni ekonomiści, nie mieli szczęścia w polityce w okresie II RP. Najpierw, wobec jedynie względnie wygranych wyborów w 1919 i 1922 r., mogli jedynie zawierać kompromisy i koalicje z np. PSL „Piast" i ulegać koalicjantom. Po zamachu majowym z 1926 r. pozbawiono ich z kolei jakiegokolwiek wpływu na państwo, prawo państwowe i coraz bardziej etatystyczną rzeczywistość gospodarczą. Nie znaczy to jednak, że nie mieli racji. Na pewno potrafili ze sobą dyskutować za pomocą prasy i książek.

eprasa.pl e7783acae2



WŁOSKA RODZINA ZAMOŻNYCH KUPCÓW PRZYBYŁA DO POLSKI WRAZ Z KRÓLOWĄ BONĄ, JEDNAK W PRZECIWIEŃSTWIE DO MONARCHINI POZOSTAŁA TU PRZEZ WIEKI, PRACUJĄC NA RZECZ NOWEJ OJCZYZNY

Z ITALII NA WSCHODNIE KRESY RZECZYPOSPOLITEJ

Benedykt Beniamin Morykoni. Portret z około 1786 r.



JAROSŁAW KOSSAKOWSKI

Herb własny pochodzącego z Włoch a zamieszkałego w Wielkim Księstwie Litewskim rodu Morykonich (Moriconich) bogatym rysunkiem graficznym zdecydowanie odbiega od większości herbów polskich, stosunkowo prostych i przeważnie jednopolowych. W opracowaniach heraldycznych (m.in. Kaspra Niesieckiego) można przeczytać, iż: „Tarcza tego herbu wzdłuż powinna być przedzielona, po prawej stronie jej, jest Unda Marina [cztery zielone fale – przyp. red.], tym kształtem, na hełmie, z korony, więcej niżeli pół psa widać, z pyskiem do góry, z nogami przednimi od kolan na dół spuszczonemi: po lewej zaś stronie powinien być orzeł czarny z rozpiętemi skrzydłami i nogami, głową w prawą tarczy obrócony, korona złota nad nim, w polu srebrnym, na piersiach jego pas niebieski, na ukos, na nim trzy gwiazdy złote, na hełmie z korony Murzyna głowa wychodzi po ramiona, bindą białą przepasana".

Zamożna kupiecka rodzina Morykonich z Włoch do Krakowa przybyła prawdopodobnie wraz z orszakiem królowej Bony. Później, wspomagając monarszy skarb znaczącymi pożyczkami, znalazła się wśród dostojników dworu na Wawelu. Niesiecki dalej pisze: „W tem Królestwie pierwszy się z nich gnieździć począł Fredianus Morikoni, który w wielkiej potrzebie tej ojczyzny, na zapłatę żołdu wojsku Litewskiemu, znacznej summy pożyczył, o czem Konstytucye r. 1659 i 1661". Rzeczpospolita pożyczkę tę zwróciła po 100 latach, co potwierdza dokument „Zapłacenie summy z skarbu W.W.X. Litewskiego Urodzonym Morykonim" (Volumina Legum. Tom VII), zatwierdzony w 1764 r. przez Konfederacye Generalną.

Herb własny rodu Morykonich



Indygenat szlachecki ród Morykonich otrzymał za panowania króla Michała Korybuta Wiśniowieckiego, zaś królewskie potwierdzenie z odpowiednimi przywilejami w 1676 r. podpisał król Jan III Sobieski. Dobra ziemskie miał zaś w Wielkim Księstwie Litewskim w powiecie wiłkomierskim [Wiłkomierz – miasteczko leżące ok. 40 km na północ od Wilna – przyp. red.], a jeden z rodu – Scipio Morykoni – został pół wieku później chorążym tego powiatu i pozostawił tam siedmiu synów.

Czy św. Franciszek był z rodu Morykonich?

Włoskie herbarze z XVII w. odnotowują, iż we Włoszech już w XI w. pojawił się herbowy ród wywodzący się »

FOT. DOMENA PUBLICZNA (2X)

eprasa.pl e7783acae2

» od nierozpoznanego Ropaldo Fiori. Ten zaś był ojcem Giovanniego zwanego Moricconi. W umbryjskich i toskańskich herbarzach ponoć są rysunki drzewa genealogicznego tej rodziny, na których można prześledzić kolejne pokolenia. I tak m.in. syn wspomnianego Moricconi miał dwóch męskich potomków: Bonela i Bernarda. Bernard spłodził Piotra dei Bernardi, którego z kolei pierworodny nosił imię Angelo, drugim natomiast był urodzony w 1182 r. Giovanni, po wstąpieniu do zakonu i po zmianie imienia późniejszy sławny św. Franciszek z Asyżu. W herbarzach zapisywany był jako pochodzący z rodu Bernardone, widnieją jednak też zapisy dotyczące ojca św. Franciszka jako Pietro di Bernardone di Moriccone. Pojawiające się w tamtych wiekach często w tej rodzinie imię Moricco być może z czasem stało się nazwiskiem. Wywód na ten temat przedstawia artykuł Marcina Niewaldy zamieszczony w 2019 r. w numerze 55. „Śląskiego Kuriera Wnet" i noszący tytuł: „Polski powstaniec styczniowy ostatnim potomkiem rodziny św. Franciszka".


Pałac w Sołach, 1937 r.

FOT. LIMIS.LT

Pałac na wyspie

Błędnie sytuuje miejscowość Soły mapa zabytków opracowana przez Teresę i Stanisława Wawrzyniaków, która została zamieszczona w czwartym tomie dzieła Romana Aftanazego pt. „Dzieje rezydencji na dawnych kresach Rzeczypospolitej". Na tej mapie Soły leżą w pobliżu Oszmiany, ok. 40 km na południowy wschód od Wilna, tymczasem wieś ta położona jest na północnywschód w odległości ok. 150 km od Wilna, na wschodnim skraju powiatu poniewieskiego, w pobliżu Rakiszek.

Właśnie w Sołach na wyspie jeziora Dviragis, połączonej z lądem dwoma groblami, wzniesiona została ważna dla rodziny Morykonich rezydencja. Posiadłość ta wcześniej należała do Radziwiłłów, którzy zastawili ją u Morykonich, zaś później odstąpili im ją na stałe za niespłacony zastaw. Pierwszym właścicielem Sół był Krzysztof Morykoni, podczaszy wiłkomierski i elektor z 1733 r. Syn Krzysztofa żonaty z Aleksandrą z Tyzenhauzów miał potomków: Ignacego, starostę wiłkomierskiego, którego małżonką była Helena z Billewiczów; Benedykta, pisarza Wielkiego Księstwa Litewskiego, żonatego z Marią Wiktorią Radziwiłłówną; Tomasza, generała wojsk litewskich, w czasie insurekcji kościuszkowskiej mianowanego generałem ziemiańskim pow. wiłkomierskiego; oraz Hieronima. Benedykt został właścicielem dóbr Towiany, zaś Ignacy otrzymał majątek Soły. Wzniesione przez nich nowe rezydencje w Towianach i Sołach przypuszczalnie projektował ten sam architekt, co wyraźnie potwierdza struktura fasad obu pałaców. Niektóre archiwalne źródła twierdzą, że był nim pracujący w Wilnie włoski architekt Pietro de Rossi (1761–1831).

Dwie bliźniacze budowle

Istniejący do dziś pałac w Sołach, ufundowany przez wspomnianego Ignacego Morykoniego (1760–1823), wzniesiony został na planie wydłużonego prostokąta z wyróżniającym się klasycystycznym portykiem. Podobnie wydłużoną parterową część oraz potężny, sześciokolumnowy portyk posiada pałac w Towianach pod


Pałac w Sołach współcześnie

FOT. ROKISKIOTIC.LT

eprasa.pl e7783acae2

Wiłkomierzem, który też zachował się do naszych czasów. Jeszcze w latach 90. ub.w., kiedy zwiedzałem Towiany, pałac wyglądał na opuszczoną przez kołchoz, mocno zaniedbaną budowlę. Obecnie przeszedł w ręce prywatne, jest remontowany i doprowadzany do dawnej świetności.

Klasycystyczna surowa fasada frontowa pałacu w Sołach i jej portyk zdobiony tryglifami oraz rozetami wraz z wielkim trójkątnym frontonem sprawiają wrażenie architektury trochę cięższej i masywniejszej niż bardzo zbliżona budowla w Towianach. Różnica za to bardzo wyraźnie rysowała się w elewacjach od strony ogrodowej. Spowodował to układ terenu, który w przypadku pałacu w Sołach opadał dość wysokim zboczem w stronę jeziora. Podobnie jak w fasadzie frontowej, wyróżniał się piętrem portyk z trójkątnym szczytem, jednak wsparty był nie na pełnych kolumnach w wielkim porządku, lecz na dekoracyjnych, przyściennych półkolumnach.

Wnętrza, których wystrój dziś w obu pałacach zupełnie odbiega od układu oryginalnego i dawnych dekoracji, w rezydencji w Sołach były znacznie bogatsze i bardziej okazałe, niż w wydawałoby się bardziej wyrafinowanej architekturze budowli w Towianach. Pałac w Sołach Lucjan Morykoni w 1855 r. sprzedał, być może pod wpływem nacisków carskich urzędników, Tyzenhauzom. Wraz z ręką Marii Tyzenhauz stał się on potem własnością Aleksandra Przezdzieckiego, mieszkającego stale w rezydencji w Rakiszkach. W okresie międzywojennym posiadłość w Sołach została rozparcelowana, a Republika Litewska w pałacu zorganizowała szkoły – muzyczną i gospodarstwa domowego dla dziewcząt. W latach II wojny światowej działał tam wojskowy szpital, zaś po wojnie sale zamieniono na klasy technikum rolniczego, które wyprowadziło się z pałacu dopiero w 2003 r. Od 1977 r. trwają w pałacu w Sołach ciągnące się prace remontowe, niezależnie od których organizowane są tam różne imprezy kulturalne.

Posesjonaci i patrioci

Ignacy Morykoni (1760–1823), dziedzic Sół, ale nie tylko, bowiem w tym czasie należały do niego majątki takie jak Urbaniszki i Świadoście, był posłem z powiatu brzeskolitewskiego na sejm w 1778 r. i czynnym uczestnikiem powstania kościuszkowskiego na Litwie w 1794 r. W dziejach majątku Soły zapisał się jako światły gospodarz, wyjątkowo dbający o swoich poddanych. W dobrach Soły, Urbaniszki i Świadość umorzył miejscowym włościanom wszelkie materialne i finansowe zaległości. Zainicjował też utworzenie zapomogowej gminnej kasy, opłacał miejscowego felczera oraz naukę pisania i czytania dla okolicznych dzieci, założył aptekę oraz ufundował kościół w Aleksandrowie.


Lucjan Morykoni

FOT. BIBL. NARODOWA

Większość archiwalnych źródeł dowodzi, iż Ignacy zmarł bezpotomnie, a majątek Soły odziedziczył jego najmłodszy brat Hieronim, który był żonaty z Gertrudą von Sacken. Młodszy brat Ignacego, Benedykt Morykoni (1765–1822), właściciel dóbr i pałacu w Towianach, które w XIX w. wróciły do Radziwiłłów, był osobą niezwykle czynną społecznie i politycznie. Jako poseł z powiatu wiłkomierskiego brał udział w sejmach w latach 1776, 1780 i 1784. Był też szambelanem króla Stanisława Augusta Poniatowskiego, pisarzem wielkim litewskim, konsyliarzem Wielkiego Księstwa Litewskiego. W czasie powstania kościuszkowskiego został członkiem Rady Najwyższej Rządowej Litewskiej i członkiem Deputacji Tajnej. Odznaczony Orderem Orła Białego i Orderem Świętego Stanisława. Wspominał o nim w swoich pamiętnikach współczesny mu Michał Lisiecki: „Nie mogę tu nie wspomnieć o nowym dowodzie patriotyzmu hr. Benedykta Morykoniego. Ukryty w lasach dowiedział się, że działa kazałem odlewać w Rakiszkach, dobrach należących do Tyzenhauzów. Przybywa więc nagle do Sół i robi mi najostrzejsze wyrzuty, że tem mojem niewłaściwem rozporządzeniem najokropniej skrzywdziłem Soły, którem odjąłem zaszczyt, aby w nich działa były odlewane. Obecny jeden znakomity obywatel, krewny hrabiego uczynił uwagę, że Rakiszki wybrałem dla odlewania dział z przezorności, aby w razie nieszczęśliwym nie ściągnąć na Soły całej odpowiedzialności. Na tę uwagę bardziej jeszcze rozgniewany hrabia rzekł te dla mnie pamiętne słowa: »Jeżeli ma Ojczyzna upaść, niech wprzódy Soły i Świadoście w popiół się zamienią«”. Widać, że wtedy jeszcze majątki Morykonich nie były podzielone na Soły Ignacego i Towiany Benedykta, bo trudno przypuszczać, by tak świetna i patriotyczna postać, jaką jednak był Benedykt, beztrosko szafowała majętnościami brata.

Znaczącą postacią rodu Morykonich był też Lucjan (1818–1893), syn Hieronima i ostatni właściciel majątku w Sołach. Wychowany w duchu patriotycznym był mocno zaangażowany w organizacjach przygotowujących powstanie styczniowe, zaś już po wybuchu walk został skarbnikiem kasy powstańczej na Litwie. Wraz z trzecią żoną (poprzednie Ludwika Ledóchowska i Maria Łopacińska zmarły młodo) Elżbietą Monday zdobywał fundusze i pisał powstańcze odezwy. Aresztowany przez Rosjan siedział w więzieniu w Wilnie, później rok w Kownie. Po prawdopodobnie wymuszonej przez carskich urzędników sprzedaży majątku w Sołach Lucjan Morykoni przeniósł się do Warszawy, gdzie zajął się mineralogią i szkolnymi wykładami. Mimo że miał liczne potomstwo, uznawany jest za ostatniego znanego męskiego potomka rodu. Syn Lucjana John zmarł bezpotomnie, zaś jedna z jego córek Anna (1851–1937) została żoną Bronisława Mineyki h. Gozdawa (1846–1887), znanego kresowego ziemianina. Po jego śmierci niezwykle zaradnie gospodarowała posiadłością o powierzchni 10 tys. ha i wychowała następne patriotyczne pokolenie rodziny Mineyków. Dziś na Litwie dziejami wymarłego rodu Morykonich zajmuje się dwóch badaczy – Arvidas Nenikis i Algirdas Tamulis. Starają się oni odnaleźć na Litwie inne osoby noszące jeszcze nazwisko Morykoni.

eprasa.pl e7783acae2

Wrzesień



MICHAŁ KOMUDA

8 IX 1917

Urodził się kmdr Andrzej Kłopotowski, kawaler Orderu Virtuti Militari. Podczas II wojny światowej służył na kontrtorpedowcu ORP „Błyskawica", okrętach podwodnych ORP „Wilk" i ORP „Sęp", by ostatecznie zostać dowódcą ORP „Dzik".



9 IX 1972

We Włoszech odbyła się prezentacja nowego samochodu osobowego – Fiata 126. Niespełna rok później pierwszy „maluch", jego polska wersja, wyjechał z fabryki w Bielsku-Białej.



13 IX 1902

Międzynarodowy trybunał obradujący w mieście Graz ostatecznie zakończył tlący się kilka stuleci polsko-węgierski konflikt dotyczący przynależności tatrzańskiego Morskiego Oka. Zwycięskiej strony polskiej, na rozprawie sprytnie utożsamianej z austriacką, bronił prof. Oswald Balcer.





20 IX 1942

Wraz z wydaniem rozkazu przez płk. Ignacego Oziewicza „Czesława" zakończyło się formalne tworzenie konspiracyjnych Narodowych Sił Zbrojnych. Organizacja powstała w wyniku rozłamu w Narodowej Organizacji Wojskowej związanego z akcją scaleniową z Armią Krajową.

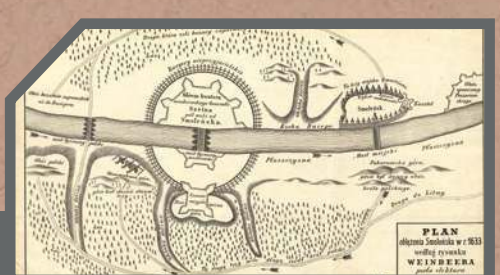


25 IX 1967

W brytyjskim Hillingdon zmarł na emigracji gen. Stanisław Sosabowski, kawaler Orderu Virtuti Militari, podczas II wojny światowej dowódca 1. Samodzielnej Brygady Spadochronowej. Legendarny oficer był współtwórcą polskich wojsk powietrznodesantowych.

27 IX 1387

We Lwowie hospodar mołdawski Piotr I złożył hołd lenny Władysławowi Jagielle i jego królewskiej małżonce Jadwidze.



30 IX 1632

Rosyjska armia przekroczyła granice znajdującej się w trakcie bezkrólewia Rzeczypospolitej w celu odebrania jej ziemi smoleńskiej. Wojna zakończyła się przegraną Moskwy.

eprasa.pl e7783acae2



11 IX 1777

W bitwie nad rzeką Brandywine brytyjska armia pokonała bijące się o niepodległość oddziały Jerzego Waszyngtona. Ich odwrót, a także życie przyszłego pierwszego prezydenta Stanów Zjednoczonych uratował polski generał Kazimierz Pułaski.

Przyszły amerykański bohater i były dowódca konfederacji barskiej trafił do Ameryki dzięki listowi polecającemu wystawionemu przez poznanego w Paryżu Benjamina Franklina. Pod koniec lipca 1777 r. przybił do brzegów Stanów Zjednoczonych w celu wstąpienia do tamtejszych sił zbrojnych. Oczekując na docelowy przydział, Pułaski został dołączony do sztabu głównodowodzącego armii kontynentalnej Waszyngtona. W tym czasie brytyjski gen. William Howe rozpoczął marsz na Filadelfię, kluczowy ośrodek zbuntowanych kolonii amerykańskich. W celu zagrodzenia mu drogi wojska Waszyngtona obsadziły rzekę Brandywine. Do konfrontacji doszło 11 września. W godzinach porannych część brytyjskich sił uderzyła na centrum pozycji amerykańskich wojsk w celu ściągnięcia na siebie uwagi, nie forsując jednak rzeki. Następnie główne siły gen. Howe'a rozpoczęły manewr okrążający. Gdy Waszyngton wzmocnił zagrożoną flankę kosztem swojego centrum, Brytyjczycy przekroczyli rzekę również na tym kierunku. Po kilkugodzinnej walce Waszyngton podjął decyzję o odwrocie. W najbardziej niebezpiecznym momencie tego manewru, kiedy Brytyjczycy zaczęli się zbliżać do amerykańskich wojsk, Pułaski, zauważywszy zagrożenie, spiął swojego konia i poderwał znajdujących się obok niego konnych do brawurowej szarży. Impet uderzenia zatrzymał wroga i dał czas na wycofanie wojsk oraz sztabu Waszyngtona. W docenieniu tej ofiarnej postawy Pułaski został awansowany do stopnia generała brygady oraz powierzono mu zadania utworzenia legionu kawalerii.

12 IX 1942

Naczelny wódz gen. Władysław Sikorski utworzył z ewakuowanych z Rosji wojsk gen. Władysława Andersa oraz stacjonujących na Bliskim Wschodzie jednostek gen. Józefa Zająca Armię Polską na Wschodzie. Rozpoczęła się epopeja, która w przyszłości zaowocowała triumfalnym marszem wiodącym przez Monte Cassino, Ankonę i Bolonię.

W wyniku coraz bardziej wrogiej postawy sowieckich władz i drastycznych cięć racji żywnościowych Polska Armia w ZSRR została ewakuowana na tereny kontrolowanego przez Wielką Brytanię Iranu. Pierwsza faza tej operacji rozpoczęła się w marcu 1942 r. Natomiast druga, na którą nalegali sami Brytyjczycy chcący wzmocnić swoje pozycje na Bliskim Wschodzie, rozpoczęła się w sierpniu. W trakcie obu ewakuacji do Iranu przewieziono łącznie ponad 116 tys. ludzi, z których blisko 80 tys. było żołnierzami. W konsekwencji tej operacji niedożywione i wyniszczone chorobami wojsko wyprowadzone z nieludzkiej ziemi znalazło się w bezpośredniej bliskości służącej już od wiosny 1940 r. na Bliskim Wschodzie, a następnie również w Afryce Północnej, rozbudowywanej Samodzielnej Brygady Strzelców Karpackich. Po pierwszej ewakuacji z Rosji, łącząc obie te siły, rozpoczęto formowanie dywizji, a niedługo potem korpusu. Druga ewakuacja dała podstawy do utworzenia armii, jednak planowi temu początkowo przeciwni byli Brytyjczycy. W drugiej połowie sierpnia w Kairze odbyła się konferencja z udziałem premiera Winstona Churchilla oraz brytyjskiego generała Henry'ego Wilsona z mającym znajdować się pod jego rozkazami, przybyłym z Rosji gen. Andersem. Rozmowy dotyczyły docelowego kształtu polskich sił na Bliskim Wschodzie. Ostatecznie, w porozumieniu z gen. Sikorskim, utrzymano nazwę „Armia". Rozkazem Naczelnego Wodza z 12 września w miejsce dotychczasowych formacji utworzono Armię Polską na Wschodzie, której dowódcą został gen. Anders. Na miejsce jej formowania wybrano Irak. Dwa dni później, jeszcze z Teheranu, gen. Anders wydał swój pierwszy rozkaz do żołnierzy nowo utworzonej armii, w którym pisał: „Jest to pierwszy etap spełnionych naszych marzeń po wyjściu z więzień i obozów. Zaczynamy teraz drugi etap żołnierskiej pracy. Mamy stać się obecnie nowoczesnym wojskiem i ponownie, jak najszybciej, wziąć udział z bronią w ręku w walce z naszym odwiecznym wrogiem. Musimy się scementować w jedną wielką bryłę, my, żołnierze z ZSRR, z bohaterską brygadą spod Tobruka i z kolegami z dalekiej Anglii [...]. Żołnierze! Warszawa, Poznań, Kraków, Wilno i Lwów czekają z utęsknieniem naszego przybycia".



FOT. ARCHIWUM.MWP.MIL.PL; NAC (3X); SHUTTERSTOCK; BIBLIOTEKA NARODOWA (2X)

eprasa.pl e7783acae2

Październik



8 X 1982 40 lat temu komunistyczne władze zdelegalizowały Niezależny Samorządny Związek Zawodowy „Solidarność". Krok ten wywołał falę protestów w różnych częściach kraju.



9 X 1672 W trakcie triumfalnego kawaleryjskiego rajdu trwającego 10 dni hetman wielki koronny Jan Sobieski odniósł wiele zwycięstw, gromiąc łupieskie tatarskie czambuły. Ocenia się, że tylko pod Komarnem odbił z rąk ordyńców kilkanaście tysięcy jasyru.



11 X 1947 We wsi Chudzynek sierż. Wiktor Stryjewski „Cacko" z oddziału Ruchu Oporu Armii Krajowej zlikwidował dowódcę PPR-owskiego szwadronu śmierci, odpowiedzialnego za mordowanie działaczy PSL i żołnierzy AK, Władysława Rypińskiego „Rypę".



13 X 1982 W Nowej Hucie w trakcie trwających kilka dni protestów przeciw delegalizacji NSZZ „Solidarność" funkcjonariusz SB zabił 20-letniego robotnika Bogdana Włosika.

14 X 1257 W Poznaniu urodził się król Polski Przemysł II. Był pierwszym władcą, który po ponad 20 latach rozbicia dzielnicowego sięgnął po koronę.



23 X 1947 W Starogardzie Gdańskim przyszedł na świat jeden z najwybitniejszych polskich piłkarzy, kapitan polskiej reprezentacji, legendarny sportowiec, Kazimierz Deyna. Jego osobowość i działalność do dziś inspiruje kolejne pokolenia miłośników piłki nożnej.

27 X 1977 Stefan Kisielewski zanotował w swoim pamiętniku: „Czy my wszyscy nie jesteśmy przypadkiem zdegenerowani? Przecież jeśli od trzydziestu lat akceptuje się, żyjąc w nim, stan rzeczy, że na białe mówi się czarne, dyktaturę nazywa się demokracją, gwałt przyjaźnią etc., to muszą z tego wyniknąć jakieś konsekwencje psychiczne".



29 X 1822 20 lat temu w Górkach przyszedł na świat przyszły prymas Polski kardynał Mieczysław Halka-Ledóchowski.

eprasa.pl e7783acae2



16 X 1892

W Stryju urodził się kawaler Orderu Virtuti Militari – gen. Józef Kustroń. Był pierwszym z pięciu polskich generałów, którzy we wrześniu 1939 r. oddali życie, broniąc Ojczyzny.

Przyszły bohater wojny obronnej spędził młodość w Nowym Sączu. W tym okresie, a także w trakcie studiów działał w konspiracyjnych organizacjach niepodległościowych. Z chwilą wybuchu I wojny światowej rozpoczął służbę w Legionach Polskich, w trakcie której odniósł rany. W październiku 1918 r. rozbrajał austriackich żołnierzy na ulicach Krakowa. W trakcie wojny polsko-bolszewickiej czuwał nad wojskowym transportem kolejowym i ewakuacją na zachód. W okresie II Rzeczypospolitej pełnił kolejne funkcje wojskowe, jednocześnie angażując się w działalność społeczną. Podczas przewrotu majowego stanął po stronie Marszałka, nie pozwalając jako dowódca 55. pułku piechoty na jego dołączenie do wojsk rządowych. Ostatecznie w październiku 1935 r. objął dowództwo 21. Dywizji Piechoty Górskiej w Bielsku. To właśnie na jej czele trzy lata później uczestniczył w operacji zajęcia Zaolzia. Również to jego żołnierze dali odpór niemieckim dywersantom jeszcze przed wybuchem wojny 26 sierpnia w trakcie starć o stację kolejową Mosty i tunel pod Przełęczą Jabłonkowską. Od 1 września dywizja gen. Kustronia prowadziła ciężkie walki obronne. Przez kolejne dni pozostawała w ciągłej styczności z wrogiem oraz w zasięgu jego lotnictwa bombowego. Mimo wysokich strat generał cały czas utrzymywał dyscyplinę, kontynuując marsz na wschód. Po dwóch tygodniach walk rozpoczął w rejonie Oleszyc natarcie na dużo silniejsze oddziały niemieckiej 45. Dywizji Piechoty. Drugiego dnia bitwy, 16 września, dowodząc przebiciem wykrwawionych wojsk, gen. Kustroń wpadł w zasadzkę, otrzymując śmiertelne rany postrzałowe. Moment ten opisał jeden z jego podkomendnych: „Pomimo ostrych wystąpień Niemców, wszyscy zebrali się wokół jego ciała. [...] Dla nas, podwładnych i współpracowników, pozostanie na zawsze przykładem jak żyje, dowodzi i umiera dowódca".

19 X 1812

Miesiąc po zdobyciu stolicy Imperium Rosyjskiego Wielka Armia Napoleona zaczęła opuszczać miasto. Zamiast planowanego odepchnięcia Rosji od Europy rozpoczął się odwrót, którego miały nie przeżyć dziesiątki tysięcy Francuzów, Polaków i innych sojuszniczych żołnierzy.

Po krwawej i wyniszczającej bitwie pod Borodino zwycięskie, ale i wycieńczone wojska cesarza Francuzów ruszyły na Moskwę. Jej zajęcie miało doprowadzić do zakończenia niebezpiecznie przedłużającej się kampanii przez ostateczne pokonanie wroga lub rzucenia cara Aleksandra I na kolana. 14 września na moskiewskie ulice wjechali jako pierwsi polscy żołnierze 10. Pułku Huzarów dowodzonego przez płk. Jana Nepomucena Umińskiego. Jednak wbrew planom cesarza uchylające się od walnej rozprawy rosyjskie wojska wycofały się wraz z ludnością stolicy i zapasami żywności. Gdy dzień później do Moskwy wjechał sam Napoleon i zajął Kreml, w mieście zaczęły wybuchać wzniecane przez rosyjskich podpalaczy pożary niszczące domy i magazyny. Zdobywcy stali się ofiarą uwięzioną w pułapce. Każdy kolejny dzień kwaterowania w opuszczonym mieście pogarszał stan Wielkiej Armii, jednocześnie działając na korzyść Rosjan. Rozumiejąc dramatyzm sytuacji, Napoleon w październiku kilkukrotnie podejmował próby rozpoczęcia pertraktacji pokojowych, ale car milczał. Tymczasem, po uzupełnieniu sił i uśpieniu czujności Wielkiej Armii, rosyjski głównodowodzący gen. Michaił Kutuzow przeszedł do kontrofensywy. Jej pierwszego dnia 18 października pod leżącym na południe od stolicy Winkowem zadał celny cios francuskim wojskom, które zdołały się wycofać dzięki trzeźwej i bardzo ofiarnej postawie polskiego V Korpusu dowodzonego przez księcia Józefa Poniatowskiego. Atak ten rozwiał złudzenia, że dalszy pobyt w Moskwie może doprowadzić do zawarcia pokoju. Bonapartemu pozostało rozpocząć odwrót na zachód, zanim nastaną śmiercionośne mrozy. Jego celem był obsadzony przez napoleoński garnizon Smoleńsk, w którym upatrywano szansy na uzupełnienie zapasów i odbudowanie sił przed wiosną. Dzień później wynędzniała i obciążona niekończącymi się taborami ze zdobyczami Wielka Armia ruszyła z Moskwy na południe w celu wywalczenia sobie nowej, niezniszczonej przemarszem wojsk drogi odwrotu przez Kaługę. Obserwując jednak zły stan swoich wojsk, cesarz szybko zaniechał planu przebicia i postanowił, idąc przez Małojarosławiec, ominąć od zachodu główne siły gen. Kutuzowa i w ten sposób odskoczyć w kierunku Smoleńska. Rosjanie jednak odczytali francuski plan i 24 października zagrodzili drogę wycofującym się. W ten sposób pod Małojarosławcem doszło do pierwszej dużej bitwy napoleońskiego odwrotu. O desperacji obu stron świadczył fakt, iż miasto przechodziło kilkukrotnie z rąk do rąk, a po walce pozostały po nim zgliszcza. Ostatecznie zwycięzcami jeszcze raz zostali żołnierze Napoleona. Jednak on sam, obawiając się, że Rosjanie prą do walnego starcia, na które brakowało jego wojskom sił, zaniechał próby dalszego marszu południowym szlakiem. Jednocześnie wybrał powrót na północ, na zniszczoną i pozbawioną zaopatrzenia drogę, która nie tak dawno doprowadziła go do stolicy carów. Wielka Armia ruszyła ku swojej zagładzie. Nadeszły pierwsze, wyjątkowo wczesne tego roku mrozy.



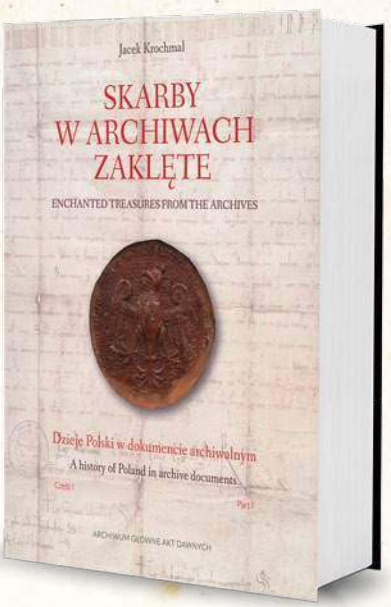
FOT. FRATRIA; MUZEUM NARODOWE W WARSZAWIE; IPN (2X); NAC (3X); SHUTTERSTOCK

eprasa.pl e7783acac2

ARCHIWA PAŃSTWOWE
ARCHIWUM GŁÓWNE AKT DAWNYCH

ŚWIADECTWA PRZESZŁOŚCI PRZEKAZUJĄ WIEDZĘ O MINIONYCH EPOKACH, SĄ POWODEM DUMY Z DOKONAŃ PRZODKÓW, UKAZUJĄ BLASKI I CIENIE DZIEJÓW PAŃSTWA, MAŁEJ OJCZYZNY, WSPÓLNOTY RELIGIJNEJ, KORPORACJI NAUKOWEJ LUB ZAWODOWEJ, A TAKŻE OSÓB PRYWATNYCH. MATERIAŁY TE GROMADZONE SĄ WIECZYŚCIE W ARCHIWACH BĘDĄCYCH SKARBNICAMI PAMIĘCI

O SKARBACH W ARCHIWACH ZAKLĘTYCH





JACEK KROCHMAL

Prezentowany na łamach „wSieci Historii" od niemal siedmiu lat cykl artykułów poświęconych skarbom Archiwum Głównego Akt Dawnych został zainspirowany pracami nad książką mającą na celu spopularyzowanie wiedzy o zasobie polskich archiwów państwowych. Pomysł na książkę zrodził się jeszcze w 2004 r. jako pokłosie wystawy archiwalnej „Dzieje Polski w dokumencie archiwalnym", przygotowanej w związku z obchodami Roku Polski na Ukrainie. Był to czas pomarańczowej rewolucji. Wystawa została pokazana w Kijowie, Białej Cerkwi, Humaniu i Lwowie, budząc zainteresowanie miejscowych historyków. Ze zdumieniem przyznawali oni, jak niewiele wiedzą o historii bliskiego sąsiada, z którym przez stulecia wiązały ich dzieje, a nawet przynależność do jednego państwa, wspólnej Rzeczypospolitej. Przygotowany wówczas katalog wystawy był punktem wyjścia dla opublikowanego niedawno nakładem AGAD bogato ilustrowanego albumu „Skarby w archiwach zaklęte. Dzieje Polski w dokumencie archiwalnym, część 1: Do 1795 roku" (Warszawa 2021). W książce zamieszczono liczne ilustracje ukazujące archiwalia, które towarzyszyły najważniejszym wydarzeniom z dziejów Polski. Wiele z nich jest dobrze znana z lekcji historii. Rzadko kiedy uczniowie mieli jednak możliwość zobaczenia, jak wyglądają dokumenty związane z postaciami i zdarzeniami znanymi z podręczników. Wizerunkom archiwaliów towarzyszą komentarze historyczne opisujące nie tylko sam dokument i okoliczności jego powstania, lecz także umiejscawiające jego powstanie w szerszym kontekście wydarzeń z nim związanych.

Ograniczone ramy publikacji wymusiły surową selekcję materiałów, które mogły być zaprezentowane w albumie. Na dobór dokumentów wywarły wpływ kwestie chronologiczne, nakazujące zapewnić reprezentatywność każdej z epok historycznych, jak też powody narracyjne, związane z ciągłością wykładu dziejów Polski, a wreszcie konieczność przedstawienia różnorodnych zagadnień charakterystycznych dla dawnej Polski i Rzeczypospolitej. Chodziło o proporcjonalne uwzględnienie zagadnień z zakresu nie tylko dziejów politycznych, lecz także religijnych, gospodarczych, kultury, nauki, spraw dotyczących mniejszości etnicznych. Ważnym kryterium doboru materiału ilustracyjnego była chęć pokazania różnorodnych form materiałów przechowywanych w archiwach. W albumie przedstawiono więc dokumenty pergaminowe i papierowe, księgi rękopiśmienne, mapy, pieczęcie, rysunki, portrety, a nawet tabliczki woskowe, będące specyficznym nośnikiem zapisywanych treści.

Wszystkie eksponaty pochodzą z zasobu archiwów państwowych. Szczególne miejsce zajmuje wśród nich Archiwum Główne Akt Dawnych w Warszawie. Tu przypomnieć trzeba, że jego zasób uległ niemal całkowitej zagładzie podczas II wojny światowej. Budynek AGAD został dwukrotnie celowo podpalony przez Niemców. Po raz pierwszy miało to miejsce 2 września 1944 r., a ponowne – już doszczętne – spalenie AGAD nastąpiło w grudniu 1944 r. Z pożogi wojennej ocalało zaledwie 5–10 proc. zbiorów. Po wojnie były one uzupełniane z ocalonych resztek innych zniszczonych archiwów warszawskich. Archiwum Główne Akt Dawnych jest dzisiaj miejscem, w którym znajdują się fundamentalne źródła wie-

epraşa.pl e7783acae2

dzy dla każdego historyka zajmującego się dziejami Polski od średniowiecza aż do 1918 r. Są tu najbardziej podstawowe dokumenty, by wymienić traktaty pokojowe: pierwszy (1411) i drugi (1466) pokój toruński, polsko-pruski traktat krakowski (1525), pokój oliwski (1660) i pokój karłowicki (1699), dokumenty konstytuujące ustrój demokratyczny w Polsce: konstytucja nihil novi i statut łaskiego (1505–1506), unia lubelska (1569), konfederacja generalna warszawska (1573), artykuły henrykowskie i pacta conventa (1573) czy wreszcie Konstytucja 3 maja (1791). Znaczenie zasobu AGAD wśród archiwów polskich odzwierciedla liczba przechowywanych w nim eksponatów, które zostały wpisane na prestiżową listę światowego dziedzictwa kultury „Pamięć Świata" UNESCO. Dotychczas znalazły się na niej: akt konfederacji generalnej warszawskiej – tolerancji wyznaniowej z 1573 r., archiwum Komisji Edukacji Narodowej, polsko-tureckie traktaty pokojowe (XV–XVII w.), archiwum Radziwiłłów oraz akt unii lubelskiej z 1569 r. Te i wiele innych archiwaliów, zarówno z AGAD, jak i z 15 innych archiwów państwowych, pokazano w albumie, wzbogacając je komentarzem historycznym opowiadającym dzieje Polski od średniowiecza aż do upadku Rzeczypospolitej w 1795 r. Tekst książki został przygotowany w dwóch równoległych wersjach językowych: polskiej i angielskiej. (il. 2)

W tytule albumu i w tekstach omawiających zasób archiwalny często pojawia się słowo „skarby". W związku z tym rodzi się pytanie, czy określenie takie ma swoje uzasadnienie? Pamiętać trzeba, że w minionych wiekach dokumenty często były ozdabiane, dlatego niektóre z nich są wręcz dziełami sztuki. Ich piękno i artyzm wykonania ukazują kunszt ówczesnej sztuki rękopiśmiennej. Jednak zdecydowana większość archiwaliów jest bezcenna z powodów innych niż artystyczne. W przeciwieństwie do druków, np. książek, archiwalia powstawały tylko w jednym egzemplarzu. Są więc unikatowe, a utrata jakiegokolwiek z nich powoduje nieodwracalną stratę. Mówiąc o archiwaliach jako o bezcennych skarbach, wcale nie popadamy w retoryczną przesadę. Są one bezcenne z wielu powodów i punktów widzenia. Przede wszystkim dokumentują najważniejsze wydarzenia w dziejach państwa i zamieszkujących go społeczności. Są unikatowe, a mimo to nie mają ceny, bowiem – tu mowa o zbiorach znajdujących się już w archiwach – nie są przeznaczone na sprzedaż. Inne dokumenty, pozostające w rękach prywatnych, niekiedy są sprzedawane na aukcjach antykwarycznych. Można się wówczas przekonać o ich wartości materialnej. A mówimy przecież o pojedynczych egzemplarzach, podczas gdy archiwa polskie gromadzą miliony dokumentów, które ułożone na półkach zajmują setki kilometrów długości! Bezcenność archiwaliów potwierdza też gorzkie doświadczenie historyczne. Ich wartość i znaczenie szczególnie „doceniały" państwa agresorzy, które podczas wojen i zaborów rabowały całe archiwa, wywożąc je za granicę. Tylko w nowożytnych i najnowszych czasach archiwa polskie wielokrotnie doświadczyły tego losu. Były rabowane, niszczone, palone bądź wywożone podczas potopu szwedzkiego, następnie po upadku Rzeczypospolitej u schyłku XVIII stulecia, podczas I wojny światowej, a najbardziej – podczas II wojny światowej. Rewindykacja archiwów była ważnym punktem rozmów pokojowych i traktatów międzynarodowych kończących wojny, by wspomnieć klauzule rewindykacyjne traktatów oliwskiego i ryskiego. Wyniki tych ustaleń nie zawsze były w pełni realizowane przez zaborczych sąsiadów. W efekcie do dziś część archiwaliów polskich znajduje się w ich posiadaniu. (il. 3)

Nawet pobieżny przegląd zamieszczonych w albumie ilustracji ukazujących dawne archiwalia zachęca do lektury opisu kontekstu ich powstania. Powiązanie wykładu historii ze źródłami archiwalnymi może być inspiracją do samodzielnego poznawania tajemnic minionych wieków, a nawet przekonać czytelników, że historia nie jest nudna! (il. 4)

il. 2



il. 3



il. 4



FOT. KAROL ZGLIŃSKI

eprasa.pl e7783acae2

ARCHIWUM OBRONY LWOWA 1939

ARCHIWA PAŃSTWOWE
ARCHIWUM AKT NOWYCH

DOKUMENTACJA Z OBRONY LWOWA POZOSTAJE JEDNYM Z NAJLEPIEJ ZACHOWANYCH ARCHIWALNYCH ŚWIADECTW WOJNY OBRONNEJ 1939 r.



RAFAŁ KIERZKOWSKI



Jeden z planów sztabowych z obrony Lwowa oraz pieczęć Dowództwa Grupy Obrony Lwowa

Mimo tragicznej historii okupacji Lwowa przez Sowietów i Niemców, a następnie oderwania miasta od Polski według jałtańskich wytycznych, polskość Lwiego Grodu nigdy nie została zabita. Struktury ZWZ-AK, lwowscy wysiedleńcy potrafiący kontynuować tradycje swego miasta, m.in. we Wrocławiu, czy wreszcie ci, którzy w nim pozostali, jak wybitne działaczki Irena i Jadwiga Zappe, kształcące polską młodzież, nigdy do tego nie dopuścili. To właśnie działaczom konspiracyjnym, a także wysiedlonym Lwowianom zawdzięczamy uratowanie archiwalnego skarbu – świadectw obrony Lwowa z 1939 r.

Archiwalia te, ukryte w Ossolineum, następnie uratowane w 1944 r. przed Armią Czerwoną przez historyka Bronisława Kocowskiego i przechowywane przez jego córkę Barbarę Kocowską, trafiły w latach 90. do Instytutu Lwowskiego, prowadzonego przez poetę i pisarza Janusza Wasylkowskiego. Dzięki uprzejmości przechowujących korzystał z nich, tworząc pracę „Dokumenty obrony Lwowa", historyk dr hab. Artur Leinwand. Następnie, w celu zabezpieczenia dla kolejnych pokoleń, pozyskało je Archiwum Akt Nowych. Tu zostały uzupełnione materiałami przekazanymi przez Andrzeja Wojciechowskiego. W 2018 r. pod redakcją dr. hab. Andrzeja Wesołowskiego ukazała się praca „Obrona Lwowa. Dokumenty".

Miasto zawsze wierne

Rola Lwowa w łańcuchu systemu obronnego Polski zaczęła się już połowie XIV w. Kazimierz Wielki, lokując miasto w 1356 r., zadbał o wzniesienie potężnych fortyfikacji miejskich i zamku, które strzegły miasta od wschodu. Najazdy tatarskie dotykające województwa ruskiego w XVI i XVII w. nie mogły zagrozić lwowskiej twierdzy. Nawet potężne siły rebelii Chmielnickiego z 1648 r. nie były w stanie zdobyć miasta. Tytuł „Semper fidelis" (łac. zawsze wierny) otrzymał Lwów od papieża Aleksandra VII w 1658 r. Sejm Rzeczypospolitej nadał miastu tytuł „Semper fidelis Poloniae".

Lwów stanowił ośrodek polskiej kultury i nauki również podczas zaborów. Potężną rolę w momencie odrodzenia Polski odegrała obrona Lwowa przed siłami ukraińskimi w listopadzie 1918 r. Polscy mieszkańcy, na czele z młodymi ochotnikami – Orlętami Lwowskimi – dzięki wielkiemu heroizmowi utrzymali miasto, dając odrodzonej Rzeczypospolitej jeden z jej największych fundamentów – trzecie wielkością miasto kraju. Przez kolejne 20 lat Lwów był najważniejszym ośrodkiem polskości na południowym wschodzie.

Zaczęło się na Gródeckiej...

Według polskich założeń obronnych z lata 1939 r. Lwów znajdował się na dalekim zapleczu planowanych działań wojennych. Nikt nie sądził, że w razie konfliktu nieprzyjacielowi uda się wedrzeć tak daleko w głąb kraju. Sytuację pogarszało jednak przedłużenie linii frontu o granicę ze Słowacją. Nieprzyjacielskie zagony niosące wojenną pożogę na głębokie zaplecze Armii „Karpaty" zagroziły ośrodkom położonym w głębi kraju.

Dowódca Okręgu Korpusu Nr VI gen. bryg. Władysław Langner podjął pierwsze kroki obrony Lwowa już 7 września, organizując działania osłonowe na zachód od miasta. Dowództwo Obrony Obszaru Lwów objął gen. dyw. Rudolf Prich. Pierwszym dowódcą bezpośredniej obrony Lwiego Grodu został płk dypl. Bolesław Fijałkowski, który wraz z szefem powołanego przez siebie sztabu ppłk. dypl. Kazimierzem Ryzińskim rozpoczął natychmiast energiczne działania. Z żołnierzy istniejących w mieście ośrodków zapasowych uformowano bataliony marszowe i oddziały pomocnicze, wytyczono linię obrony miasta i rozpoczęto prace

FOT. AAN (4X); SHUTTERSTOCK

eprasa.pl e7783acae2

fortyfikacyjne. W ciągu kilkudziesięciu godzin udało się zorganizować wszystkie siły, jakimi dysponowało tam Wojsko Polskie, zapewnić łączność, oraz, co najważniejsze, wystawić pierwsze liniowe ubezpieczenia. W skład obrony Lwowa weszły m.in. bataliony marszowe i inne wydzielone oddziały z 19., 26. i 48. Pułku Piechoty, pododdziały Obrony Narodowej, Korpusu Kadetów i policji.

12 września na rogatce Gródeckiej pojawił się pierwszy oddział nieprzyjaciela. Kolumna z niemieckiej 1. Dywizji Górskiej gen. Ludwiga Küblera, wierząc we własną propagandę głoszącą, że po armii polskiej pozostały tylko luźne grupy żołnierzy, wjechała wprost pod lufy polskiego ubezpieczenia i strzelających na wprost działonów polskiej artylerii. Czoło kolumny zostało całkowicie zniszczone, „pościgowe" pododdziały spod komendy płk. Ferdinanda Schörnera zmuszono do rozwinięcia i zajęcia pozycji. W rejon walk szybko skierowano pomoc, z odsieczą, którą prowadził osobiście gen. Prich, przyszedł m.in. oddział lwowskiej policji.

12 września dowodzenie obroną miasta objął gen. Franciszek Sikorski. Kolejne dni upływały na uszczelnianiu linii formowanymi oddziałami oraz na walkach z próbującymi okrążyć miasto oddziałami niemieckimi. Szczególnie ciężkie boje toczono w rejonie Kortumowej Góry i Kulparkowa. W miarę możliwości starano się utrzymywać łączność i koordynować działania z napływającymi od północy, cofającymi się na przedmoście rumuńskie oddziałami polskimi. Mimo rosnącej furii Niemcom nie udało się zdobyć miasta.

Sytuacja stała się wyjątkowo ciężka w nocy z 18 na 19 września, kiedy od wschodu do miasta spróbowały wkroczyć oddziały Armii Czerwonej. Bohaterski Lwów walczył od tego momentu przeciwko dwóm agresorom. W dramatycznej sytuacji gen. Sikorski nakazał fortyfikowanie kolejnych linii w głębi miasta oraz masowe szykowanie butelek z benzyną do zwalczania czołgów.

Bohaterstwo lwowian

Obrona Lwowa miała wiele wymiarów. Bohaterstwem dorównali żołnierzom mieszkańcy miasta, od magistratu poczynając, na zwykłej ludności cywilnej kończąc.

Powołano Miejską Straż Obywatelską, na czele z gen. dyw. w stanie spoczynku Władysławem Jędrzejewskim, i Komitet Obywatelski Obrony Lwowa, z rektorem Uniwersytetu Jana Kazimierza, profesorem Romanem Longchampsem de Bérierem jako prezesem.

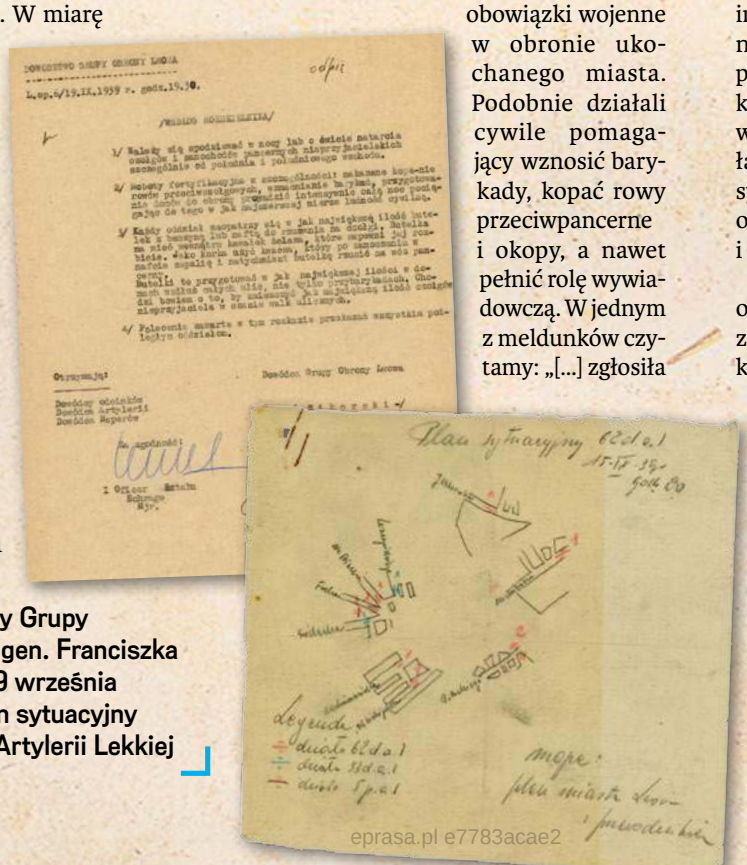
W archiwum Dowództwa Grupy Obrony Lwowa zachowała się korespondencja z pracownikami Miejskiej Kolei Elektrycznej w sprawie pomocy komunikacyjnej i logistycznej oraz Miejskich Zakładów Wodociągowo-Kanalizacyjnych, która dotyczyła napraw niszczonej ogniem wrogiej artylerii sieci wodociągowej i wykorzystania kanałów jako schronów. Jak widać, każda z miejskich służb starała się wykonywać swoje obowiązki wojenne w obronie ukochanego miasta. Podobnie działali cywile pomagający wznosić barykady, kopać rowy przeciwpancerne i okopy, a nawet pełnić rolę wywiadowczą. W jednym z meldunków czytamy: „[...] zgłosiła się w Komendzie miasta Lwów p. Sojka Helena... i podaje, że idąc po dziecko do swego domu widziała jak kilku niemców podkopywało most kolejowy, widząc opodal staruszka, zapytała co oni robią – staruszek powiedział, że podkują most i zakładają miny. Prosił by dała znać Władzom Wojskowym Polskim we Lwowie..." (pisownia oryginalna). Dalej pani Sojka przekazała informacje o niemieckim składzie amunicji i lokalizacji wrogich patroli.

Ostatni bastion

Walki trwały aż do 22 września, kiedy ze względu na ciężką sytuację pozbawionej żywności i ginącej pod ogniem artylerii ludności cywilnej, na skutek kłamliwych, niedotrzymanych potem obietnic Sowietów o zapewnieniu bezpieczeństwa miastu i zwolnieniu polskich żołnierzy do domów, gen. Langner podpisał protokół o przekazaniu miasta w ich ręce. Wielu żołnierzy, mimo ciężkiej sytuacji, nie mogło się pogodzić z kapitulacją. Duża grupa nie poszła do niewoli, wybierając walkę konspiracyjną.

Zachowane archiwum Dowództwa Grupy Obrony Lwowa jest unikatowym świadectwem prowadzonej walki. Na zbiór kilkuset dokumentów składają się meldunki, szkice taktyczne, plany miasta, korespondencja z miejskimi instytucjami oraz rozkazy. Zachowano nawet oryginalne koperty, w których przenoszono najważniejsze z meldunków i rozkazów z odręcznymi pokwitowaniami oraz godzinami odbioru przez łączników i oficerów. Zwracają uwagę systemy haseł i odzewów, dokumenty organizacji zaopatrzenia wojskowego i pomocy dla ludności cywilnej.

W każdej z bitew ostatnim punktem odniesienia triumfu nad wrogiem po zniszczeniu jego sił, lub zmuszeniu do kapitulacji, a następnie zajęciu terenu, jest przejęcie dokumentów sztabowych. Mapy, dzienniki walk, meldunki i rozkazy niosące cenne dane strategiczne, taktyczne i historyczne są ostatnim i najwyższym ze zdobywanych trofeów. Obrońcy Lwowa nigdy nie dopuścili do tego, aby ich archiwum trafiło w ręce Niemców lub Sowietów. Ostatni, niezdobyty bastion broniącego się Lwowa spoczywa bezpiecznie w jednym z regałów Archiwum Akt Nowych, czekając na badaczy i pasjonatów.



Rozkaz dowódcy Grupy Obrony Lwowa gen. Franciszka Sikorskiego z 19 września 1939 r. oraz plan sytuacyjny 62. Dywizjonu Artylerii Lekkiej

eprasa.pl e7783acae2



DEFENSOR PATRIAE

ŁUKASZ OPALIŃSKI (1612–1662), WIELOKROTNY POSEŁ NA SEJMY, MARSZAŁEK NADWORNY KORONNY (OD 1650), CENIONY POLITYK I PISARZ POLITYCZNY POŁOWY XVII w. JEST JEDNĄ Z WAŻNYCH POSTACI HISTORII RZECZYPOSPOLITEJ XVII STULECIA



HENRYK LITWIN

Przypadł mu w udziale dość typowy żywot przedstawiciela polskiej magnaterii tej epoki. Wykształcenie zdobył w Kolegium Lubrańskiego w Poznaniu i na uczelniach europejskich w Lowanium, Paryżu, Orleanie, Strasburgu i Padwie. Korzystał z wielkiego majątku rodowego i bogatego ożenku z dziedziczką Tęczyńskich, Izabelą. Od konwokacji 1632 r. datowała się jego bogata kariera sejmowa, której apogeum było sprawowanie roli marszałka sejmu 1638 r. W odróżnieniu od brata Krzysztofa starał się utrzymywać poprawne stosunki z dworem, a za czasów Jana Kazimierza stał się jednym z najważniejszych członków stronnictwa królewskiego. Kiedy Krzysztof zawierał ze Szwedami haniebną umowę pod Ujściem (1655), Łukasz pozostał wierny Janowi Kazimierzowi i towarzyszył królowi na śląskim wygnaniu. W kolejnych latach wspierał monarsze plany reform ustrojowych i elekcji vivente rege francuskiego kandydata na tron. Jego najważniejszą aktywnością było jednak pisarstwo polityczne, i w tym charakterze został zapamiętany przez współczesnych oraz potomnych. Historycy najbardziej cenią jego „Rozmowę plebana z ziemianinem", wydaną anonimowo w 1641 r. i zawierającą program reform ustrojowych, przewidujących m.in. ograniczenie zasady jednomyślności (jeszcze przed pierwszym użyciem liberum veto). Zapamiętane zostały także inne dzieła publicystyczne, poetyckie, moralistyczne i kronikarskie Opalińskiego.

Literatura po francusku

Szczególne miejsce w jego twórczości zajmuje „Obrona Polski", dzieło wydane w Gdańsku w 1648 r. Była to polemika z dotyczącymi Rzeczypospolitej fragmentami utworu „Icon animorum", który ukazał się po raz pierwszy w Paryżu w 1614 r., a następnie był publikowany po francusku jako czwarta część saty-

FOT. SDM.UPJP2.EDU.PL/DZIELA/PORTRET-LUKASZA-OPALINSKIEGO

eprasa.pl e7783acae2

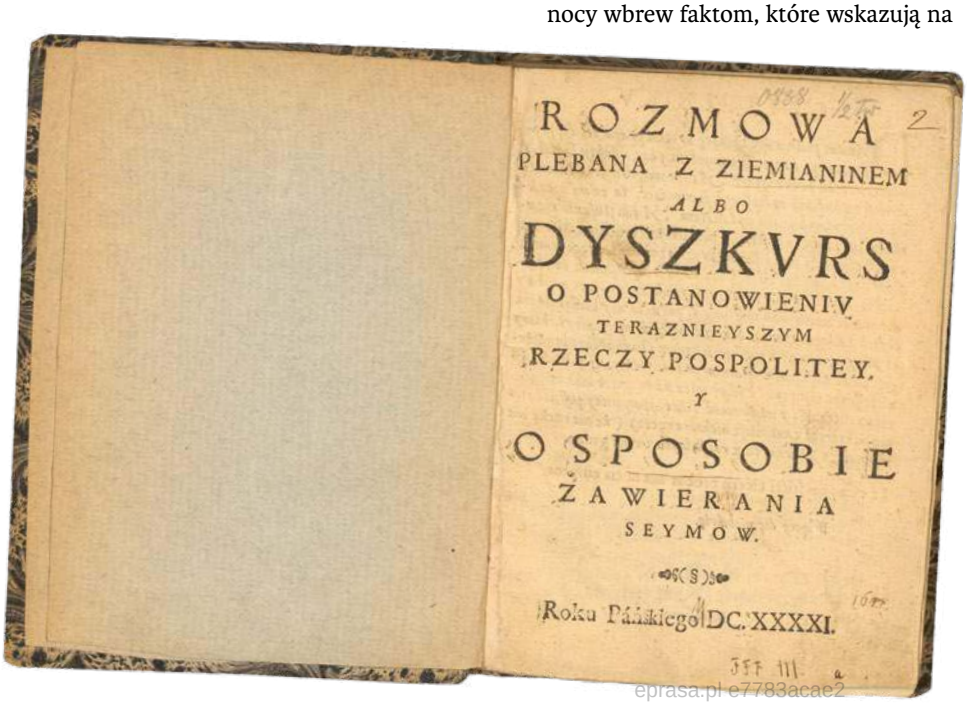
rycznego poematu „Euphormion". Jego autorem był Jean Barclay, francuski pisarz pochodzenia szkockiego, który należał do wpływowego środowiska intelektualistów francuskich pierwszej połowy XVII w., określanego często jako République de Lettres (Republika Literatów). Ukształtowało ono pewien wzorzec aktywności pisarskiej i naukowej oparty na myśleniu racjonalnym, badaniach przyrodniczych i astronomicznych, kreujący ówczesną Francję w roli centrum myśli i kultury europejskiej.

Duchowym przewodnikiem tego środowiska i samego Barclaya był Nicolas-Claude Fabri de Peiresc, zwany „un maître de tout" („mistrzem wszystkiego") lub „prince des curieux" („księciem zaciekawionych"). Jego sławę ponad wiek później ponownie wypromowali francuscy encyklopedyści.

W XVII w. Republika Literatów narzucała pewną intelektualną modę, która w znacznej mierze służyła politycznym interesom monarchii francuskiej i rodzącego się wówczas nad Sekwaną absolutyzmu. Dzieła Barclaya wpisywały się w ten nurt, zaś „Icon animorum" były tego dobrym przykładem. Tekst zawierał krytyczne charakterystyki narodów europejskich, przyznając czołową rolę w Europie Francji i kontrastując jej wizerunek z negatywnym obrazem innych nacji, wśród których szczególnie surowo zostali potraktowani Polacy. Barclay przedstawił Rzeczpospolitą jako mroźny, biedny i prymitywny kraj, hołdujący przy tym kuriozalnym obyczajom politycznym podważającym dostojeństwo władzy królewskiej. Kraj skazany na anarchię i słabość. Dzieło Barclaya, który nigdy Rzeczypospolitej nie odwiedzał i opierał się na odpowiednio dobranych relacjach, zawierało oczywiste uproszczenia i aż „prosiło się" o polemikę. Ukazała się ona dopiero po 34 latach od publikacji „Icon animorum", 27 lat po śmierci Barclaya i 11 lat po śmierci jego intelektualnego pryncypała Peiresca. Była jednak podjęciem ważnej dyskusji z wciąż żywą intelektualną modą oraz stanowiła manifest odmiennej od francuskiej refleksji dotyczącej ustroju państwowego i obyczajów politycznych.

Argumenta contra Barclayum

Opaliński systematycznie zbijał tezy Barclaya i podejmował szczegółową polemikę z francusko-szkockim adwersarzem. Wykazywał przy tym intelektualną płytkość argumentów autora „Icon animorum" i brak naukowego aparatu w dowodzeniu jego racji. Sam posiłkował się szeroko „literaturą przedmiotu", dowodząc swojej znakomitej znajomości nie tylko intensywnie przywoływanej klasyki antycznej, lecz także francuskiego piśmiennictwa politycznego, cytując np. Philippe'a de Commynesa czy Claude'a de Seissela. Wykorzystywał również pochlebne dla Rzeczypospolitej opinie wybitnych humanistów – Erazma z Rotterdamu i Justusa Lipsiusa. Warto zwrócić uwagę na kilka kluczowych elementów polemiki Opalińskiego. Wyśmiewa on dyletanctwo Barclaya przedstawiającego Polskę jako mroźny kraj Północy wbrew faktom, które wskazują na położenie Rzeczypospolitej na szerokości geograficznej północnej Francji i Niderlandów. Odrzuca argumenty wskazujące na rzekomą słabość gospodarczą i biedę panującą w Polsce, kreśląc obraz kraju bogatego w różne zasoby – żywiciela Europy dzięki kwitnącemu rolnictwu i gospodarce hodowlanej, rybnej i leśnej, krainy posiadającej dostęp do licznych bogactw kopalnych – srebra, cynku, miedzi i przede wszystkim soli kamiennej, a także ważnego centrum handlu, gdzie krzyżują się szlaki wymiany towarowej z Europą zachodnią, południową i Orientem. W ujęciu Opalińskiego Rzeczpospolita jest ziemią dobrze prosperującą i bogatą, a na poparcie tych tez autor nie szczędzi danych statystycznych, wskazując na wysoki wolumen polskiego eksportu ziarna, trzody i produktów leśnych, a także importu przypraw z Niderlandów, wina z Węgier, tkanin z Włoch i „towarów wschodnich" z Turcji i Persji. Autor „Obrony..." dowodzi, że Polska nie stanowi peryferii gospodarki europejskiej, ale jest jej ważnym uczestnikiem, co przynosi krajowi zamożność i dobrobyt. Pamiętajmy, że Opaliński opisuje sytuację z pomyślnych dla Rzeczypospolitej lat 40. XVII w., sprzed głębokiego kryzysu rozpoczętego w 1648 r. i określanego jako „initium calamitatis regni" („początek nieszczęść królestwa"). Wizerunek podyktowany polemicznym charakterem utworu jest może nieco nadmiernie optymistyczny, ale wynika przede wszystkim z pozytywnych doświadczeń autora, który sam prowadził aktywną działalność gospodarczą przynoszącą znaczne zyski.

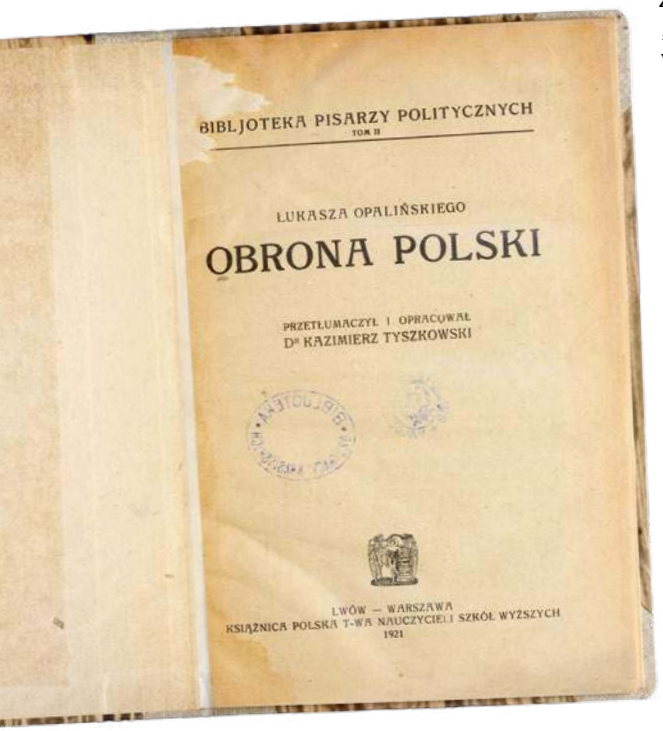

ROZMOWA
PLEBANA Z ZIEMIANINEM
ALBO
DYSZKVRS
O POSTANOWIENIV
TERAZNIEYSZYM
RZECZY POSPOLITEY.
Y
O SPOSOBIE
ZAWIERANIA
SEYMOW.
Roku Páńskiego DC. XXXXI.

Nie „grzebieniem", ale „sprawami Rzeczypospolitej"

Najciekawsze są jednak ustępy utworu odnoszące się do dokonanej przez Barclaya krytyki systemu prawnego i ustroju Rzeczypospolitej. Opaliński podjął polemikę z kluczową tezą Barclaya twierdzącego, że „obyczaje tego ludu nie dojrzały do cywilizacji naszego wieku". Nie zastosował tu jednak argumentacji szczegółowej, lecz podważył sam fundament konstruowania wskazanej opinii. Przyznając, że „Galia jest najpiękniejsza z ziem i zdaje się nadawać ton wszystkim ludom Europy w ozdobach i ubraniu". Dowodzi, że „tam nie żyje się wcale tak, aby ten sposób życia innym należało podawać za regułę". Opaliński, powołując się również na własne »

eprasa.pl-e7783acae2

» doświadczenia, twierdzi, że szlachta francuska gnuśniejąca „w zaniedbaniu sztuk i nauk" charakteryzuje się tym, że jej „całe wychowanie i kultura ogranicza się do ciała". „Niczego nie czyta prócz opowieści miłosnych" i trawi czas zajęta „grzebieniem, zwierciadłem i papilotami". Marszałek koronny przeciwstawia temu obyczaje szlachty polskiej, która zajmuje się „sprawami Rzeczypospolitej lub pracami domowemi". Wśród tych pierwszych podkreśla znaczenie uczestnictwa w sejmikach, gdzie „jeździmy z prawem głosu a nawet sprzeciwu. Szerokie tam pole dla wielkoduszności, pozyskania sławy, udowodnienia miłości ojczyzny i pracy dla dobra ogółu [...] między uszanowaniem dla władzy a ojcowską wolnością". „Drugie miejsce pracy dla Rzeczypospolitej to sądy zwane trybunałami. Tam stajemy się współuczestnikami najwyższej władzy publicznej, wyrokując o mieniu i honorze, a nawet o życiu samym współobywateli". Trzecie pole działalności publicznej szlachty to według Opalińskiego sprawowanie urzędów, przede wszystkim sądowych, a czwarte – udział w sejmach. Wreszcie ważnym i świadomie realizowanym obowiązkiem szlachty polskiej jest „żołnierka". „Tam, gdzie państwo nie jest posiadłością dziedziczną i własnością jednostki, ale społeczeństwem związanym prawami i wspólną ojczyzną mieszkańców, tam wszyscy troszczą się o dobro powszechności". „Obrona Polski" oddaje przewagę życiu ziemiańskiemu nad egzystencją „dworską", poczuciu obowiązku obywatelskiego nad zobowiązaniem do służby władcy. Opaliński posiłkuje się w tej mierze cytatem z mistrza Kochanowskiego: „Wolność jest mi jak gemmy i igrzyska. [...] Nie czekam niczyjego skinienia, ani nie czuwam na progu, obijając boki o twarde odrzwia. Nie czekam pańskiego głodu, aby zacząć jeść, nie toruję nikomu drogi w tłumie. Nie układam życia wedle cudzych zasad, wolno mi rozporządzać czasem według własnego zdania".



Opaliński w swoim tekście podejmuje też dyskusję z zarzutami Barclaya dotyczącymi „barbarzyńskich" obyczajów polskich odnoszących się do „kary za mężobójstwo". Ten ustęp „Obrony Polski" oceniany był w polskiej historiografii najbardziej krytycznie, jako reprezentujący „wąską świadomość szlachecką" oraz przeciwny renesansowej tradycji uosabianej przez Andrzeja Frycza Modrzewskiego i jego pisma. Opaliński broni polskiego systemu prawa karnego i kary „nawiązki" (czyli stosowania grzywny) za zabójstwo. Nie używa jednak szczegółowej prawnej argumentacji, lecz wykorzystuje możliwość przejścia na wyższy poziom uogólnienia. Nie broni partykularnych rozwiązań prawnych, ale przenosi dyskusję na poziom rozważań o zasadności kary śmierci i resocjalizującego wymiaru rozwiązań prawnych. Powołuje się na autorytet Seneki, dowodząc, że celem kary „jest albo poprawić tego, na kogo spada, albo lepszymi uczynić innych, albo też przez unieszkodliwienie złych reszcie zapewnić spokojne życie". Wychodząc z tego założenia, Opaliński kwestionuje „wychowawcze" znaczenie kary śmierci i broni prawa „już nie barbarzyńskiego, ale raczej ludzkiego i łaskawego".

Bogactwo życia ziemiańskiego

W dziele „Obrona Polski" argumentacja Opalińskiego odwołuje się rzecz jasna do obrazu idealnego. Marszałek koronny nie wykorzystuje tu swoich praktycznych doświadczeń, które były kanwą dla jego innych pism politycznych, w których prezentował się jako zwolennik reform systemu ustrojowego. Polemiczny charakter rozprawy ma swoje konsekwencje. W „Obronie Polski" Opaliński odpowiadał doktryną na doktrynę i uogólnieniem na nieuzasadnione uogólnienie. Trudno jednak wątpić, że pisał swój tekst z całkowitym osobistym przekonaniem. Występował jako rzecznik pewnego systemu kulturowo-ustrojowego, który w jego mniemaniu był dobrym rozwiązaniem alternatywnym wobec wzorca monarchii absolutnej. System ten wymagał korekt, ale nie fundamentalnych zmian. Państwo obywatelskie było w przekonaniu marszałka koronnego ustrojem optymalnym, choć nie idealnym. Natomiast wzorzec życia ziemiańskiego miał w jego przekonaniu walor niezaprzeczalny.

Charakter takiego ziemiańskiego życia dobitnie obrazuje fragment listu napisanego do Łukasza Opalińskiego przez jego brata Krzysztofa w 1642 r. Znajdują się w nim m.in. przypomnienia o załatwieniu spraw, którymi Łukasz wcześniej obiecał się zająć: kroczaka do pola (koń „inochodziec" pożyteczny przy uprawie pól), wacek (torba myśliwska), brokatellę (tkanina jedwabno-lniana), kapitułę chocką (rozwiązanie problemów finansowych kapituły kolegiaty w Choczu), peruki Pannie Siestrze (Zofii Opalińskiej), statuam nieboszczki Pani Matki (Zofii z Kostków), puncta sejmiku i koncept, czapki krakowskie et alia, dla żony mojej kompozycje Pana Franciszka (Lelio Gigli, muzyk dworski Zygmunta III i Władysława IV), dyskurs o kwarcianym wojsku głowy Waszmość Pana (czyli autorstwa Łukasza Opalińskiego), szosowy sierakowski (podatek) zapłacić, officium Najświętszej Panny dla żony mojej (Teresy z Czarnkowskich) krakowskiego druku (druk dewocyjny).

To krótkie kompendium zainteresowań magnata z połowy XVII w. charakteryzuje życie codzienne tego ziemiańskiego środowiska. Uwzględnione są tu gospodarka na roli, życie polityczne, ambicje intelektualne, potrzeby religijne, zobowiązania finansowe wobec państwa i kościoła, hołdowanie modzie w odniesieniu do ubioru i zainteresowań artystycznych. Łukasz Opaliński i jego brat prezentują się nam jako katolicy, ziemianie, statyści, celebryci, Europejczycy i świadomi swych powinności obywatele Rzeczypospolitej.

FOTPOLONA.PL
eprasa.pl e7783acae2

DUCH I POLITYKA



GRZEGORZ GÓRNY

Chadecja nieobecna

Dlaczego w Polsce nigdy nie powstała klasyczna partia chrześcijańsko-demokratyczna w stylu włoskiej Democratia Christiana czy niemieckiej CDU? Chyba wszyscy w miarę zorientowani obserwatorzy życia publicznego zgodzą się, że takimi ugrupowaniami nie są ani Platforma Obywatelska, ani Polskie Stronnictwo Ludowe, mimo że obie te formacje należą do chadeckiej międzynarodówki, czyli Europejskiej Partii Ludowej. Nie jest taką partią również Prawo i Sprawiedliwość, które nieprzypadkowo afiliowało się przy innej politycznej rodzinie europarlamentarnej.

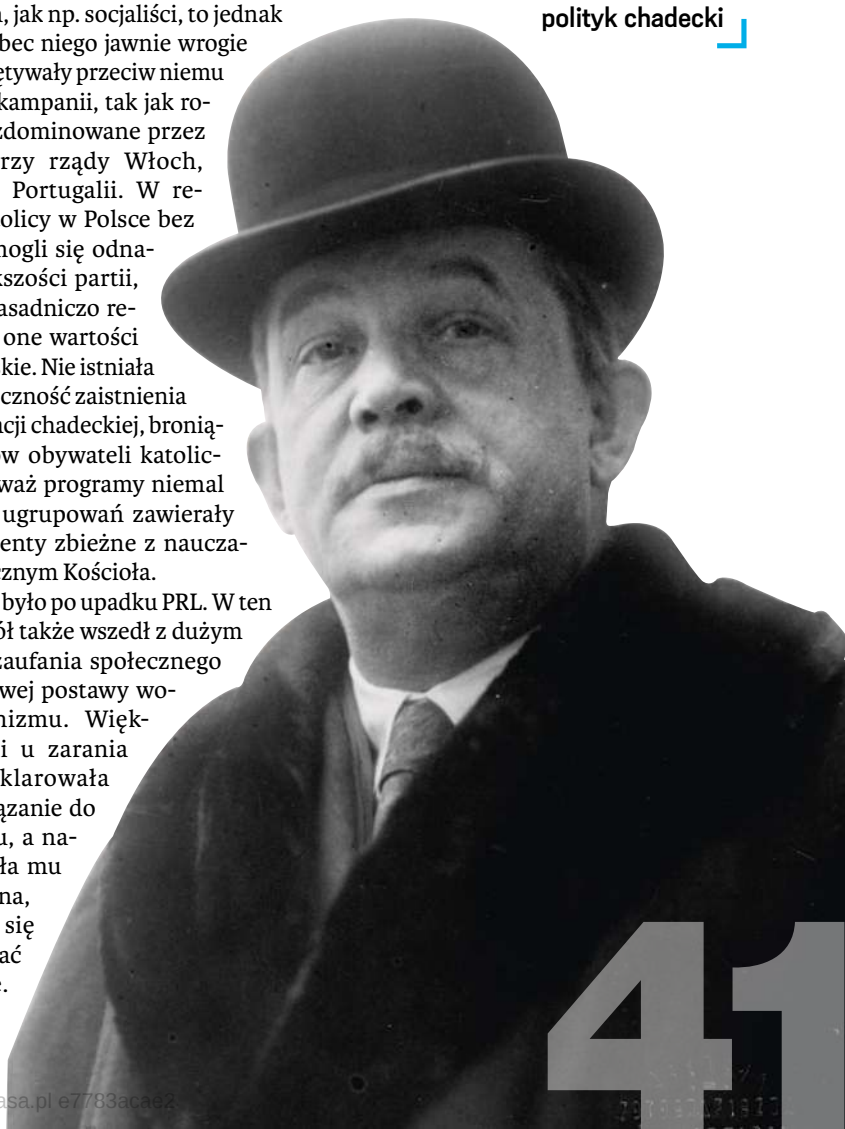
To pytanie dotyczy nie tylko czasów obecnych, lecz także przeszłości, ponieważ chadecja nigdy nie odgrywała w Polsce znaczącej roli, mimo że większość obywateli Rzeczypospolitej zawsze stanowili katolicy, a więc ludzie, którzy powinni się kierować w swoim życiu zasadami wywodzącymi się z nauki Kościoła. Istniało co prawda w okresie międzywojennym Polskie Stronnictwo Chrześcijańskiej Demokracji, powstałe w roku 1919 i przemianowane w 1937 r. na Stronnictwo Pracy, ale nie miało ono większego znaczenia na scenie politycznej II RP. Najwybitniejszym przedstawicielem tego ugrupowania był Wojciech Korfanty – jeden z ojców polskiej niepodległości, największym sukcesem zaś – wynik wyborów parlamentarnych, w których chadecja (startując w ramach szerszej koalicji) zdobyła 44 miejsca w Sejmie i 7 w Senacie.

Trzeba jednak pamiętać, że protoplastami formacji chrześcijańsko-demokratycznych były partie katolickie powstałe w Europie w II połowie XIX w. jako polityczna reakcja na walkę liberalnych władz z Kościołem. Zaistniała wówczas potrzeba posiadania reprezentacji parlamentarnych, które mogłyby bronić interesów i wrażliwości obywateli katolickich. Klasycznym przykładem takiego ugrupowania była założona w 1870 r. Niemiecka Partia Centrum, która wzięła na siebie ciężar walki z Kulturkampfem, rozpętanym przez kanclerza Ottona von Bismarcka.

W tym czasie polskie państwo jednak nie istniało, więc na naszych ziemiach nie mogło się rozwijać normalne życie polityczne. Jednocześnie władze w Berlinie i Petersburgu ograniczały działalność Kościoła katolickiego, a nawet go represjonowały, ponieważ jawił się on jako główna ostoja polskości. W zaborze niemieckim germanizacja łączyła się często z protestantyzacją, a w zaborze rosyjskim – rusyfikacja z uprzywilejowaniem prawosławia. W tej sytuacji większość polskich sił politycznych (i legalnych, i konspiracyjnych) sympatyzowała z prześladowanym Kościołem.

Nic więc dziwnego, że kiedy Rzeczpospolita po I wojnie światowej odzyskała niepodległość, niemal wszystkie ugrupowania okazywały szacunek wobec Kościoła. Nawet jeśli nie zgadzały się z jego nauczaniem, jak np. socjaliści, to jednak nie były wobec niego jawnie wrogie ani nie rozpętywały przeciw niemu brutalnych kampanii, tak jak robiły to np. zdominowane przez wolnomularzy rządy Włoch, Francji czy Portugalii. W rezultacie katolicy w Polsce bez problemu mogli się odnaleźć w większości partii, ponieważ zasadniczo respektowały one wartości chrześcijańskie. Nie istniała zatem konieczność zaistnienia jednej formacji chadeckiej, broniącej interesów obywateli katolickich, ponieważ programy niemal wszystkich ugrupowań zawierały liczne elementy zbieżne z nauczaniem społecznym Kościoła.

Podobnie było po upadku PRL. W ten okres Kościół także wszedł z dużym kapitałem zaufania społecznego z powodu swej postawy wobec komunizmu. Większość partii u zarania III RP deklarowała swe przywiązanie do katolicyzmu, a nawet jeśli była mu nieprzychylna, to starała się nie okazywać tego jawnie. Dotyczy to zwłaszcza postkomunistów, których liderzy nie epatowali antyklerykalizmem, a na poziomie samorządowym często dogadywali się z miejscowymi biskupami i proboszczami, załatwiając lokalne sprawy. Do historii przeszła zresztą wspólna przejażdżka Jana Pawła II z Aleksandrem Kwaśniewskim – jedynym politykiem na świecie, który dostąpił zaszczytu jazdy papamobilem wspólnie z papieżem. Od tamtego czasu wiele się zmieniło, ale klasycznej chadecji nadal nie ma.



FOT. NAC

Wojciech Korfanty (1873-1939), jeden z ojców polskiej niepodległości, wicepremier i lider Stronnictwa Pracy, to do dziś najwybitniejszy polski polityk chadecki

eprasa.pl e7783acae2



eprasa.pl e7783acae2

„Odyseję wolności” napisali nasi przodkowie. Idziemy ich szlakiem

*Na wszystkich szerokościach geograficznych znajdujemy ślady polskości – mówi **dr Karol Nawrocki**, prezes Instytutu Pamięci Narodowej*

Jest pan prezesem IPN od roku. W tym czasie najgłośniej wokół Instytutu było przy okazji burzenia sowieckich pomników. Czy jest pan z tego zadowolony, czy ta operacja idzie zgodnie z planem?

Dr Karol Nawrocki: Nie ukrywam, że liczę na to, iż w mojej kadencji dokona się ten ostatni etap dekomunizacji przestrzeni publicznej w Polsce. W ciągu trzech miesięcy zlikwidowaliśmy 20 pomników z listy, którą stworzyliśmy w IPN, a obejmującej 60 upamiętnień Armii Czerwonej. Wynik całkiem niezły, szczególnie biorąc pod uwagę, że od przyjęcia przez Sejm ustawy o zakazie propagowania komunizmu mija pięć lat.

IPN zainicjował w 2021 r. projekt „Szklaki nadziei. Odyseja wolności”, by osobiście pokłonić się polskim bohaterom wojskowym i cywilnym, których II wojna światowa zmusiła do opuszczenia ojczyzny, a którym powojenna władza komunistyczna nie pozwoliła na powrót do kraju. Znamy wędrowny los armii gen. Andersa czy gen. Maczka, dlaczego tak ważna jest nasza pamięć o pozostałych szklakach?

Trzyletni projekt opowiadający o „szlakach nadziei”, m.in. gen. Władysława Andersa, jest koordynowany przez Biuro Współpracy Międzynarodowej. To ważne, by światu przekazywać narrację o tym, jak Polacy nieśli wolność innym narodom, współpracując z nimi w tej drodze. Mieliśmy m.in. wernisaż wystawy we Freedom Park, największej galerii w Republice Południowej Afryki, przyjmującej kilkadziesiąt tysięcy zwiedzających. Udostępniliśmy naszą wystawę w największym militarnym muzeum w Pretorii, gdzie stała się częścią ekspozycji głównej, odwiedzanej co roku przez ok. 80 tys. osób. Wyremontowaliśmy cmentarz w stolicy Zimbabwe, Harare. To był bardzo wzruszający moment, gdy tamtejsze media chwaliły Polaków – naród, który po 80 latach wraca do swoich, by uhonorować cywilne ofiary na tamtym terenie. Bo przecież my zawsze wracamy po swoich, nie zostawiamy ich, niezależnie od tego, czy walczyli, czy umierali z Polską w sercu.

To tylko część miejsc wymienionych na kolumnach Pałacu Saskiego w Warszawie, w których przelewaliśmy polską krew...

Scenariusz wędrówki wernisaży naszej wystawy napisali za nas nasi przodkowie – gen. Andres i gen. Maczek, gen. Sosabowski, polscy żołnierze nad niebem Wielkiej Brytanii. Idziemy ich szlakiem. Wystawa opowiada o Polsce, o historii II wojny światowej, o polskich żołnierzach, ale niesie w sobie też taki, oczywisty może, element zainteresowania wspólną historią w miejscach, w których ją eksponujemy. Tak jest w Afryce Wschodniej, w Nowej Zelandii, w Uzbekistanie, bo czekamy na jesienny wernisaż w Taszkencie i potem w dwunastu okręgach Uzbekistanu, także w Kazachstanie. Daje możliwość dowiedzenia się czegoś o swojej historii i historii narodu niszczonego przez dwa totalitaryzmy. W kolejnych latach wystawa ma trafić do 60 państw i pokażemy ją w ponad 150 miejscach.

Pamiętam, że jeszcze w Muzeum II Wojny Światowej rozmawialiśmy o bezcennym znaczeniu prywatnych archiwów, pamiątek, które często wciąż czekają na odkrycie w szufladach, na strychach... Instytut już w 2017 r. uruchomił projekt „Archiwum Pełne Pamięci”.

Ten projekt nabrał zupełnie innego kształtu, gdy zaczęliśmy docierać do miejsc, w których Instytutu dotychczas nie było. Rośnie liczba darczyńców, bo na wszystkich szerokościach geograficznych, gdzie docieramy z projektem „Szlaki nadziei. Odyseja wolności”, znajdujemy ślady polskości, choć niestety w wielu miejscach to cmentarze znaczone krzyżami. To też miejsca pamięci pod opieką fundacji, stowarzyszeń, które apelują do nas o fachową pomoc w dokumentowaniu naszej historii. W ramach „Archiwum” tym się zajmujemy. To digitalizacja, konserwacja, dokumentacja – by te pamiątki, ślady polskości trwały, także w archiwum IPN, kolejne dziesięciolecia.

Z dr. Karolem Nawrockim, prezesem Instytutu Pamięci Narodowej, rozmawiali Marcin Wikło i Maciej Wośko. Zapis całego wywiadu dostępny w Sieci Przyjaciół na portalu wPolityce.pl – https://wpolityce.pl/tygodniksieci/607767-wywiad-dr-nawrocki-komuny-trzeba-sie-pozbyc-raz-na-zawsze

FOT. ANDRZEJ WIKTOR

eprasa.pl e7783acae2

INSTYTUT PAMIĘCI NARODOWEJ

„Szlaki nadziei. Odyseja wolności”

W 2022 r. przypada 80. rocznica rozpoczęcia wędrówki ewakuowanej z ZSRS Armii Polskiej pod dowództwem gen. Władysława Andersa. Mając na uwadze upamiętnienie wysiłku Polskich Sił Zbrojnych w II wojnie światowej, Instytut Pamięci Narodowej przygotował międzynarodowy projekt edukacyjno-memoratywny „Szlaki Nadziei. Odyseja Wolności”



Polacy deportowani do Kazachstanu przed ziemianką, Ujska Ferma, Mołotowskij sowchoz, Kazachska SRR, maj 1940 r.

FOT. FUNDACJA OŚRODKA KARTA

— *dr Mateusz Marek* —

Przez tytułowe „Szlaki nadziei” przypominamy przebieg zbiorowej odysei obywateli polskich w latach II wojny światowej. Wędrówki te – o charakterze zarówno wojskowym, jak i cywilnym – były związane z działalnością legalnych władz Rzeczypospolitej, a przyświecała im myśl o przywróceniu wolności Polsce i światu, zniewolonym przez III Rzeszę i jej sojuszników. Nie jest to zatem jeden szlak, a kilka. Prócz armii która bohatersko walczyła pod Monte Cassino, było jeszcze wielu dziś zapomnianych, polskich żołnierzy na różnych frontach, o których pamięć chcemy przywrócić.

Wyróżniliśmy szlaki wojskowe, cywilne oraz mieszane, ale także morskie i lądowe. Do wojskowych należą szlaki: Armii Polskiej ewakuowanej ze Związku Sowieckiego i przekształconej w 2. Korpus Polski, „Afrykański” (Libia, Egipt) Samodzielnej Brygady Strzelców Karpackich, „Norweski” – Samodzielnej Brygady Strzelców Podhalańskich, „Francuski” z 1940 r., 1. Dywizji Pancernej generała Maczka, 1. Samodzielnej Brygady Spadochronowej, Polskiej Marynarki Wojennej i Handlowej, Polskich Sił Lotniczych, „Cichociemnych” i polskiego wywiadu. Cywilne szlaki obejmują m.in. losy władz polskich i rządu Rzeczypospolitej na uchodźstwie, ewakuacje Polaków po wrześniu 1939 r. i historię ich internowania, ewakuację ze Związku Sowieckiego w 1942 roku i relokację w różnych częściach świata jak In-

eprasa.pl e7783acae2

FOT. AIPN (3X)



„Pierwszy posiłek” Polskiej Armii w Iranie po ewakuacji z ZSRS



Ochotniczka z Pomocniczej Służby Kobiet w trakcie pracy w wojskowym warsztacie samochodowym w Teheranie, wrzesień 1942 r.



Polskie dzieci w szkole w Afryce

die, Nowa Zelandia czy Afryka. Cywilne szlaki nadziei to także losy Polaków tuż po zakończeniu II wojny światowej.

Projekt „Szlaki Nadziei. Odyseja Wolności” w latach 2022–2025 obejmie zasięgiem ponad 50 państw na całym świecie. Pretekstem do opowiedzenia o polskiej historii w wielu krajach świata jest wystawa składająca się z dwóch części: ogólnej opowiadającej odyseję Polaków podczas II wojny światowej oraz części lokalnej. Syntetyczna forma wystawy i zdjęcia koloryzowane w konsultacji z historykami mają zachęcić do zapoznania się z historią walki o wolność Polaków. W każdym państwie, czy nawet konkretnej miejscowości, powstanie unikatowa wystawa lokalna, dedykowana rodzimej społeczności i przedstawiająca miejscowych bohaterów. Do dziś ludność Belgii czy Holandii pamięta żołnierzy 1. Dywizji Pancernej. W trakcie walk o Ypres gen. Stanisław Maczek wydał rozkaz zakazujący prowadzenia ognia artyleryjskiego w czasie walk o miasta, dzięki któremu cywilna ludność Belgii i Holandii nie straciła życia i dobytku. Takich lokalnych historii pokazujemy znacznie więcej.

W ramach projektu zostaną wydane serie tematycznych publikacji i materiałów edukacyjnych w różnych wersjach językowych. Zaplanowano również szereg konferencji, konkursów, spotkań i konferencji naukowych. Ważną część projektu stanowi odnawianie zapomnianych miejsc pamięci zlokalizowanych w różnych częściach świata, od Azji przez Bliski Wchód po miejsca, tablice cmentarne w Europie, Afryce czy obu Amerykach. Elementem projektu jest systematyczne pozyskiwanie dokumentów, zdjęć i pamiątek po żołnierzach PSZ w ramach „Archiwum pełnego pamięci”.

Wystawa i projekt miał już swoją inaugurację w Kazachstanie, Iranie, Republice Południowej Afryki, Zimbabwe i Stanach Zjednoczonych. Jeszcze w 2022 roku wystawa pojawi się w Kanadzie, Gruzji i Uzbekistanie. Cały projekt oraz pełną wersję wystawy z wszystkimi regionalnymi odsłonami można obserwować na stronie: **szlakinadziei.ipn.gov.pl.**



Wizyta gen. Władysława Andersa w szpitalu wojskowym w Iranie

FOT. INSTYTUT JÓZEFA PIŁSUDSKIEGO W AMERYCE

eprasa.pl e7783acae2

Ostatni rozdział.

„Najważniejsza jest pamięć”

Jesteśmy razem na Monte Cassino i w wolnej Polsce. Koło rodzinnej historii symbolicznie się domknęło. To jest ten ostatni rozdział. Jako wolni ludzie budujemy wolną ojczyznę. I modlę się, żeby tak zostało. Bo taką Polskę chciał zobaczyć ojciec, gen. Władysław Anders.

*Z **Anną Marią Anders**, córką gen. Władysława Andersa, ambasador RP we Włoszech, rozmawiała i wspomnienia zebrała Małgorzata Frydrych*



Obchody 78. rocznicy wyzwolenia Ankony przez żołnierzy 2. Korpusu Polskiego. Na zdjęciu w pierwszym rzędzie od lewej: Jan Józef Kasprzyk, szef Urzędu ds. Kombatantów i Osób Represjonowanych, Anna Maria Anders, ambasador RP we Włoszech, dr hab. Karol Polejowski, zastępca prezesa IPN, Zofia Romaszewska, doradca prezydenta RP

Tata generał

Władysław Anders, jakiego pamiętam z czasów dzieciństwa, to oczywiście tata. Uwielbiałam ojca jako mała dziewczynka. Spędzaliśmy bardzo dużo czasu razem. Przez to, że był na obczyźnie, pracował, ale nie był osobą powszechnie znaną w Londynie, rozpoznawaną na ulicy, to mogliśmy pójść razem do parku, do cyrku. Miał więcej czasu dla mnie. Był ciepłą osobą. Jak zaczęłam przyjeżdżać do Polski, ludzie mnie często pytali, jaki ojciec był w domu, czy chodził w kapciach. Ludzie go sobie cały czas wyobrażali w mundurze. Tak, oczywiście, chodził w kapciach. Był w domu osobą niewymagającą, zawsze był łatwy do współżycia. Pamiętam, że chyba tylko raz

eprasa.pl e7783acae2

się na mnie zirytował, bo przeszkadzałam w ważnym spotkaniu. A tak na ogół, gdyby nie mama, to byłabym zupełnie rozpieszczona przez ojca.

Oczywiście postać ojca w domu to jest jedna strona. Pamiętam też ojca w życiu publicznym. Zawsze mówił, że byłam jego ostatnią, największą miłością. Zabierał mnie ze sobą wszędzie, na wszystkie akademie, na których jako dziecko bardzo się nudziłam [śmiech]. Zawsze jak wchodził do pomieszczenia, to wszyscy wstawali i kłaniali się mu z wielkim szacunkiem. Nawet jak nie nosił munduru, to widziałam, że był bardzo ważną osobą. Publicznie zachowywał się bardzo poważnie. Miałam kilka lat, kiedy zaczął się dla Polski trudny czas powojenny. Pamiętam, że w domu odbywały się jakieś spotkania, ale nic konkretnego nie mogę sobie przypomnieć z tamtego okresu dzieciństwa. Poznałam generałów Tadeusza Bora-Komorowskiego, Stanisława Kopańskiego, Romana Odzierzyńskiego, jednak nie wiedziałam wówczas, kim oni byli. Wolałam towarzystwo przyjaciół mojej mamy: Mariana Hemara, Feliksa Konarskiego ps. Ref-Ren, ludzi sceny.

Jak oglądam zdjęcia rodzinne z lat 50., kiedy ojciec był aktywny politycznie, ze spotkań generałów, to widzę znanych ludzi. Wiem, że wówczas ojciec jeszcze miał nadzieję, że sytuacja Polski się zmieni, że zobaczy wolną ojczyznę. Ale w domu był tatą.

Polski dom w Londynie

W emigracyjnym domu Andersów w Londynie pielęgnowało się polskie tradycje i pamięć o Polsce. Zdałam sobie z tego sprawę dopiero wtedy, gdy zaczęłam przyjeżdżać do Polski. Wszystko było znane, mimo że urodziłam się i wychowałam poza jej granicami. Potrawy, zabawy, msze święte, kolędy. I pierogi, i ogórki kiszone, śledziki i wódeczka też [śmiech]. Mój strój krakowski małej dziewczynki. Obchodziliśmy uroczystości 3 Maja. To pamiętam.

Spotykaliśmy się, rodzice z dziećmi, w Klubie Polskim w Londynie. Istnieje do dziś, choć stał się za bardzo angielski. Funkcjonuje tam nadal polska restauracja, która cieszy się ogromnym zainteresowaniem. Przy stole w rogu jest tabliczka informująca, że to był stolik generała Andersa. Za każdym razem jak jestem w Londynie, idę tam i ogarnia mnie ogromna nostalgia. Wszystko wraca. Za rogiem jest



Anna Maria Anders, ambasador RP we Włoszech, przemawia na obchodach 78. rocznicy wyzwolenia Ankony przez żołnierzy 2. Korpusu Polskiego

Naszą rolą jest mówić o bohaterach i o tamtych wydarzeniach. Dawać ludziom coś więcej niż tylko fakty, pokazywać ich życie, rodziny, sukcesy i zmagania z trudami dnia codziennego

Instytut Sikorskiego, gdzie ojciec pracował. To moje dzieciństwo i wspomnienia. Pamięć o generale Andersie wśród rodzin Polaków, którzy po wojnie osiedli na stałe w Londynie, wciąż jest żywa. W miejscach, gdzie bywał, zachowały się pamiątki jego obecności. Są w Wielkiej Brytanii również polskie szkoły, które sylwetki naszych bohaterów przypominają kolejnym pokoleniom Polaków.

Szlaki nadziei. Odyseja wolności

Szlaki nadziei, którymi podążało polskie wojsko i cywile z terenów ZSRS na Zachód, zostały wytyczone przez generała Andersa. Kiedy o tym opowiadał, byłam zbyt małym dzieckiem, żeby się przysłuchiwać i zapamiętać. Później już był tak chory, że nie spędzaliśmy razem tak dużo czasu na rozmowach, a w domu rzadko wracał do czasów wędrówki Armii Andersa. Pamiętam też, że ojciec niechętnie mówił o wojnie. Prawie w ogóle nie mówił o Rosji. Wiele lat później wyszłam za mąż za pułkownika wojsk amerykańskich, który służył w Wietnamie. On również do tematów wojny nie wracał przy okazji spotkań rodzinnych. To jest chyba takie żołnierskie podejście, że o wojnie nie mówi się w domu.

Jedyne, co mi było bardzo dobrze znane, to Włochy. To był jego wielki sukces: Monte Cassino, Bolonia, Ankona. I to jest fascynujące, te szklaki nadziei, cała wędrówka Polaków do wolności. Jestem ogromnie wdzięczna Instytutowi Pamięci Narodowej, że zainicjował taki projekt. Historia mojego ojca jest znana, podobnie historia generała Maczka. Trzeba te historie opowiadać. I dziwię się, że do tej pory nie powstał na kanwie „szlaków nadziei" film fabularny. Wędrówka, Włochy, polska parada, teatr, który funkcjonował przy 2. Korpusie Polskim, moja mama, część romantyczna [śmiech]. To jest gotowy scenariusz na hit kinowy. Pomysłów jest wiele. Owszem, jest to wyzwanie, bo trzeba ogarnąć olbrzymie tereny i czas oraz zebrać wystarczający budżet. Myślę jednak, że warto.

To historia ważna dla weteranów, tych, którzy jeszcze z nami są i którzy odeszli na wieczną wartę. Trzeba ich nazwiska, bardziej i mniej znane, młodemu pokoleniu przypominać. Wspomnienia jeszcze »

FOT. MIKOŁAJ BUJAK/IPN

eprasa.pl e7783acae2

» żyjących świadków tamtych wydarzeń są niebywałe. Naszą rolą jest mówić o bohaterach i o tamtych wydarzeniach. Dawać ludziom coś więcej niż tylko fakty, pokazywać ich życie, rodziny, sukcesy i zmagania z trudami dnia codziennego.

Cień Rosji padł na cały świat

Ojciec często przestrzegał przed Rosją. Podkreślał, że nie można jej ufać. Zachowując pamięć historyczną o II wojnie światowej i wspomnienie terroru komunistycznego, trudno się dziwić okrucieństwu wojny na Ukrainie. Polska i wschodnia Europa spodziewały się tej eskalacji. Pamiętam, jak ojciec mówił, że cień Rosji padł na świat. Dużo mówił o ówczesnej sytuacji globalnej, analizował wpływy mocarstw. Opowiadał o Katyniu, który go załamał. Był oburzony faktem, że polscy oficerowie nie zostali zaproszeni na Paradę Zwycięstwa. Podkreślał, że potraktowano Polskę w okropny sposób. Ale właśnie te lata komunizmu w Polsce spowodowały, że spodziewaliśmy się imperialnych zapędów Rosji. Natomiast we Włoszech po agresji Rosji na Ukrainę długo uważano, że Polska histeryzuje. Nie wierzyli w ostrzeżenia krajów byłych republik komunistycznych. Wielu polityków żyło w przyjaźni z Putinem i bardzo naiwnie na tę sytuację patrzyli. Dziś widzimy obrazki z Ukrainy i wracają sceny z 1939 r., kiedy zaatakowano Polskę. Zawsze tłumaczę, że Polacy pomagają uchodźcom z Ukrainy, bo mają świadomość historyczną i pamiętają, że im nikt nie pomógł w 1939 r. i jak to się skończyło dla ojczyzny, Europy i świata.

Jesteśmy reprezentacją narodu polskiego, jesteśmy małą Polską, tworzymy Polskę wędrowną

– gen. Władysław Anders

Patrząc w przyszłość, zachodzi obawa, że świat się zmęczy wojną na Ukrainie. Tym bardziej że wynikają z tego konfliktu konkretne problemy gospodarcze, ekonomiczne, logistyczne z dostarczeniem gazu i energii oraz inflacja. Społeczeństwa zachodnie będą się domagać pokoju, by zabezpieczyć swoją sytuację. A nie jest to rozwiązanie, że podzielimy Ukrainę i Rosja weźmie sobie to i to na rzecz rzekomego pokoju. To nie będzie pokój. Polska też miała taki pokój bez wolności po II wojnie światowej pod rządami komunistów. Jeśli Rosja wygra na Ukrainie do pewnego stopnia, to możemy się spodziewać tego, o czym mówił mój ojciec czy prezydent Lech Kaczyński, że będą kolejne rosyjskie agresje na sąsiadów i zakusy Rosji na dalsze europejskie kraje.

Włochy Andersa

Można powiedzieć, że kiedy zostałam powołana na stanowisko ambasadora Polski we Włoszech, rodzinna historia Andersów zatoczyła symboliczne koło. To było przeznaczenie. Jeszcze 10 lat temu nawet nie przyszło mi do głowy, że zajmę się polityką czy dyplomacją, a tym bardziej że będę służyć Polsce we Włoszech. W miejscu tak ważnym dla Armii Andersa, gdzie na cmentarzu wojskowym na Monte Cassino spoczywają mój ojciec i matka. Nie robiłam planów w tym zakresie, to się po prostu wydarzyło.

W 2011 r. wyjechałam z Urzędem ds. Kombatantów do Rosji, odwiedziliśmy miejsca związane z Armią Andersa i wędrówkami Polaków. Dotarliśmy do miejscowości Buzułuk, gdzie zlokalizowano



Polska delegacja składa wieniec na cmentarzu żołnierzy 2. Korpusu Polskiego

FOT. MIKOŁAJ BUJAK/IPN

eprasa.pl e7783acae2

sztab armii generała Andersa. Buzułuk wyglądał dokładnie tak samo. Siedziałam w pierwszym rzędzie w miejscu, gdzie 70 lat wcześniej siedział mój ojciec. Pokazali mi nawet zdjęcie zrobione ojcu na tym samym fotelu. Byłam naprawdę pod wrażeniem. I po tej wspólnej podróży zaczęli mnie zapraszać na wyjazdy do Polski, do Włoch, do Uzbekistanu. Spędzałam dużo czasu w Polsce. Tak stałam się osobą publiczną. W 2019 r., kiedy rozważałam, czy startować w wyborach do Senatu, czy też nie, potrzebowali kogoś we Włoszech, i jestem. Przeznaczenie.

Historia generała Andersa jest bardzo żywa we Włoszech. To szczególnie widać podczas uroczystości z Urzędem ds. Kombatantów i Instytutem Pamięci Narodowej na Monte Cassino, w Rzymie, Ankonie, Marche, Loreto, Reggio nell'Emilia, gdzie powstał nasz hymn narodowy. Powitanie jest zawsze fantastyczne. Ludzie pamiętają, dziękują za to, że Polacy wyzwolili ten kraj, region. Te postaci i zdarzenia są znane, a my pracujemy, aby były znane coraz bardziej. Dużo jeżdżę po Włoszech, opowiadam o Władysławie Andersie, otwieramy z Instytutem Pamięci Narodowej wystawę „Szlaki nadziei. Odyseja wolności" oraz inne tematyczne wystawy – ostatnio „Żydzi w Armii Andersa" czy „Artyści Andersa". Staram się brać udział w większości uroczystości upamiętniających polskich bohaterów i miejsca pamięci Polaków. Ludzie są zafascynowani. Uważam, że jedyna dobra rzecz, która wyszła z tej wojny na Ukrainie, to jest zainteresowanie historią. Ludzie się obudzili. Sytuacja jest tak podobna do sytuacji Polski na początku II wojny światowej, że ludzie zaczęli się interesować, jak to było, co się działo wówczas, jaka była rola Rosji.



Weterani, żołnierze 2. Korpusu Polskiego i córka ich dowódcy Anna Maria Anders



Anna Maria Anders, ambasador RP we Włoszech, wita oficerów włoskich sił zbrojnych obecnych na obchodach 78. rocznicy wyzwolenia Ankony

FOT. MIKOŁAJ BUJAK/IPN (2X)

Ostatni rozdział

Pamiętam przyjazdy do Polski – pierwszy z moją mamą i kolejne jako córka generała Andersa. Czas spędzony w ojczyźnie rodziców jako osoba publiczna to właściwie nie był powrót do kraju, ale bardziej do korzeni, wspomnień z dzieciństwa, kultury, w której byłam wychowywana w domu w Londynie. Na początku to były momenty szczerego zachwytu, ale też nowości. Mówiłam po polsku, lecz nie do końca rozumiałam, co mówi do mnie taksówkarz [śmiech]. Pamiętam pierwszą mszę w Katedrze Polowej w 2012 r. Wzruszyłam się, myśląc, co by ojciec dał za to, żeby tu być. Później uroczystości narodowe, 3 Maja czy Święto Niepodległości. Stałam w szeregu z generałami, mundurowymi jak niegdyś mój ojciec. Zawsze gdy biorę udział w uroczystościach państwowych, patriotycznych, to moja myśl wraca do ojca. Tak bardzo marzył o wolnej Polsce i chciał ją wolną zobaczyć. I niestety nie było mu to dane. Jako osoba wierząca ufam, że tam gdzieś jest i cieszy się, że jestem w tej wolnej Polsce. Gdziekolwiek jadę, coś mi się kojarzy z moim ojcem, był tam służbowo albo rodzinnie. Zawsze ktoś ma jakieś wspomnienie i się nim ze mną dzieli lub pokazuje jakieś pamiątki. To jest fascynujące.

Wojenne wspomnienia wydane w 1949 r. mój ojciec, generał Anders, opatrzył tytułem „Bez ostatniego rozdziału". Myślę, że mnie wraz z weteranami Armii Andersa i pozostałych wojsk, które ewakuowano z terenów ZSRS, udało się ten ostatni rozdział dopisać. Jesteśmy razem na Monte Cassino i w wolnej Polsce. Jesteśmy częścią tego rozdziału. Koło rodzinnej historii symbolicznie się domknęło. To jest ten ostatni rozdział. Jako wolni ludzie budujemy wolną ojczyznę. I modlę się, żeby tak zostało, bo jesteśmy w sytuacji niepokoju. Nie wiemy, co będzie w Europie i na świecie. A Polska jest piękna, rozwija się, za każdym razem jak tu przyjeżdżam, to ją podziwiam. I oby taka została. Bo taką Polskę chciał zobaczyć ojciec, gen. Władysław Anders.

DODATEK POWSTAŁ PRZY WSPÓŁPRACY Z IPN | 16/2022/F

eprasa.pl e7783acae2



UROCZYSTY APEL

Z OKAZJI 30. ROCZNICY POWOŁANIA PAŃSTWOWEJ STRAŻY POŻARNEJ

W PIĄTEK, 1 LIPCA, W WARSZAWIE ODBYŁ SIĘ UROCZYSTY APEL Z OKAZJI 30-LECIA POWOŁANIA PAŃSTWOWEJ STRAŻY POŻARNEJ POŁĄCZONY Z NADANIEM SZTANDARU KOMENDZIE GŁÓWNEJ PSP. W IMIENIU MARSZAŁEK SEJMU ELŻBIETY WITEK W WYDARZENIU UDZIAŁ WZIĄŁ ZASTĘPCA SZEFA KANCELARII SEJMU CHRISTIAN MŁYNAREK, KTÓRY ODCZYTAŁ OKOLICZNOŚCIOWY LIST

„Polscy strażacy podziwiani są za profesjonalizm i odwagę w kraju i poza jego granicami. Cieszą się ogromnym zaufaniem społecznym. Udzielają wsparcia swoim kolegom spoza Polski, niosąc ratunek poszkodowanym w klęskach żywiołowych. Tym samym zdobywają wdzięczność i uznanie lokalnych społeczności na całym świecie. Zaangażowanie, ofiarność, szybkość i skuteczność działań to cechy, które wyróżniają funkcjonariuszki i funkcjonariuszy" – napisała Elżbieta Witek.

Marszałek Sejmu w korespondencji nawiązała również do historii Państwowej Straży Pożarnej i ceremonii nadania sztandaru. „Jubileuszowe obchody stanowią okazję do przypomnienia historii formacji, zaś nowy sztandar nawiązuje do dawnych tradycji. Jest widomym znakiem strażackiej wspólnoty i przyjętych wartości. Historia pokazuje, że na przestrzeni dekad, zmieniających się uwarunkowań społeczno-politycznych i technologicznego rozwoju, strażacka misja pozostaje niezmienna. Jest nią bezinteresowna służba ogółowi oraz gotowość do niesienia pomocy drugiemu człowiekowi w momentach zagrożenia życia, zdrowia lub dobytku" – zaznaczyła marszałek Witek.

Podczas uroczystego apelu wręczono funkcjonariuszom odznaczenia państwowe, a także nadano wyższe stopnie służbowe. Ponadto odsłonięto Ścianę Pamięci poświęconą Strażakom PSP i OSP, którzy zginęli w trakcie służby.

Państwową Straż Pożarną powołano ustawą z 24 sierpnia 1991 r. Jest zawodową i umundurowaną formacją, w której służy prawie 30 tys. funkcjonariuszy.

FOT. KANCELARIA SEJMU/ŁUKASZ BŁASIKIEWICZ

eprasa.pl e7783acae2

HOŁD DLA OFIAR RZEZI WOŁYŃSKIEJ

OBCHODY Z UDZIAŁEM NAJWYŻSZYCH RANGĄ WŁADZ PAŃSTWOWYCH



W PONIEDZIAŁEK, 11 LIPCA, ZASTĘPCA SZEFA KANCELARII SEJMU CHRISTIAN MŁYNAREK, W IMIENIU MARSZAŁEK SEJMU ELŻBIETY WITEK, WZIĄŁ UDZIAŁ W OBCHODACH NARODOWEGO DNIA PAMIĘCI OFIAR LUDOBÓJSTWA DOKONANEGO PRZEZ UKRAIŃSKICH NACJONALISTÓW NA OBYWATELACH II RP. UROCZYSTOŚĆ ODBYŁA SIĘ NA SKWERZE WOŁYŃSKIM W WARSZAWIE. HOŁD OFIAROM ZBRODNI NA WOŁYNIU ODDALI TAKŻE PREZYDENT ANDRZEJ DUDA, PREMIER MATEUSZ MORAWIECKI ORAZ WICEMARSZAŁEK SEJMU PIOTR ZGORZELSKI

FOT. ANNA STRZYŻAK/KANCELARIA SEJMU

11 lipca 1943 r., w „krwawą niedzielę", doszło do kulminacji zbrodni popełnianych na Polakach mieszkających w szczególności na Wołyniu. Ta zbrodnia w istocie była ludobójstwem, bo jej celem było dokonanie czystki etnicznej przez wymordowanie Polaków – podkreślił Prezydent podczas obchodów 79. rocznicy rzezi wołyńskiej. Andrzej Duda przypomniał, że tamte wydarzenie zabrały życie ponad 100 tys. ludzi. – Zbrodnie na Wołyniu to fakt niezaprzeczalny, nie legenda. Prawda o Wołyniu musi być jasno i mocno wypowiedziana. Nie chodziło i nie chodzi o zemstę, o odwet. Nie ma lepszego dowodu na to jak ten czas, który mamy teraz. Nie ma dzisiaj Polaków, którzy nie wiedzą, co to była rzeź wołyńska. A jednak przyjmują Ukraińców pod swój dach, wyciągają rękę, niosą pomoc. Każda zemsta rodzi kolejną, a to ostatnia rzecz, której dziś nawzajem potrzebujemy. Chcemy prawdy. Na prawdzie niech się zbuduje nowa relacja pomiędzy narodami i społeczeństwami – zaakcentował Andrzej Duda.

Prezydent poinformował, że prezydent Wołodymyr Zełenski skierował do Rady Najwyższej Ukrainy projekt ustawy o nadaniu specjalnego statusu Polakom. – Można w tym widzieć sytuację odwrotną do tamtej, kiedy Polaków usiłowano się za wszelką cenę pozbyć, także zabierając im życie. Dzisiaj Ukraina poprzez ten akt i gest prezydenta składa symboliczne zaproszenie: Wy jesteście tutaj na szczególnych prawach witani. Niechże to też będzie dla nas jakimś znakiem, w tych wszystkich sprawach, w których mówić często trudno – powiedział prezydent Duda.

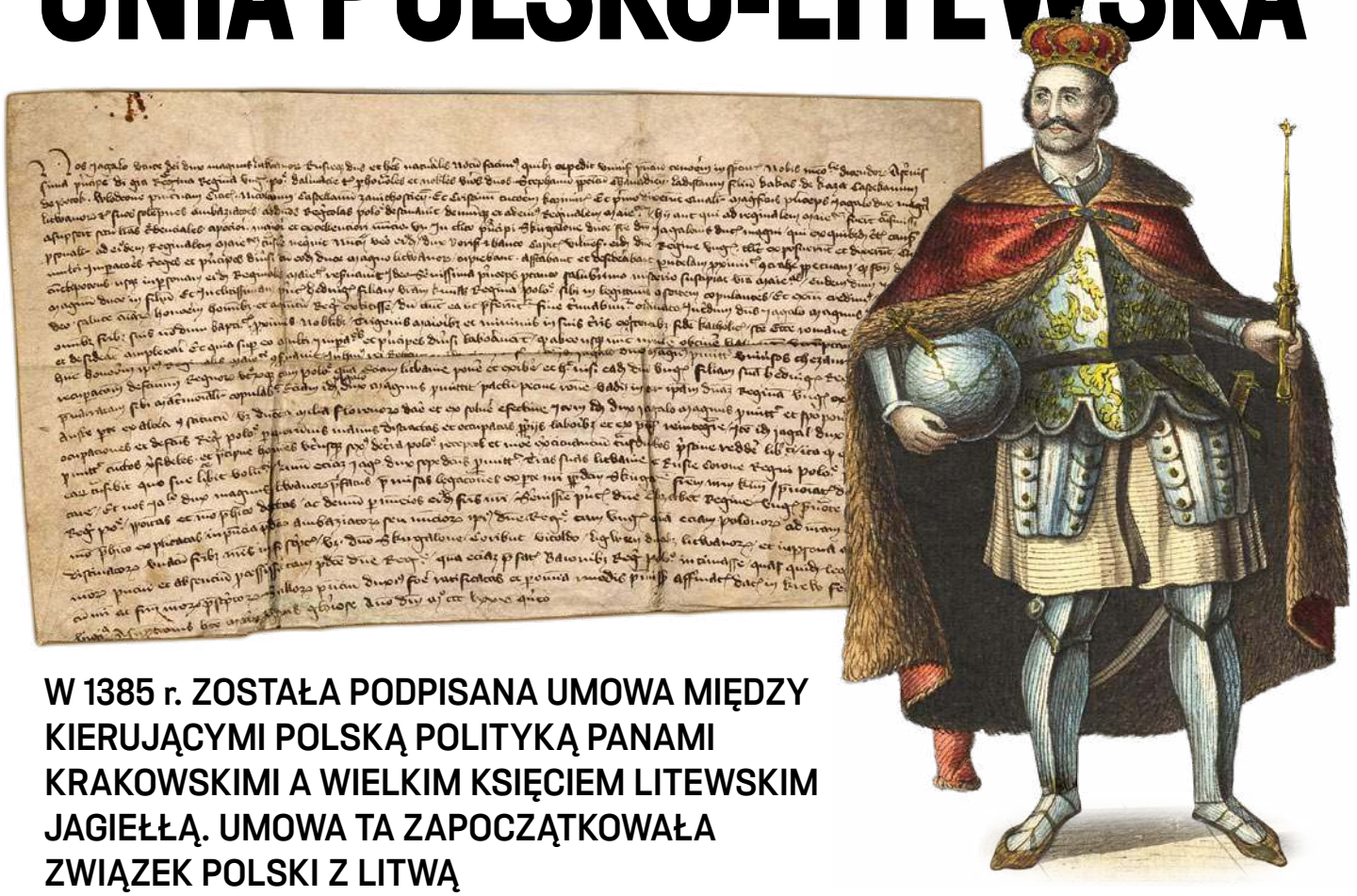
W podobnym tonie swoje wystąpienie do uczestników uroczystości skierował Prezes Rady Ministrów. Mateusz Morawiecki zbrodnię wołyńską nazwał „barbarzyńską". – Kresowian zamordowano dwa razy, raz ciosami siekiery, a drugi raz przez przemilczenie, a ta druga śmierć była straszniejsza od tej pierwszej – powiedział Premier, cytując ks. Tadeusza Isakowicza-Zaleskiego. Dodał, że te słowa „były, są i zawsze będą drogowskazem oraz wyznacznikiem walki o prawdę". – Zmowa milczenia musi być przerwana. Dlatego to jest moje zobowiązanie: nie spocznę, dopóki nie odnajdziemy ostatniego grobu, miejsca pochówku zamordowanych z Wołynia i całych Kresów Wschodnich. Ta rzeczywistość musi zostać w całości odkryta. Nie będzie żadnego pojednania opartego o fałsz, zapomnienie i kłamstwo. To musi być punkt wyjścia do pojednania – zaznaczył szef rządu.

11 lipca 1943 r. oddziały Ukraińskiej Powstańczej Armii dokonały skoordynowanego ataku na 99 polskich miejscowości, głównie w powiatach kowelskim, horochowskim i włodzimierskim. Było to apogeum mordów dokonywanych przez ukraińskich nacjonalistów przy pomocy ukraińskiej ludności od 1942 r., w następnych dniach masakry były kontynuowane.

Materiał przygotowany we współpracy z Kancelarią Sejmu

eprasa.pl e7783acae2

UNIA POLSKO-LITEWSKA



W 1385 r. ZOSTAŁA PODPISANA UMOWA MIĘDZY KIERUJĄCYMI POLSKĄ POLITYKĄ PANAMI KRAKOWSKIMI A WIELKIM KSIĘCIEM LITEWSKIM JAGIEŁŁĄ. UMOWA TA ZAPOCZĄTKOWAŁA ZWIĄZEK POLSKI Z LITWĄ



MAREK BARAŃSKI

W ostatnich dziesięcioleciach XIV w. Polska przeżywała kryzys. Po śmierci Kazimierza Wielkiego, pod rządami króla Węgier Ludwika, przed polskimi elitami stanęło zagadnienie wyboru władcy. Problemem było następstwo tronu po królu Ludwiku. Polacy mieli do wyboru jedną z dwóch jego córek: Marię lub Jadwigę. Początkowo królową Polski miała zostać Maria, po jej planowanym ślubie z Zygmuntem Luksemburskim, w owym czasie margrabią brandenburskim, mogło dojść do unii polsko-brandenburskiej. Gdy jednak Węgrzy wybrali Marię na swoją królową, Polacy, nie chcąc mieć wspólnego władcy z Węgrami, uznali za następczynię tronu Jadwigę. Problemem pozostawało tylko, kto będzie jej mężem. Odrzucony został narzeczony Jadwigi Wilhelm Habsburg. Panowie krakowscy nie zgodzili się także na popieranego przez Wielkopolan Siemowita, księcia Mazowsza.

Po śmierci Ludwika Węgierskiego Polska pozostawała w pokojowych stosunkach z zakonem krzyżackim, choć Krzyżacy okupowali od lat polskie Pomorze. Pokój panował też na granicach z Czechami, choć Czesi opanowali polski Śląsk. Bardzo dobre stosunki łączyły Polskę i Węgry, choć Węgrzy podporządkowali sobie zajętą przez Kazimierza Wielkiego Ruś Halicką. Nie było też konfliktów na granicy z Marchią Brandenburską. Jedynym państwem, z którym od lat toczono walki, była Litwa. I właśnie z Litwą postanowili się związać decydujący o polskiej polityce panowie krakowscy.

Akt unii w Krewie, obok portret Władysława Jagiełły wg obrazu w kościele ponorbertańskim w Nowym Sączu

Przez Worsklę do Grunwaldu

Związek z Litwą był korzystniejszy od innych sojuszów. Małżeństwo Jadwigi z Wilhelmem Habsburgiem nie dawało Polsce żadnych korzyści. Ale też związanie się polskiej władczyni z księciem Mazowsza nie tworzyłoby prawdziwej potęgi. Natomiast związek z Litwą pozwalał zakończyć wojnę o Ruś i odnowić nadzieję na odzyskanie zagrabionego przez Krzyżaków Pomorza.

Również dla Jagiełły związek z Polską był atrakcyjny. Wprawdzie Jagiełło był wielkim księciem litewskim, ale Wielkie Księstwo Litewskie składało się z wielu księstw rządzonych przez potomków Gedymina, a także Rurykowiczów. Uznawali oni zwierzchnictwo wielkiego księcia, ale byli bardzo niezależni. Jagiełło miał na-

FOT. MUZEUM NARODOWE W WARSZAWIE; DOMENA PUBLICZNA

eprasa.pl e7783acae2

dzieję, że po uzyskaniu polskiej korony wzmocni swoją władzę na Litwie. Miał też nadzieję, że związek z Polską pozwoli mu obronić ziemie litewskie przed krzyżacką agresją. Po zawarciu układu w Krewie Jagiełło przybył do Krakowa, gdzie został ochrzczony, następnie poślubił Jadwigę i został koronowany na króla Polski. Po koronacji wyruszył na Litwę, aby wspierać jej chrystianizację.

Początki unii polsko-litewskiej nie były łatwe, a związek ten niejednokrotnie przypominał tylko ścisły sojusz dwóch niezależnych państw. Odmienne też były zapatrywania Polaków i Litwinów na to, jak ma on wyglądać. Polacy chcieli z Wielkiego Księstwa Litewskiego uczynić prowincję polską, a Litwini pragnęli zachować niezależność.

Jagiełło ustanowił swym namiestnikiem w Księstwie Litewskim Skirgiełłę, nadał mu też Troki. Zareagował na to Witold, który zaczął walczyć o odzyskanie Trok. Aby to osiągnąć, sprzymierzył się nawet z Krzyżakami i wraz z nimi obległ Wilno. Udało się jednak Jagielle porozumieć ze swym bratem stryjecznym, musiał jednak jemu powierzyć namiestnictwo na Litwie. Dzięki temu Witold złożył hołd Jagielle, mimo to dążył do niezależności. Jego celem było podporządkowanie sobie licznych księstw ruskich. W tym celu w 1398 r. sprzymierzył się znowu z Krzyżakami, oddał im Żmudź, a sam zaczął szykować się do wyprawy przeciw dominującym na Rusi Tatarom. Plany te załamały się w 1399 r., gdy wojska Witolda zostały rozbite przez wodza Tatarów Edygeja nad rzeką Worsklą. Ta klęska przywiodła go do zbliżenia z Polską. W 1401 r. pomiędzy Polską i Litwą została zawarta tzw. unia wileńsko-radomska. Od jej podpisania Witold uzyskał dożywotni tytuł wielkiego księcia, ale zarazem uznał zwierzchnictwo Jagiełły. Po dojściu do porozumienia oba państwa wspólnie walczyły z Krzyżakami, odnosząc nad nimi wielkie zwycięstwo pod Grunwaldem w 1410 r.

Następcy Jagiełły i Witolda

Po pokonaniu zakonu związek polsko-litewski uległ wzmocnieniu, w 1413 r. została popisana unia horodelska. W Horodle Polacy przyjęli do swych herbów Litwinów. Postanowiono też, że Litwą będzie rządził Witold, jako litewski wielki książę, który będzie uznawał zwierzchnictwo polskiego króla.

Unia horodelska zbliżyła do siebie oba narody, ale zarazem wzmocniła ich odrębność. Polska pod władzą Jagiełły zajęta była ciągle nierozwiązanym konfliktem z zakonem krzyżackim, natomiast faktycznie niezależnego Witolda interesowało rozszerzanie swej władzy na kolejne księstwa ruskie. Jednak zarówno Litwini, jak i Polacy czuli, że łączą ich związki bliższe niż sojusze z innymi państwami. Tego poczucia jedności nie zniweczyły nawet knowania cesarza Zygmunta Luksemburskiego, który w 1429 r., chcąc rozbić związek polsko-litewski, zaproponował Witoldowi litewską koronę. Koronacja Witolda byłaby końcem unii. Początkowo zgodził się na to nawet Jagiełło. Zgodził się, gdyż nie mający synów Witold pozostawiłby litewską koronę synom Jagiełły. Nie zgodzili się na to panowie polscy, ich stanowisko w końcu poparł Jagiełło. Mimo to Witold szykował się do przyjęcia korony, której nie doczekał, gdyż w 1430 r. zmarł.

W 1434 r. zmarł Jagiełło. Polacy, bez porozumienia z Litwinami, wybrali na swego władcę starszego syna Jagiełły Władysława, natomiast po śmierci Witolda władzę na Litwie przejął brat Jagiełły Świdrygiełło, który nie chciał się podporządkować królowi. W 1432 r. do władzy na Litwie doszedł w wyniku zamachu Zygmunt Kiejstutowicz, Jagiełło go uznał. W Wielkim Księstwie wybuchła wojna, a w 1435 r. w bitwie pod Wiłkomierzem został pokonany Świdrygiełło i wspierający go Krzyżacy. Mimo to Zygmunt Kiejstutowicz nie opanował całego Wielkiego Księstwa, a w 1440 r. został zabity przez zamachowców. Po śmierci Zygmunta młody król Władysław ustanowił namiestnikiem na Litwie swego brata Kazimierza. Bez zgody króla Polski litewscy bojarzy wybrali go na wielkiego księcia. Unia przestała istnieć, w Polsce królem był Władysław, a wielkim księciem litewskim jego brat Kazimierz. Dopiero po bohaterskiej śmierci Władysława Kazimierz, pozostając wielkim księciem, został królem Polski. Choć związek Polski i Litwy miał jednego władcę, nadal Polacy i Litwini spierali się o Wołyń, Podole i Podlasie. Wobec tego sporu rządzenie wymagało od ich wspólnego władcy wielkich zdolności dyplomatycznych.

Najtrwalsza unia

Po śmierci Kazimierza Jagiellończyka królem Polski został Jan Olbracht, a wielkim księciem jego brat Aleksander. Pod ich władzą Polska i Litwa stały się ściśle ze sobą sprzymierzonymi, ale niezależnymi państwami. Tak było do śmierci Jana Olbrachta. Gdy ten król zmarł, Polacy na swego władcę wybrali Aleksandra, który połączył godność króla i wielkiego księcia.

Włączenia Litwy w skład Korony domagała się polska szlachta, sprzeciwiali się temu najpotężniejsi panowie litewscy, choć widzieli, że bez pomocy Polski nie dadzą rady obronić się przed atakami Moskwy. Natomiast dla litewskiej drobnej szlachty zjednoczenie z Polską było bardzo atrakcyjne.

Król Zygmunt August wobec braku potomka pragnął wzmocnić związek polsko-litewski. W tym celu doprowadził do ustanowienia II statutu litewskiego, dzięki czemu prawo litewskie upodobniło się do polskiego. W wielkim księstwie stopniowo przeprowadzana była tzw. pomiara włóczna, co upodobniło ustrój wiejski księstwa do ustroju polskiego. W 1564 r. król odstąpił Koronie swe prawa sukcesyjne do Litwy.

10 stycznia 1569 r. rozpoczął w Lublinie obrady sejm koronny, oddzielnie zebrał się sejm litewski. Tematem obrad była unia polsko-litewska. Celem Polaków było ścisłe zespolenie obu państw. Litwini się na to nie zgadzali. 1 marca doszło nawet do wyjazdu Litwinów z Lublina. Wobec ich wyjazdu król i sejm dokonali inkorporacji Podlasia, Wołynia i województwa kijowskiego do Korony. Szlachta tych ziem nie protestowała, gdyż zachowała dotychczasowe prawa, urzędowy język, dostała polskie przywileje oraz miejsca w polskim sejmie i senacie. Inkorporacja spowodowała powrót Litwinów do Lublina. Po ich powrocie 28 czerwca unia została zawarta, a 4 czerwca dokumenty unijne potwierdził król.

Posłowie obu układających się stron postanowili, że we wspólnej Rzeczypospolitej Obojga Narodów będzie jeden władca wybierany przez oba narody. Poza tym ma być wspólny sejm, wspólna polityka zagraniczna, jedna moneta. Urzędy i dostojeństwa będą w obu częściach Rzeczypospolitej takie same, ale odrębne dla każdej jej części. Odrębne miało być też wojsko i sądownictwo, odrębny język urzędowy.

Unia polsko-litewska była jedyną w Europie unią, która przetrwała cztery wieki, a przestała istnieć nie z powodu wewnętrznych sporów, tylko w wyniku agresji sąsiadów.

eprasa.pl e7783acae2

PRASA WŁOSKA O IGNACYM PADEREWSKIM 1918–1919



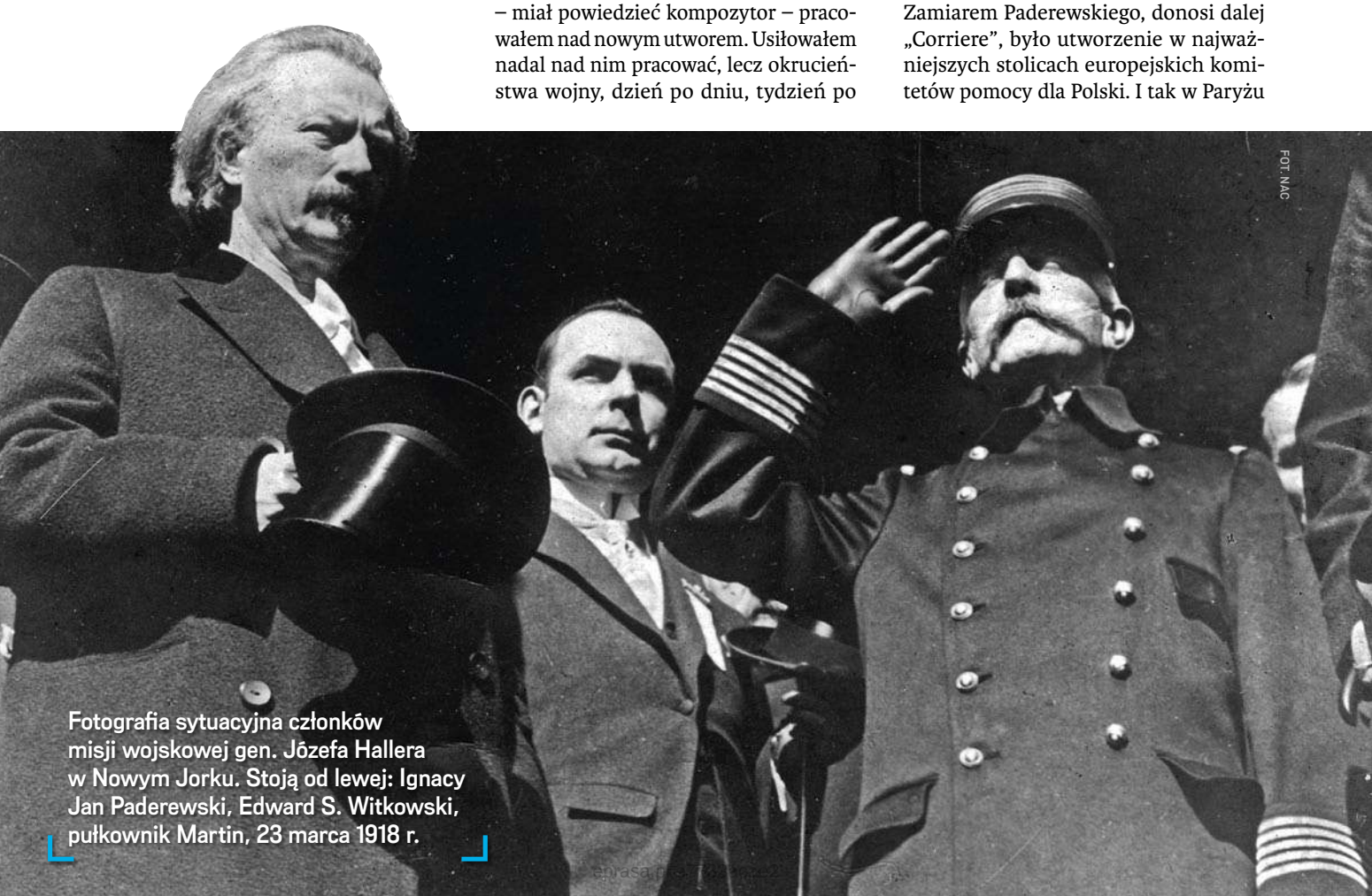
MARIA RADOŻYCKA-PAOLETTI

„LA VITA PER INTERO CONSACRATA ALL'ARTE E ALLA PATRIA" – ŻYCIE CAŁKOWICIE ODDANE MUZYCE I OJCZYŹNIE

Od lat 80. XIX w. i przez cały okres międzywojenny często pojawiają się w prasie włoskiej artykuły o Ignacym Paderewskim jako wybitnym pianiście i kompozytorze. Sława artysty i jego koncertów była już dobrze ugruntowana w świecie. Lecz od wybuchu I wojny światowej na pierwszy plan wysuwać się zaczynają działania Paderewskiego jako polityka silnie zaangażowanego w sprawę odzyskania przez Polskę niepodległości. „Podobnie jak jego inny słynny rodak, pisarz Henryk Sienkiewicz, tak i pianista Paderewski – pisze dziennik „Corriere della Sera" 26 marca 1915 r. – porzucił tymczasowo sztukę, by oddać się całkowicie działalności politycznej na rzecz swej rozdartej wojną Ojczyzny. »Jakże mógłbym teraz grać – miał powiedzieć pianista – gdy moi rodacy giną?«". „W chwili wybuchu wojny – miał powiedzieć kompozytor – pracowałem nad nowym utworem. Usiłowałem nadal nad nim pracować, lecz okrucieństwa wojny, dzień po dniu, tydzień po tygodniu, jawiły mi się z coraz większą ostrością [...]. Ta tragedia przewyższyła wszystkie dotychczasowe. Czyż mógłbym nadal żyć i pracować, jakby nigdy nic? Odpowiedź jest: nie, nie mogę. Moje ręce – i tu maestro rozłożył swe dłonie o długich, smukłych palcach – oddają się teraz zupełnie innej pracy".

Inicjator

Zamiarem Paderewskiego, donosi dalej „Corriere", było utworzenie w najważniejszych stolicach europejskich komitetów pomocy dla Polski. I tak w Paryżu



FOT. NAC

Fotografia sytuacyjna członków misji wojskowej gen. Józefa Hallera w Nowym Jorku. Stoją od lewej: Ignacy Jan Paderewski, Edward S. Witkowski, pułkownik Martin, 23 marca 1918 r.



Przyjazd Ignacego Jana Paderewskiego do Poznania, 27 grudnia 1918 r.

FOT. NAC

został założony Komitet Polski, inny, przy współudziale Sienkiewicza, powstał w Lozannie. W marcu 1915 r. kompozytor udał się w podobnym celu do Londynu, gdzie pozyskał dla swego projektu osobistości brytyjskiego świata politycznego.

Dużo miejsca poświęca prasa włoska działalności Paderewskiego w latach 1918–1919. Podkreśla się m.in. jego zabiegi w Stanach Zjednoczonych, ukoronowane deklaracją prezydenta Wilsona o prawie narodu polskiego do niepodległego państwa oraz – we wrześniu 1918 r. – stanięciem Paderewskiego na czele polskiej delegacji, która – wraz z czeską i jugosłowiańską – przedłożyła w Waszyngtonie postulaty odnośnie do przyszłego trwałego pokoju w Europie. „Walka narodów słowiańskich o niepodległość – zauważa autor artykułu – nie jest żadną agitacją ani manipulacją ze strony drobnych mniejszości, lecz zgodnym wyrazem woli całego narodu [...]". Naród amerykański nie uzna żadnego pokoju, który „nie zagwarantuje wolności narodom Europy środkowej i Bałkanów", podkreślano w artykule.

Artysta działał jednak nie tylko za granicą. Prasa włoska podkreśla „katalizujący" efekt podróży powrotnej Paderewskiego do kraju w grudniu 1918 r. „Już wkrótce nastanie czas, że wy, Polacy, którzy jeszcze zmuszeni jesteście nosić niemieckie mundury, połączycie się z Waszymi braćmi w ostatecznej walce o niepodległość" – cytuje słowa Paderewskiego „Corriere della Sera". „Nadszedł dzień – miał powiedzieć polityk w Poznaniu – gdy Polska odrodzi się wielka i potężna, i odzyska swe porty". Autor artykułu, który opierał się na informacjach napływających wprost z Warszawy, opisuje dalej, jak w następstwie prowokacyjnej interwencji niemieckiego wojska doszło w Poznaniu do starć z Polakami. „Corriere della Sera" podaje następnie w kolejnych dniach wiadomości o postępach Polaków, którzy zdobyli kolejno ważne węzły komunikacyjne, wypierając coraz bardziej siły niemieckie z Wielkopolski.

Na konferencji pokojowej

W tej sytuacji wiadomość o objęciu przez Paderewskiego funkcji premiera nowego rządu polskiego, uformowanego 16 stycznia 1919 r., przyjęta została bez zaskoczenia. Utworzenie nowego rządu interpretowane było jako „przezwyciężenie rozbieżności, powstałych między różnymi partiami polskimi, a zwłaszcza między socjalistycznym rządem w Warszawie a Polskim Komitetem Narodowym w Paryżu, uznanym przez sprzymierzonych za przedstawiciela interesów Polski". Porozumienie między tymi dwoma ugrupowaniami osiągnięte nie bez mediacji nowego premiera – kontynuuje dziennik – „umożliwiło współpracę wszystkich polskich sił patriotycznych i ich wspólny udział w konferencji pokojowej". Artykuł podkreśla, że porozumienie to umożliwiło przeniesienie z Francji do Polski armii gen. Hallera w celu skutecznego opierania się inwazji bolszewickiej. Prasa włoska podkreśla następnie „triumf" utworzonej przez Paderewskiego koalicji w wyborach do Sejmu Ustawodawczego 26 stycznia 1919 r., co interpretowane jest jako „zdecydowany wyraz poparcia narodu polskiego na rzecz jedności narodowej".

Okres rokowań paryskiej konferencji pokojowej od stycznia do grudnia 1919 r. i związane z tym wielorakie działania Paderewskiego w kraju i za granicą nie umknęły uwadze włoskiej prasy.

Walka o Gdańsk

Ciekawie opisuje stanowisko Paderewskiego w sprawie Gdańska Guglielmo Emanuel, pracujący dla najważniejszych włoskich dzienników „La Stampa" oraz „Corriere della Sera". Premier przybył do Paryża 6 kwietnia 1919 r. – relacjonuje Emanuel – i jego zdaniem sprawa Gdańska powinna zostać przez konferencję rozwiązana w sposób definitywny, ziemie te powinny zostać przyznane Polsce, do której należały od wieków. Konferencja powinna umożliwić Polsce realizację jej „misji antybolszewickiej", a jednocześnie zagwarantować bezpieczeństwo i niezależność, także gospodarczą – argumentował Paderewski 9 kwietnia. Jednocześnie ostrzegł państwa tzw. wielkiej czwórki, że sytuacja w Polsce mogłaby grozić wybuchem, gdyby nadzieje narodu polskiego zostały zawiedzione, a jego olbrzymi wysiłek patriotyczny poszedł na marne. G. Emanuel zauważa jednak, że konferencja zdawała się skłaniać ku rozwiązaniu kompromisowemu: status wolnego miasta dla Gdańska przy przyznaniu Polsce specjalnych praw użytkowania portu gdańskiego.

Granice z Niemcami

Z równym zaangażowaniem walczył Paderewski o przyznanie Polsce Wielkopolski i Górnego Śląska. 5 czerwca 1919 r. został on zaproszony na posiedzenie wielkiej czwórki w sprawie Górnego Śląska, aby przedstawić argumenty za jego przynależnością do Polski, co – zdaniem włoskiego dziennikarza – miało świadczyć o tym, że stanowisko Polski zostanie wzięte pod uwagę przy podejmowaniu decyzji. Artykuł szeroko i obiektywnie przedstawia argumenty Paderewskiego. Ostatecznie jednak – konkluduje autor artykułu – mocarstwa wielkiej czwórki zadecydowały o przeprowadzeniu na Śląsku plebiscytu, uwzględniając argumenty jakoby Niemcy pozbawione uprzemysłowionej Nadrenii i Górnego Śląska nie były w stanie spłacać reparacji wojennych.

Decyzja ta nie zakończyła walki Paderewskiego o Górny Śląsk. Jak donosi artykuł z września 1919 r., polityk w wywiadzie udzielonym francuskiej prasie ostro potępił niemieckie antypolskie działania na Górnym Śląsku. Miał stwierdzić, że wielotysięczny tłum manifestował w Warszawie, domagając się zbrojnego wsparcia rodaków walczących przeciwko Niemcom i interwencji sprzymierzonych w obronie Polaków. Ostrzegł również, że w obliczu „gniewu narodu" wszystkie jego wysiłki mediacyjne mogą okazać się daremne. »

eprasa.pl e7783acae2

Cieszyn i Galicja Wschodnia

Gdańsk, Wielkopolska, Górny Śląsk nie były jedynymi problemami zajmującymi wówczas Paderewskiego. Sprawa polskich granic stanowiła – jak podkreślają włoskie dzienniki – jedną z najbardziej zawiłych kwestii, jaka stanęła przed paryską konferencją pokojową. Należało rozwiązać sprawę Śląska Cieszyńskiego i Galicji Wschodniej. Odnośnie do tego pierwszego, do którego zgłaszała roszczenia Czechosłowacja, polityk podjął liczne działania, zarówno w ramach konferencji pokojowej, jak i poza nią – i również te wysiłki znalazły echo w prasie włoskiej. Podkreślano próby bezpośrednich rokowań Paderewskiego z prezydentem Masarykiem. Na posiedzeniu w kwestii Śląska Cieszyńskiego, które odbyło się na początku września 1919 r., delegacja polska (Dmowski i Paderewski) oraz czeska (Beneš) przedstawiły argumenty każdej ze stron: Polacy wysuwali argumenty natury etnicznej, Czesi – ekonomicznej. W tym kontekście Paderewski wezwał konferencję, by wzięła pod uwagę przede wszystkim względy natury narodowościowej, powołując się m.in. na precedens Włoch, w przypadku których przy przyznawaniu pewnych spornych terytoriów jako najważniejsze kryterium przyjęte zostało kryterium narodowościowe, a nie fakt, iż Włochy pozbawione były węgla czy ropy.

Najtrudniejsza była jednak sprawa przynależności Galicji Wschodniej – skomplikowana konfliktem polsko-ukraińskim i wojną z bolszewikami. Temat ten – uznany za jedną z najbardziej zawiłych kwestii rokowań paryskich – powraca na łamach włoskiej prasy przez prawie cały 1919 r. Polska polityka w Galicji Wschodniej nie była w pełni zrozumiała dla państw zachodnich, a polskie roszczenia nie były przez nie w pełni akceptowane. W opinii włoskich dziennikarzy trudność rozwiązania tej kwestii tkwiła w fakcie, że nie mogła tam znaleźć jasno zastosowania zasada przynależności etnicznej tych ziem: podczas gdy część Galicji na zachód od Sanu była zamieszkana przez ludność polską, w jej części wschodniej poszczególne grupy etniczne były przemieszane. Polska nie była zatem w stanie wskazać dokładnej granicy etnicznej. Niezdecydowanie konferencji, która odmawiała podjęcia rokowań na temat polskiej granicy wschodniej, dopóki niebolszewicka Rosja nie zostanie odbudowana, rodziło w Warszawie „toksyczny klimat niepewności”, zauważa „Corriere”, co znacznie utrudniało działania Paderewskiego. W wystąpieniach na konferencji w sprawie Galicji Wschodniej polityk jasno oświadczał, że Polska nie prowadzi na wschodzie żadnej polityki agresji ani wobec Ukraińców, ani nawet bolszewików, lecz została przez nich zaatakowana, w związku z czym wojsko gen. Hallera będzie zmuszone do podjęcia tam działań obronnych. Jednocześnie wezwał Sejm polski, aby ogłosił autonomię dla Galicji Wschodniej i podjął rokowania z tym rządem ukraińskim, który wydawał się najbardziej godny zaufania. Paderewski starał się zatem lawirować między naciskami wewnętrznymi i zewnętrznymi, prowadząc przy tym bezpośrednie negocjacje z poszczególnymi państwami konferencji. Jak donosi „Corriere della Sera” w październiku 1919 r. w wywiadzie dla „Kuriera Warszawskiego” przyznał, że już po zamknięciu obrad paryskiej konferencji pokojowej sprawa Galicji Wschodniej kosztowała go dużo więcej wysiłków i zabiegów niż w trakcie samej konferencji. 15 marca 1923 r. Rada Ambasadorów uznała suwerenność Polski na terytorium Galicji Wschodniej.

Arena światowa i wewnętrzna

Na zakończenie zauważmy, że prasa włoska wyraźnie podkreśla, iż Paderewski prowadzić musiał swe wysiłki niejako „na dwóch frontach”: zewnętrznym, międzynarodowym i wewnętrznym, krajowym, gdzie Sejm i opinia publiczna nie zawsze godziły się na proponowane przez konferencję rozwiązania. „Sejm polski protestował przeciwko statusowi proponowanemu dla Gdańska, domagał się dla Polski większości Górnego Śląska oraz Śląska Cieszyńskiego, a także całej Galicji, zobowiązując się do przyznania autonomii Rusinom” – donosi prasa włoska – „Polska pragnęła prowadzić swą własną politykę, która nie zawsze była zgodna z wytycznymi wielkiej czwórki”, jak np. w sprawie Galicji, Litwy i Białorusi, a także użycia armii Hallera, zauważa „Corriere”. „Stawiało to konferencję w trudnej sytuacji i wcale nie było pewne, czy wobec stanowczego stanowiska Polski mocarstwa konferencji będą w stanie narzucić swą linię polityczną”.

Prasa włoska donosi następnie o bardzo ostrym wystąpieniu Paderewskiego w Sejmie po powrocie z Paryża po podpisaniu traktatu wersalskiego. Autor artykułu podkreśla, że wystąpienie to było wielkim sukcesem i w znacznej mierze uspokoiło burzliwe nastroje w Polsce. Premier „z brutalną szczerością” uświadomił Sejmowi, iż powinien ratyfikować warunki traktatu pokojowego. Odmowa uznania warunków traktatu przez Sejm mogłaby – zdaniem Paderewskiego – znacznie zaszkodzić Polsce na arenie międzynarodowej. Jedynym zastrzeżeniem wyrażonym przez Paderewskiego była dodatkowa klauzula, zobowiązująca Polskę do poszanowania interesów mniejszości narodowych. „Polska nie jest narodem barbarzyńskim – miał powiedzieć – i zawsze szanowała mniejszości. Już sama taka klauzula jest dla niej obraźliwa”, donosi „Corriere”. Mimo tego polityk wezwał Sejm do niezwłocznej ratyfikacji traktatu.

W grudniu 1919 r. na łamach prasy włoskiej pojawia się wiadomość o ustąpieniu Paderewskiego ze stanowiska premiera (9 grudnia 1919 r.). Nowy rząd Skulskiego składał się w większości – zdaniem włoskiego dziennikarza – z osób bardzo przeciętnych, a zatem rzeczywista władza w Polsce koncentrować się będzie coraz bardziej w rękach Piłsudskiego, przywódcy cieszącego się wielką popularnością. W opinii włoskiego obserwatora upadek Paderewskiego był przewidywalny. Zapłacił za liczne błędy popełnione przez kolegów w czasie jego długich nieobecności związanych z częstymi wyjazdami do Paryża.

W okresie kształtowania się nowego porządku politycznego w Europie po I wojnie światowej na łamach prasy włoskiej poświęcono zatem dużo miejsca działalności politycznej Paderewskiego. Często były to jednak wiadomości „z drugiej ręki”, czerpane z doniesień dzienników amerykańskich, brytyjskich, francuskich i szwajcarskich; rzadziej pochodzące bezpośrednio od korespondentów z Warszawy i Berlina. Podkreślić też trzeba, że podczas gdy niektóre problemy potraktowane zostały dość powierzchownie, inne – jak np. sprawa Górnego Śląska czy sytuacja wewnętrzna w Polsce na początku 1919 r. – zostały przeanalizowane bardziej dogłębnie. Zauważmy wreszcie, że działania Paderewskiego przyćmiły na łamach prasy włoskiej wysiłki polityczne innego pierwszoplanowego negocjatora konferencji pokojowej – Romana Dmowskiego. Nic nie ujmując zasługom Paderewskiego, niewątpliwie jego wielka sława jako muzyka sprawiła, że to przede wszystkim jego osoba wysunęła się na pierwszy plan.

eprasa.pl e7783acae2



Pierwszy Krajowy Zjazd Delegatów NSZZ „Solidarność”, Gdańsk, wrzesień 1981 r.

FOT. JOSEPH P. CZARNECKI/EAST NEWS

SOLIDARNOŚĆ W PROKURATURZE

POWSTANIE NSZZ „SOLIDARNOŚĆ” W PROKURATURZE PRL (1980–1981)

CZ. II

7 LUTEGO 1981 r. POWOŁANO DO ŻYCIA KRAJOWĄ KOMISJĘ KOORDYNACYJNĄ NSZZ „SOLIDARNOŚĆ” PRACOWNIKÓW PROKURATURY PRL



ELŻBIETA ROMANOWSKA

IPN w Warszawie

Idea powstania struktury, która reprezentowałaby organizacje zakładowe Solidarności w prokuraturze PRL, zrodziła się kilka tygodni wcześniej, podczas obrad I Ogólnopolskiego Forum Prawników – konferencji zorganizowanej w dniach 17–18 stycznia 1981 r. przez NSZZ „Solidarność” Pracowników Wymiaru Sprawiedliwości w Krakowie. Był to pierwszy od 1957 r. zjazd sędziów – jego inicjatorem i organizatorem była Komisja Zakładowa NSZZ „Solidarność” przy sądach krakowskich. Obrady stały się okazją do wymiany poglądów i prezentacji postaw w kwestiach najistotniejszych związanych w szczególności z problematyką praworządności w państwie. Wzięło w nich udział ok. 250 przedstawicieli środowiska sędziowskiego, pracowników nauki, prokuratorów, adwokatów i radców prawnych.

Podczas spotkania przedstawicieli prokuratorskiej Solidarności zrodziła się idea utworzenia w prokuraturze PRL wspólnej reprezentacji na szczeblu krajowym w celu ujednolicenia działań poszczególnych organizacji związkowych, wypracowania jednolitej podstawy programowej w sprawach o znaczeniu krajowym oraz reprezentowania pracowników prokuratury zrzeszonych w Solidarności. Wspomina prokurator Herzog: „Myśmy początkowo nie bardzo wiedzieli, co się dzieje gdzie indziej. Dopiero przy okazji Pierwszego »

eprasa.pl e7783acae2

» Forum Prawników, organizowanego w styczniu 1981 r. w Krakowie, którego animatorem był ówczesny sędzia Kazimierz Barczyk, w którym uczestniczyli przedstawiciele różnych zawodów prawniczych, dosyć niespodziewanie spotkaliśmy koleżanki z Instytutu Problematyki Przestępczości w Warszawie, który był usytuowany przy Prokuraturze Generalnej, i dowiedzieliśmy się, że u nich też powstała »Solidarność«. Spotkaliśmy też dwóch prokuratorów, którzy przyjechali z terenu, prokuratora Stefana Śnieżko z Olsztyna i prokuratora Zbigniewa Niemczyka z Poznania i to tak dodało nam animuszu. Ponadto dotarły do nas informacje, że powstaje »Solidarność« przy prokuraturze w Gdańsku i to sprawiło, że postanowiliśmy się spotkać".

Podczas spotkania 7 lutego 1981 r. powołano do życia wskazaną już Komisję, ustalono tryb i zasady jej działania oraz wybrano jej prezydium i przewodniczącego. W skład prezydium weszli: z Krakowa Aleksander Herzog i Krzysztof Bachmiński, ze Szczecina Grzegorz Jankowski, z Olsztyna Stefan Śnieżko.

W prawie ma być siła...

Praworządność, a więc zgodność z duchem i literą prawa wszystkich działań organów władzy i administracji, jest podstawowym warunkiem przywrócenia w społeczeństwie atmosfery zaufania do władz i szacunku wobec prawa. Smutnym przykładem braku takiego szacunku były tzw. wydarzenia bydgoskie. 24 marca 1981 r. Krajowa Komisja Koordynacyjna NSZZ „Solidarność" Pracowników Prokuratury PRL zwróciła się w liście otwartym do Lucjana Czubińskiego, prokuratora generalnego PRL, z żądaniem wyjaśnienia przebiegu i przyczyn wydarzeń bydgoskich, wyciągnięcia konsekwencji wobec winnych, jak również rzetelnego poinformowania o tym społeczeństwa. Na rzeczone pismo nie otrzymali odpowiedzi, a telewizyjno-radiowe wystąpienia prokuratora Józefa Żyty i wojewódzkiego prokuratora z Bydgoszczy trudno nazwać obiektywnymi. Po bydgoskich zajściach padało wiele uwag krytycznych pod adresem prokuratury. Prokuratorzy zrzeszeni w Solidarności domagali się zmian w funkcjonowaniu tego urzędu i pełnej niezawisłości. Prokuratura powinna być rzeczywistym gwarantem zasady, iż prawo jest równe dla wszystkich, zaś jego przestrzeganie obowiązkiem zarówno obywateli, jak i wszystkich organów oraz instytucji państwowych.

24 sierpnia 1981 r. prezydium Tymczasowej Komisji Koordynacyjnej NSZZ „Solidarność" Pracowników Prokuratury PRL wyraziło zdecydowany protest przeciwko zmianom dokonanym przez Radę Państwa w opracowanym wspólnie z przedstawicielami wszystkich związków zawodowych i wniesionym do Sejmu projekcie nowej ustawy o związkach zawodowych. Zmiany te (dokonane w art. 13 i dodanym art. 13a) miały polegać na ograniczeniu niektórym kategoriom pracowników prawa do zrzeszania się. Dotyczyło to w szczególności pracowników cywilnych resortów obrony narodowej i spraw wewnętrznych oraz wszystkich pracowników zatrudnionych na podstawie mianowania w organach państwowych (a więc także prokuratorów). Dlatego prokuratorzy związkowcy zaprotestowali przeciwko temu projektowi, kierując obszerny list otwarty do Rady Państwa.

1 września 1981 r. został zwolniony z pracy Ryszard Kuś – sekretarz Komisji Zakładowej NSZZ „Solidarność" Wojskowych Zakładów Remontowych w Krakowie. Organizacja Związkowa NSZZ „Solidarność" przy Prokuraturze Wojewódzkiej w Krakowie wydała specjalną uchwałę, w której zaprotestowała przeciwko utrudnianiu wykonywania statutowej działalności związku w Wojskowych Zakładach Remontowych i zwolnieniu z pracy jej sekretarza. Domagano się zaprzestania dalszych utrudnień wobec organizacji związkowej i cofnięcia bezprawnego wypowiedzenia umowy o pracę sekretarzowi tej organizacji.

Na początku września 1981 r. miały miejsce obrady I Krajowego Zjazdu Delegatów NSZZ „Solidarność"– od 5 do 10 września (I tura) i od 26 września do 7 października (II tura). W czasie I tury Zjazdu wyrażono wotum nieufności dla prokuratury PRL i prokuratora generalnego Czubińskiego. 26 września 1981 r. odbyło się w Warszawie zebranie Krajowej Komisji Koordynacyjnej NSZZ „Solidarność" Pracowników Prokuratury PRL. Związek poparł to wotum nieufności, wydając specjalne oświadczenie. Z całą stanowczością podkreślono, że gwarantem przestrzegania prawa zgodnie z wolą społeczeństwa może być tylko taka prokuratura, która kieruje się zasadami praworządności oraz jest niezależna od organów administracyjnych i organizacji politycznych. Wskazano, że w działalności kierownictwa Prokuratury Generalnej względy polityczne górowały nad prawem i praworządnością, czego szczególnym przykładem była tzw. sprawa bydgoska. Podkreślono, że działalność prokuratorów – członków Solidarności była wyrazem dążenia, by ich praca oparta była na zasadach praworządności i sprawiedliwości społecznej.

6 października 1981 r. został zwolniony z pracy Zbigniew Bełz, asesor Sądu Rejonowego w Gorzowie Wielkopolskim. Był on wiceprzewodniczącym Koła Zakładowego NSZZ „Solidarność" Sądów Okręgu Gorzowskiego, członkiem Zarządu Regionalnego, członkiem Krajowej Komisji Koordynacyjnej NSZZ „Solidarność" Pracowników Wymiaru Sprawiedliwości oraz przewodniczącym (jednym z trzech) Krajowej Komisji Rewizyjnej, wybrany na I Zjeździe Delegatów NSZZ „Solidarności" w Gdańsku. Był osobą wielce niewygodną dla władz partyjnych. Komisja Zakładowa NSZZ „Solidarność" przy Prokuraturze Wojewódzkiej w Szczecinie poparła protest Koła Zakładowego NSZZ „Solidarność" Sądów Okręgu Gorzowskiego w sprawie zwolnienia sędziego Bełza z pracy.

28 października 1981 r. prokuratorska „Solidarność' w Szczecinie poparła akcje strajkowe w kraju. W specjalnym komunikacie pisano: „Zdajemy sobie sprawę, że strajki wyrządzają naszej gospodarce dotkliwe straty, jednakże w obecnej sytuacji i w obliczu realnego zagrożenia funkcjonowania naszego Związku wynikła konieczność podjęcia akcji protestacyjnej na terenie całego kraju. Będąc związkowcami zatrudnionymi w Prokuraturze, wyłączeni jesteśmy z akcji strajkowej. Jesteśmy jednak członkami NSZZ »Solidarność« i dane nam było już poznać znaczenie słowa »Solidarność«. [...] Na znak solidarności ze strajkującymi członkowie naszej organizacji związkowej w dniu dzisiejszym od godziny 12.00–13.00 na czas strajku przypną znaczki związkowe oraz biało-czerwone kokardy".

Murem za zagrożonymi prokuratorami

Kierownictwo prokuratury PRL od samego początku wskazywało na niemożliwość pogodzenia przynależności do Solidarności z pracą w prokuraturze PRL. „Pamiętam – wspomina prokurator Herzog – że jeden z kolegów złożył

eprasa.pl e7783acae2

wniosek formalny, żeby rozważyć możliwość przystąpienia do »Solidarności«. Prowadzący to zebranie zastępca prokuratora wojewódzkiego w ogóle nie chciał poddać tego pod głosowanie". Pod koniec grudnia 1980 r. prokurator generalny PRL Czubiński wydał prokuratorom zakaz przynależności do NSZZ „Solidarność". „Nigdy nie dopuścimy do tego, aby legitymacja prokuratorska leżała obok legitymacji Solidarności"– grzmiał w styczniu 1981 r. na spotkaniu z prokuratorami szef Prokuratury Wojewódzkiej w Warszawie.

17 września 1981 r. dyrektor Departamentu Kadr, Szkolenia i Spraw Socjalnych Prokuratury Generalnej PRL Jerzy Porada, zapewne na polecenie swego przełożonego Czubińskiego, opracował specjalną notatkę dotyczącą istnienia w prokuraturze PRL Komisji Zakładowych NSZZ „Solidarność". Jak się można było spodziewać, działalność prokuratorów związkowców ocenił negatywnie. Wskazał, że prezentowali oni postawy w pełni akceptujące stanowisko Związku we wszystkich podstawowych sprawach o charakterze politycznym i społecznym, solidaryzowali się ze wszystkimi atakami Związku przeciwko prokuraturze, brali udział w rozmowach z komisją rządową na temat praworządności, przy czym – zdaniem Porady – formułowali opinie negatywne o działalności prokuratury. Natomiast rozmowy związkowców na temat miejsca prokuratury w systemie organów państwowych Porada ocenił jako przejaw awanturnictwa politycznego i chęci demontowania aparatu państwowego, a zapowiedź podjęcia w tej sprawie rozmów z ministrem sprawiedliwości – bez zgody i wiedzy prokuratora generalnego – jako poważne naruszenie dyscypliny służbowej. Zatem Porada znalazł podstawy do zwolnienia prokuratorów ze służby w organach ścigania.

21 września 1981 r. prokurator generalny Czubiński przesłał przewodniczącemu Rady Państwa Henrykowi Jabłońskiemu notatkę w sprawie prokuratorskiej Solidarności i zwrócił się z prośbą, jak wnioskował wyżej cytowany Porada, o zastosowanie wobec prokuratorów związkowców przepisów umożliwiających zwolnienie ich z pracy na podstawie tzw. niedawania rękojmi należytego wykonywania obowiązków.

26 września 1981 r. Krajowa Komisja Koordynacyjna NSZZ „Solidarność" Pracowników Prokuratury PRL wyraziła stanowczy protest wobec działań kierownictwa Prokuratury PRL. Działania te polegały na próbie zmuszania prokuratorów do dokonania wyboru pomiędzy członkostwem w NSZZ „Solidarność" a pracą w organach ścigania. Z braku innych argumentów kierownictwo prokuratury forsowało niepraworządną tezę o niemożliwości łączenia funkcji członka Związku ze stanowiskiem prokuratora. W tym celu podejmowano próby zastraszania prokuratorów zwolnieniem z pracy na podstawie art. 13 ustawy o Prokuraturze PRL, który mówił o braku „rękojmi należytego wykonywania obowiązków służbowych". Uważano bowiem, że przepisy te stanowią jaskrawe pogwałcenie obowiązującego prawa, a szczególnie postanowień Międzynarodowego Paktu Praw Społecznych, Gospodarczych i Kulturalnych oraz Konwencji nr 87 i 98 Międzynarodowej Organizacji Pracy, gwarantujących prawo do swobodnego zrzeszania się i ochrony przed dyskryminacją za działalność związkową.

Protest przeciwko takim praktykom poparły również inne środowiska. „Jak wierzyć w poszanowanie prawa w kraju, gdzie kierownictwo organów wymiaru sprawiedliwości łamie praworządność. Jak przyjąć za dobrą monetę wiarygodność deklaracji o chęci odnowy, gdy Prokurator Generalny PRL pozostał ten sam, co przed sierpniem 1980 roku? Ten sam, co już lata całe działał wbrew prawu, naginając »sprawiedliwość« wedle życzeń władz państwowych i politycznych bądź wedle partykularnych interesów wysoko postawionych osób. Ten sam, któremu na I Zjeździe NSZZ »Solidarność« mandatariusze dziesięciomilionowej organizacji wyrazili wotum nieufności" – pisali członkowie „Solidarności" ze szczecińskiej politechniki.

Związkowcom zatrudnionym w prokuraturze swoje poparcie zaoferowali robotnicy, naukowcy i sędziowie skupieni w NSZZ „Solidarność". „Była to dla nich prawdziwa lekcja solidarności". Dlatego indywidualne rozmowy „samookreślające" nie zostały przeprowadzone w Gdańsku, natomiast w Instytucie Problematyki Przestępczości zostały w ostatniej chwili odwołane. Przeprowadzono je jedynie na początku września w Szczecinie. Został również przedłużony termin „samookreślenia" się prokuratorów na zakończenie Zjazdu Delegatów NSZZ „Solidarność", czyli do 7 października 1981 r. (pierwotnie wyznaczono datę na 30 września1981 r.).

Nie oznaczało to jednak, że kierownictwo prokuratury PRL przestało prześladować prokuratorów, członków NSZZ „Solidarność". 30 września 1981 r. z funkcji zastępcy Prokuratora Rejonowego w Olsztynie został odwołany Stefan Śnieżko. Po latach tak to wspomina: „Zostałem wezwany do Prokuratury Wojewódzkiej w Olsztynie i poinformowano mnie, że zostałem odwołany ze stanowiska zastępcy prokuratora rejonowego. Odwołano mnie 30 września 1981 r. z powodu »nie sprawdzenia się«. Zarzucono mi, że zaniedbuję się w pracy, że czegoś tam nie dopilnowałem i w związku z tym następuje odwołanie. W tym czasie Krajowy Zjazd »Solidarności« w Gdańsku podjął uchwałę w obronie represjonowanych prokuratorów. Ja byłem wymieniony jako ten represjonowany za »Solidarność«, można powiedzieć, że to na moją cześć Zjazd podjął uchwałę. Zwróciliśmy się też o pomoc do organizacji związkowych dużych zakładów pracy. W Olsztynie było to Przedsiębiorstwo Sprzętowo-Transportowe Budownictwa Rolniczego. To było takie budujące, a zarazem przekonywujące, że to była »Solidarność«".

* * *

W chwili wprowadzenia stanu wojennego koła Solidarności istniały w pięciu jednostkach organizacyjnych prokuratury PRL: w Krakowie, Szczecinie, Gdańsku, Olsztynie i Bydgoszczy – liczyły 35 prokuratorów, 2 aplikantów, 70 pracowników administracyjnych. Wprowadzenie stanu wojennego w dniu 13 grudnia 1981 r. oznaczało likwidację NSZZ „Solidarność" w prokuraturze PRL. Do 1 lutego 1982 r. w resorcie sprawiedliwości przeprowadzono rozmowy z 7 274 członkami NSZZ „Solidarność", wśród których 129 osób było sędziami sądów wojewódzkich, 660 sędziami sądów rejonowych, 140 notariuszami, 71 asesorami i 49 aplikantami. W wyniku tych rozmów z NSZZ „Solidarność" wystąpiło 6 778 osób, w tym 86 sędziów sądów wojewódzkich, 535 sędziów sądów rejonowych, 130 notariuszy, 60 asesorów i 44 aplikantów. Wśród 26 prokuratorów zwolnionych w okresie stanu wojennego 15 było członkami NSZZ „Solidarność", 3 z nich zwolnionych zostało z urzędu, natomiast 12 – na własną prośbę.

eprasa.pl e7783acae2

KSIĄDZ JÓZEF TISCHNER

DUSZPASTERZ, FILOZOF... ALE I KAPŁAN ZAANGAŻOWANY W POLITYCZNY SPÓR



FOT. PAP/CAF/STEFAN KRASZEWSKI

Ks. Józef Tischner – gość Zjazdu Delegatów NSZZ „Solidarność" – przemawia do uczestników obrad. Gdańsk, 30 września 1981 r.

KSIĄDZ JÓZEF TISCHNER (1931–2000) BYŁ W RZECZYWISTOŚCI SPOŁECZNO-POLITYCZNEJ PIERWSZEJ DEKADY III RP JEDNYM Z NAJBARDZIEJ ROZPOZNAWALNYCH DUCHOWNYCH W POLSCE



RAFAŁ ŁATKA

Biuro Badań Historycznych IPN

Bez wątpienia przyczyniła się do tego jego działalność z lat 80., a przede wszystkim słynna „Etyka Solidarności". Po 1989 r. jego popularność stale się zwiększała, ale równocześnie stał się postacią kontrowersyjną, wzbudzającą wiele również negatywnych emocji. W poniższej analizie przybliżę drogę jego życia i zastanowię się, czy przypadkiem Tischner nie rozmienił na drobne swojego autorytetu.

Kapłan duszpasterz

Józef Tischner urodził się 12 marca 1931 r. w Starym Sączu. Otrzymał religijne i patriotyczne wychowanie. Dzieciństwo spędził na Podhalu, głównie w niewielkiej wiosce, w Łopusznej. W Nowym Targu ukończył gimnazjum, a w 1949 r. liceum typu humanistycznego. Z tego okresu życia wyniósł duży sentyment do Podhala, czuł się w pełni góralem, choć jego rodzice nie wywodzili się z tamtych stron. Powołanie do kapłaństwa budziło się w nim stopniowo. Ostateczną decyzję w tej sprawie miał podjąć 28 maja 1949 r. Temu krokowi sprzeciwił się jednak ojciec. W wyniku kompromisu ustalono, że Tischner syn podejmie studia prawnicze na Uniwersytecie Jagiellońskim, a jeśli

eprasa.pl e7783acae2

po roku podtrzyma swoją decyzję co do kapłaństwa, to otrzyma zgodę.

Józef przybył do Krakowa jesienią 1949 r., podjął studia prawnicze, ale po roku zrezygnował i rozpoczął studia na Wydziale Teologicznym UJ oraz wstąpił do Wyższego Seminarium Duchownego Archidiecezji Krakowskiej. Okres kształcenia w latach 1950–1955 to czas najcięższej próby dla społeczeństwa i polskiego Kościoła poddawanego daleko idącym represjom. Studiujący wówczas klerycy mogli mieć realne obawy, że ich kapłaństwo będzie naznaczone cierpieniem. Okres pobytu w seminarium nie był dla Tischnera łatwy. Trudno było mu się dostosować do dyscypliny i wielu ograniczeń panujących w WSD. Największy wpływ na rozwój intelektualny Tischnera w czasie studiów obok kard. Adama Stefana Sapiehy mieli wybitni profesorowie, tacy jak ks. Aleksy Klawek, ks. Kazimierz Kłósak czy Adam Vetulani. Przyszły kapłan zafascynowany był także postaciami ks. Jana Pietraszki czy ks. Karola Wojtyły, wówczas młodego wykładowcy etyki społecznej w WSD. Tischner seminarium ukończył w 1955 r. i przyjął wówczas święcenia kapłańskie.

Bezpośrednio po święceniach duchowny został skierowany do posługi jako wikariusz w parafii Jawiszowice pod Oświęcimiem, a następnie do parafii Jeleśnia koło Żywca, gdzie pracował do września 1955 r. W tym czasie ks. Kłósak, który wysoko oceniał zdolności intelektualne Tischnera, zwrócił się do bp. Franciszka Jopa z prośbą o wyrażenie zgody na dalsze studia akademickie dla młodego kapłana. Hierarcha nie odmówił, w związku z czym Tischner rozpoczął studia na ATK 1 października 1955 r., ale nie dane było mu ich ukończyć. Latem 1957 r. został wezwany przez abp. Eugeniusza Baziaka do powrotu do Krakowa. We wrześniu rozpoczął posługę jako wikariusz w parafii św. Mikołaja w Chrzanowie. Równocześnie uczył religii w miejscowej szkole średniej. Dwa lata później przeniesiono go do parafii św. Kazimierza na krakowskich Grzegórzkach. Pełnił tam posługę duszpasterską jako wikariusz przez cztery lata. Ze względu na działalność naukową został w 1963 r. zwolniony z obowiązków duszpasterskich.

Kapłan naukowiec

Po powrocie do archidiecezji krakowskiej kontynuował studia filozoficzne na UJ. W 1959 r. uzyskał pod kierunkiem Romana Ingardena magisterium na podstawie pracy dotyczącej filozofii Desiré Feliciena François Josepha Merciera. Cztery lata później obronił u tego samego wybitnego badacza doktorat zatytułowany: „Ja transcendentalne w filozofii Edmunda Husserla". Tischner od roku akademickiego 1963/1964 rozpoczął prowadzenie zajęć z filozofii w krakowskim WSD, a następnie także na Papieskim Wydziale Teologicznym. W latach 1968–1969 przebywał na seminarium zagranicznym w belgijskim Leuven. Zebrał tam m.in. materiały potrzebne do przygotowania książki habilitacyjnej. Na podstawie pracy „Studia z teorii świadomości (Fenomenologia świadomości egotycznej)" uzyskał w 1972 r. habilitację z filozofii na ATK.

W 1960 r. Tischner nawiązał kontakt z redakcją „Więzi". Cztery lata później zaczął publikować w „Znaku", zaś w 1965 r. w „Tygodniku Powszechnym". Stopniowo stawał się regularnym autorem wszystkich czasopism związanych ze środowiskiem katolików aktywnych politycznie w PRL. W styczniu 1970 r. opublikował na łamach „Znaku" jeden ze swoich najbardziej znanych i najgłośniejszych tekstów: „Schyłek chrześcijaństwa tomistycznego". Artykuł wzbudził wiele kontrowersji ze względu na główną tezę autora, która mówiła, że w nauce katolickiej wielu już szuka inspiracji poza tomizmem, a najciekawsze wnioski przedstawiają ci, którzy wyzwolili się z tego rodzaju kanonów myślenia. Tekst był przedmiotem krytyki m.in. o. Mieczysława Krąpca, a dyskusja na ten temat toczyła się przez kilka lat. Artykuł, jak wynika z ustaleń Wojciecha Bonowicza, nie przypadł do gustu wielu duchownym archidiecezji krakowskiej, a niezadowolony z jego treści miał być również kard. Karol Wojtyła.

Kapłan Solidarności

Tischner występował dość regularnie z wykładami w Klubach Inteligencji Katolickiej, zaś od 1978 r. był zaangażowany w działalność opozycyjnego Towarzystwa Kursów Naukowych. Występował także w „eksperymentalnym duszpasterstwie", zorganizowanym przez Wojciecha Oracza i Józefa Ruszara przy klasztorze sióstr norbertanek w Krakowie. W latach 1976–1980 miał jedynie sporadyczny kontakt ze środowiskami opozycyjnymi. W 1979 r. opublikował książkę „Polski kształt dialogu". Praca poświęcona była szeroko rozumianemu dialogowi Kościoła katolickiego z lewicą oraz nawiązywała do dzieł Adama Michnika i Bohdana Cywińskiego dotyczących analogicznej problematyki.

16 października 1978 r. kard. Wojtyła został wybrany na papieża. Bohater artykułu przyjął decyzję konklawe z mieszanymi uczuciami, gdyż z jednej strony podzielał naturalny dla tego momentu entuzjazm, a z drugiej – odchodził z archidiecezji krakowskiej jego przyjaciel i patron. W 1979 r. krakowski duchowny zaangażował się w przygotowania pierwszej pielgrzymki polskiego papieża do Ojczyzny. Odpowiadał za zorganizowanie spotkania Jana Pawła II ze światem nauki, które odbyło się 8 czerwca 1979 r. na Skałce.

W okresie 16 miesięcy tzw. Karnawału Solidarności kapłan zdecydowanie zaangażował się w nowy ruch społeczny. Podczas pobytu delegacji kierownictwa NSZZ „Solidarność" w Krakowie 18 października wygłosił kazanie podczas nabożeństwa na Wawelu. Powiedział wówczas m.in., że słowo „solidarność skupia w sobie nasze pełne niepokoju nadzieje, pobudza do myślenia, pobudza do męstwa, wiąże ze sobą na nowo ludzi". W czasie kolejnych miesięcy Tischner wielokrotnie występował podczas uroczystości organizowanych przez Solidarność. Największym echem odbiło się jego kazanie podczas I Krajowego Zjazdu związku w Gdańsku. Wystąpienie Tischnera włączono do oficjalnych dokumentów zjazdowych. Równocześnie duchowny od listopada 1980 r. do marca 1981 r. publikował w „Tygodniku Powszechnym" teksty, które złożą się później na jego najbardziej znaną książkę pt. „Etyka solidarności", wydaną nakładem „Znaku" w sierpniu 1981 r. Wyjaśniał w nich znaczenie podstawowych pojęć społecznych, takich jak dialog, praca czy wspólnota. Dzieło szybko stało się jedną z najbardziej emblematycznych i symbolicznych publikacji dla rewolucji moralnej Solidarności. Z powodu swojego zaangażowania w Solidarność był intensywnie rozpracowywany i inwigilowany przez krakowską SB, która starała się pozyskać osobowe źródła informacji w jego otoczeniu. Po śmierci kard. Stefana Wyszyńskiego ks. Tischner był w spekulacjach SB przedstawiany jako jeden z możliwych kandydatów do objęcia wszystkich »

eprasa.pl e7783acae2

» funkcji po zmarłym prymasie (obok kard. Franciszka Macharskiego, bp. Bronisława Dąbrowskiego, bp. Józefa Glempa i bp. Ignacego Tokarczuka).

Esbeckie zapisy

Krakowski kapłan kilkukrotnie od 1982 r. wygłaszał kazania w ramach nabożeństw za ojczyznę w katedrze wawelskiej, zainicjował także sierpniowe nabożeństwa za ojczyznę w kaplicy nad Turbaczem na Rusnakowej Polanie. W przeciwieństwie jednak do okresu karnawału Solidarności w okresie stanu wojennego nie podejmował aktywnie działalności określanej przez władze jako „wroga". W pierwszych dniach po wprowadzeniu stanu wojennego po rozmowie ostrzegawczej z funkcjonariuszem SB podpisał zobowiązanie o lojalności. Zapisy ewidencyjne zachowane w Archiwum IPN również nie pozwalają na odpowiedź na temat zmiany postawy Tischnera. Według nich duchowny był rozpracowywany w ramach SOR krypt. „Leo" (dokumentacja sprawy się nie zachowała) od 8 lipca 1980 r. do 16 czerwca 1983 r. Od lipca 1983 r. pozostawał w zainteresowaniu operacyjnym Wydziału II Departamentu IV MSW. Następnie został zarejestrowany pod numerem 8128 w 1986 r. (brak dokładnej daty) najpierw jako kandydat na TW, następnie jako kontakt operacyjny i w końcu w październiku 1988 r. jako konsultant Wydziału I Departamentu IV MSW. Z ewidencji zdjęto go 30 stycznia 1989 r. Wspomniana dokumentacja nie pozwala na dokładne scharakteryzowanie relacji ks. Tischnera z SB, ale z pewnością nie można powiedzieć, by była ona jednoznacznym dowodem na współpracę agenturalną z komunistycznym aparatem bezpieczeństwa. Z kolei, jak trafnie zauważył Andrzej Grajewski, bardziej skomplikowana jest kwestia rejestracji kapłana jako konsultanta SB, gdyż „status ten wskazuje, że występująca w tym charakterze osoba raczej była świadoma, z kim rozmawia. Trudno bowiem sobie wyobrazić, aby funkcjonariusz ryzykował fikcyjną rejestrację w tej kategorii jednego z najbardziej znanych wówczas w Polsce księży".

Kapłan jednej strony

W 1982 r. ks. Tischner był jednym z założycieli (obok Krzysztofa Michalskiego i Hansa Georga Gadamera) Instytutu Nauk o Człowieku w Wiedniu. Placówka posiada charakter badawczy w zakresie nauk humanistycznych. Powstała z poparciem i błogosławieństwem Jana Pawła II. Bohater tego artykułu był wieloletnim prezesem Instytutu. Od 1983 r. był jednym ze współorganizatorów słynnych spotkań naukowych z udziałem Ojca Świętego w Castel Gandolfo.

JEDNOZNACZNE WSPARCIE KS. JÓZEFA DLA JEDNEGO ŚRODOWISKA POLITYCZNEGO PO 1989 r. BYŁO ODBIERANE JAKO PRZEKROCZENIE GRANICY, KTÓREJ KAPŁANOWI NIE WYPADA PRZEKRACZAĆ

W latach 90. ks. Tischner dość szybko stał się gwiazdą mediów i osobą popularną. Był wówczas jednym z najbardziej rozpoznawalnych polskich kapłanów. Bez wątpienia posiadał telewizyjny talent i umiejętność zainteresowania odbiorców nawet trudnym przekazem filozoficznym. Był to również najbardziej płodny okres w jego życiu pod względem wydanych książek. W 1995 r. ukazał się z kolei tom „Między Panem a Plebanem" zawierający zapis rozmów prowadzonych przez Jacka Żakowskiego z ks. Józefem i Adamem Michnikiem. Stale i regularnie publikował również w prasie, przede wszystkim w „Tygodniku Powszechnym" i „Gazecie Wyborczej".

Ks. Tischner po 1989 r. zaangażował się bezpośrednio w politykę. Stanął wyraźnie po jednej stronie sporu dzielącego Polskę w latach 90. W reakcji na wynik pierwszej tury wyborów prezydenckich w 1990 r., które przegrał popierany przez niego Tadeusz Mazowiecki, duchowny wygłosił 27 listopada 1990 r. wypowiedź, w której oskarżał część Polaków o posiadanie mentalności „homo sovieticus". Wystąpienie spotkało się z krytyką wielu środowisk intelektualnych, społecznych i politycznych. Podobne wypowiedzi zdarzały się mu dość regularnie. Wynikały one z otwartego wsparcia, jakiego udzielał środowisku Adama Michnika, Jacka Kuronia, Bronisława Geremka, Tadeusza Mazowieckiego, czy szerzej patrząc, z generalnie liberalnych sympatii duchownego. W 1993 r. wystąpił w spocie Kongresu Liberalno-Demokratycznego. Był członkiem Rady Programowej Unii Wolności i Rady Fundacji im. Stefana Batorego. Aktywnie przeciwstawiał się dekomunizacji i lustracji. Z powodu swojej działalności politycznej był krytycznie oceniany przez część społeczeństwa, znaczą część duchowieństwa oraz polityków prawicy. Stał się niejako symbolem kapłana, który zbyt blisko związał się ze światem polityki. Można nawet powiedzieć, że jego aktywność w tym zakresie była wzorem dla kapłanów takich jak ks. Kazimierz Sowa czy ks. Wojciech Lemański.

Tischner został zapamiętany jako wybitny pisarz i popularyzator filozofii, zdolny publicysta umiejący pisać w atrakcyjny dla odbiorcy sposób, gwiazda mediów w latach 90, świetny kaznodzieja i wreszcie jako kapłan zaangażowany w sprawy społeczne. Szczególnie ta ostatnia sfera jego aktywności budziła spore kontrowersje, gdyż jednoznaczne wsparcie dla jednego środowiska politycznego po 1989 r. było odbierane jako przekroczenie granicy, której kapłanowi nie wypada przekraczać. Należy zgodzić się z Janem Galarowiczem (uczniem Tischnera), który słusznie zauważył, że duchowny nie wykorzystał szansy, by stać się arbitrem w polskich sporach, a „jego publicystyka dzieliła Polaków. Opowiadając się jednoznacznie i zdecydowanie po jednej stronie spolaryzowanego – w dużym stopniu przez postkomunistyczne i liberalne media oraz ich sterników – katolicyzmu, tzn. »katolicyzmu otwartego«, oraz podzielonej na dwa obozy »Solidarności« – po stronie formacji Adama Michnika, Tadeusza Mazowieckiego itd., [czyli po stronie] formacji »łagodnego« wychodzenia z komunizmu, utracił Tischner tę część katolików, która odnosiła się krytycznie do »katolicyzmu otwartego«".

REKLAMA | 5/0222/F

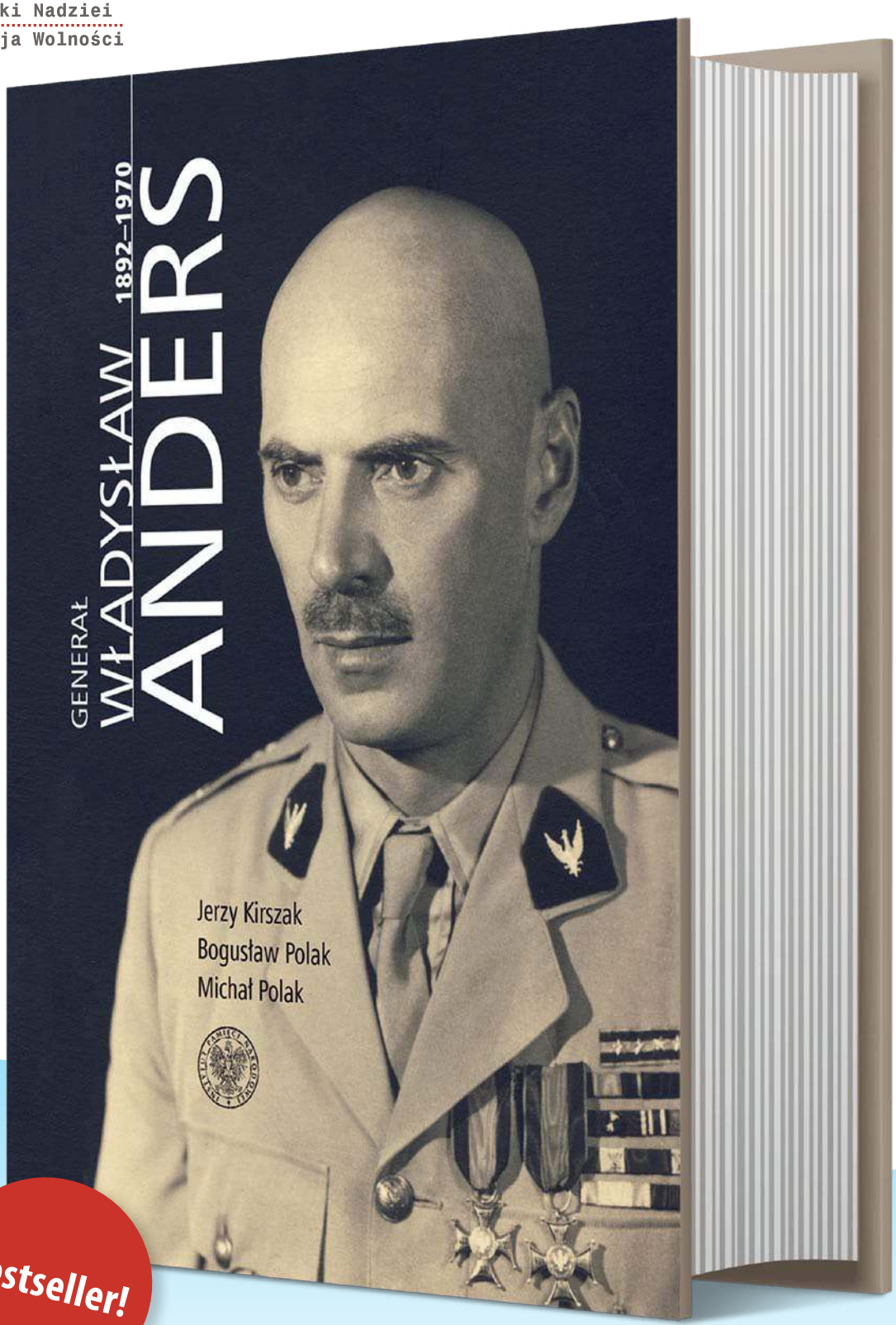
eprasa.pl e7783acae2

Szlaki Nadziei
Odyseja Wolności

WYDAWNICTWO
INSTYTUTU PAMIĘCI NARODOWEJ
IPN

Wyjątkowy album

poświęcony jednemu z najwybitniejszych dowódców polskich XX w.



Bestseller!

Pełna oferta na www.ksiegarniaipn.pl • Fb.com/ksiegarnia.ipn

eprasa.pl e7783acae2

POD KONIEC LIPCA 1944 r. W WARSZAWIE DAWAŁO SIĘ ODCZUĆ PEWNĄ ZMIANĘ. TRUDNO JĄ ZGRABNIE ZDEFINIOWAĆ, ALE WE WSPOMNIENIACH I DZIENNIKACH Z TAMTEGO OKRESU MOŻNA ODNALEŹĆ ZAPISY PEWNYCH OBSERWACJI, KTÓRE KAZAŁY MIESZKAŃCOM PRZYPUSZCZAĆ, ŻE COŚ BĘDZIE SIĘ DZIAŁO



ŻYCIE RELIGIJNE PODCZAS POWSTANIA WARSZAWSKIEGO



MARCELINA KOPROWSKA



FOT. MPW

Podwórko warszawskiej kamienicy w czasie powstania – zbiorowa modlitwa pod kapliczką

Front zbliżał się do Wisły, gdzieś z oddali słyszano dźwięki interpretowane jako huk armat postępującej Armii Czerwonej. Niemcy – okupanci, od prawie pięciu lat rządzący przedwojenną stolicą – już nie wyglądali tak dumnie i pewnie jak jeszcze rok czy półtora roku wcześniej.

W Komendzie Głównej Armii Krajowej trwały rozważania i dyskusje nad decyzją o wybuchu powstania. Podziemie szykowało się do niego właściwie od samego początku działania. Od kilku miesięcy był realizowany plan akcji „Burza", w ramach której oddziały Armii Krajowej wyzwalały kolejne miejscowości w pobliżu frontu i ujawniały się przed przychodzącą wraz z nim Armią Czerwoną. W Warszawie wieści ze wschodu na temat tego, co się z tymi oddziałami dzieje, były cokolwiek mętne i niepokojące. Jednak przedwojennej stolicy pierwotnie nie włączono w planowaną „Burzę" ze względu na chęć oszczędzenia miasta i ludności.

Mimo to okoliczności podjęcia decyzji o wybuchu powstania nie są do końca jasne, lecz nie to jest materią tej opowieści. Oddziały mobilizowano, a potem mobilizację odwoływano. Decyzję podjęto ostatecznie 31 lipca w godzinach popołudniowych bądź wieczornych, tuż przed godziną policyjną. Łączniczki zaczęły roznosić rozkazy kolejnego dnia rano, kiedy czasu do godziny W (17.00) było stosunkowo mało. Wielu zmobilizowanych nie zdążyło objąć swoich pozycji. Uzbrojenie i wyposażenie sanitarne pozostawiało wiele do życzenia (cóż za eufemistyczne określenie). Trzeba było improwizować.

Kolejki do spowiedzi

Armia Krajowa, będąc specyficzną kontynuacją przedwojennego Wojska Polskiego, poza strukturami zbrojnymi budowała także struktury duszpasterstwa

eprasa.pl e7783acae2

polowego. Poszczególne obwody, nieraz konkretne oddziały, miały swoich kapelanów, których mobilizacja pod koniec lipca oraz 1 sierpnia również dotyczyła. Jednak i oni, tak jak żołnierze, nie wszyscy zdążyli dotrzeć na czas na miejsce zbiórki. Nawet jeśli w ogóle rozkaz o godzinie W do nich dotarł, mogli się znaleźć gdzieś w drodze, w nieznanym sobie punkcie miasta, przy nieznanym sobie oddziale. Trzeba było improwizować.

Oczywiście tylko część księży była zaangażowana w konspirację, nie wszyscy wiedzieli więc o planowanym wybuchu powstania. Z ich wspomnień wynika jednak, że często widzieli, że coś się szykuje. Opisują w nich ponadprzeciętne kolejki do spowiedzi, zwłaszcza młodych osób – kobiet i mężczyzn. Nie znając jednak szczegółów, nie mieli jak się przygotować. Zresztą, nawet gdyby wiedzieli... powstanie w zamyśle decydentów miało trwać kilka dni. Jak inne okazały się realne warunki walki, pokazała dopiero rzeczywistość kolejnych dwóch miesięcy. Gdy więc 1 sierpnia padły pierwsze strzały, dość szybko okazało się, że cały dotychczas uporządkowany świat sprawowania liturgii i prowadzenia modlitw odszedł w przeszłość. Po kilku dniach część kościołów już była zburzona, w wielu dzielnicach ludność przez walki została odcięta w swoich kamienicach, domach i... trzeba było improwizować.

Dla samych powstańców sprawa tego, jak podczas zrywu będzie wyglądało życie religijne, nie wydaje się priorytetowa, choć prawdopodobnie to właśnie oni stali w tych zadziwiająco długich kolejkach do spowiedzi pod koniec lipca. Nie znając daty wybuchu powstania, a wiedząc, że „coś wisi w powietrzu" (kolejne mobilizacje, mimo że odwoływane, kazały im się czegoś domyślać), szli do spowiedzi i przyjmowali Komunię Świętą, żeby duchowo przygotować się do walki, która może przynieść im śmierć.

Podwórkowe kapliczki

Przed wojną Warszawa nie była miastem mocno religijnym. Okupacja zmieniła nastawienie wielu mieszkańców – czy to w myśl polskiego przysłowia: „Jak trwoga, to do Boga", czy szczerego nawrócenia niektórych. Od początku lat 40. na warszawskich podwórkach zaczęły gościć nowe zwyczaje. Wprowadzona przez Niemców godzina policyjna sprawiła, że podwórko stało się głównym ośrodkiem wieczornego życia społecznego, a sąsiedzi, mimo częstej nieufności, jednak jakoś najbliższymi ludźmi. Z perspektywy życia religijnego w tym czasie obserwujemy prawdziwy „wysyp" kapliczek, tworzonych przez samych mieszkańców z dewocjonaliów znalezionych w domach, piwnicach lub też specjalnie zamówionych u lokalnych artystów. Podwórka zamieniały się w miejsca wspólnej modlitwy i proces ten trwał aż do powstania, kiedy to w 63 dniach walki miał swoją kulminację. Odcięcie od kościołów, niszczonych zresztą często w trakcie walk, zupełna zmiana sposobu prowadzenia życia religijnego sprawiły, że to podwórka – a w czasie powstania również piwnice – stały się głównymi jego ośrodkami. Ale, znów, nikt tego przed powstaniem specjalnie nie przygotowywał. Trzeba było improwizować.

* * *

Jak dotąd, mimo że powstanie warszawskie jest stosunkowo popularnym tematem, nie powstało całościowe opracowanie dotyczące życia religijnego w jego czasie. Można się zatem zastanawiać, czy poświęcanie mu swojej uwagi jest w ogóle zasadne. Wydaje się jednak, że jak najbardziej, i to w dodatku z przynajmniej kilku względów.

Powstanie warszawskie 1944 r. to bez wątpienia jeden z ważniejszych wątków w historii Warszawy w ogóle; przynajmniej tak to można odczytywać w 2022 r., kiedy wciąż skutki tego zrywu da się zobaczyć gołym okiem. Widać je w architekturze miasta – i nie chodzi tu tylko o konserwowane przez odpowiednich specjalistów ślady kul na murach, lecz także o układ ulic, odbudowane lub właśnie nieodbudowane kamienice, dzielnice itd. Skutki powstania (oraz wysiedlenia ludności po jego stłumieniu) widać również wśród społeczeństwa warszawskiego – stosunkowo niewielu jest wśród mieszkańców Warszawy rodowitych warszawiaków. Przewodnicy po Muzeum Powstania Warszawskiego niejednokrotnie po zapytaniu zwiedzających o związki z powstaniem słyszą w odpowiedzi, że ktoś z grupy ma w rodzinie kogoś z powstaniem powiązanego – dziadka, babcię, stryja, ciocię... Temat jest wciąż żywy, a zainteresowanie historią powstania warszawskiego po dziesięcioleciach PRL-owskiego (prawie) milczenia przeżywa swoisty renesans. Żyją jeszcze ostatni świadkowie tych wydarzeń.

Życie religijne na krawędzi

I właśnie dla lepszego zrozumienia historii powstania ważne jest uwzględnienie tego, jak wyglądało wówczas życie religijne. Oczywiście w bezpośredni sposób nie miało ono szans wpłynąć na przebieg działań wojennych, jednak na nich opowieść o powstaniu się nie kończy. Dzisiejszy warszawiak, Polak czy odwiedzający stolicę turysta może zadać sobie istotne pytanie – mianowicie, co dla ludzi wówczas żyjących było ważne i w jaki sposób próbowali sobie radzić z nieprzystającą do marzeń rzeczywistością? Gdy próbujemy znaleźć na nie odpowiedź, okazuje się, że nie da się jej udzielić w sposób pełny, omijając życie religijne ówczesnych mieszkańców. Dla wielu z nich istnienie sfery duchowej człowieka było oczywiste, a dbanie o nią konieczne, czego naturalną konsekwencją w większości przypadków były praktyki religijne.

Jednocześnie temat życia religijnego w tak trudnych warunkach jest dość ciekawy i istotny dla badania historii Kościoła – czy szerzej – różnych religii, bo nie tylko o katolikach w niniejszej książce mowa. W czasach pokoju religie funkcjonują na określonych zasadach, mają charakterystyczne dla siebie praktyki, prawa, liturgie, są jasno określone struktury. Podczas wojny wiele z tych rzeczy ulega zmianie – okazuje się, że nie ma możliwości dotrzymać wszystkich warunków, które są w prawach postawione. W takiej sytuacji trzeba z części tych zasad zrezygnować. Naturalne jest przy tym, że w pierwszej kolejności rezygnuje się z tego, co jest mniej ważne, a zostawia to, co najważniejsze. Badanie religijności w warunkach wojennych – w tym przypadku konkretnie powstania warszawskiego – może pokazać, co było najważniejsze wówczas w religijności tamtego okresu. Z jakich przepisów prawa kanonicznego można było zrezygnować, a które mimo wszystkich przeciwności starano się zachować. Z jakich modlitw, liturgii rezygnowano, a jakie mimo wszystko miały miejsce. Takie spojrzenie może pomóc zrozumieć głębiej, co jest istotą opisywanych praktyk religijnych.



eprasa.pl e7783acae2

PŁK JÓZEF ROKICKI

JEGO „BLASKI I CIENIE”

„W PONURYM BILANSIE OSTATNIEJ WOJNY ŚWIATOWEJ UTRATA NIEPODLEGŁOŚCI POLSKI, MIMO WIELKICH PORYWÓW I WZLOTÓW NASZEGO DUCHA NARODOWEGO, MIMO BOHATERSTWA I POŚWIĘCENIA ŻOŁNIERZA WALCZĄCEGO NA WSZYSTKICH FRONTACH ŚWIATA, JEST POZYCJĄ BODAJŻE NAJBARDZIEJ UJEMNĄ, POZYCJĄ, KTÓRA PRZEKREŚLIŁA ZAUFANIE POLAKÓW DO MOŻNYCH TEGO ŚWIATA”

Przedrukowujemy fragment książki Józefa Rokickiego „Blaski i cienie”. Wstęp do tomu napisał i opatrzył go przypisami Krzysztof Kosiński.

Jest to również najtragiczniejszy okres naszych dziejów, okres, z którego naród wyszedł ciężko okaleczony.

Straty biologiczne Polski są najwyższe w całym świecie, wynoszą 20 procent. Straciliśmy przeszło 6,5 mln własnych obywateli. Straty w obszarze sięgają ponad 75 000 km², szkody materialne około 15 miliardów dolarów[1]. Pomimo zakończenia wojny nie widać końca cierpień narodu. Udziałem naszym w dalszym ciągu jest niewola. Powstał stan, zaprzeczający wszelkim pojęciom prawa, moralności i sprawiedliwości, tryumfuje podłość – rys zasadniczy dyplomacji współczesnej – i bezmiar zakłamania. Dziś brutalnie depcze się wszystko, co dawniej uważano za świętość. Oto wynik zwycięskiego zakończenia wojny i nagroda dla państwa, które było najlojalniejszym z aliantów.

W zainteresowaniach wielkich mocarstw uważani jesteśmy za obiekt przetargu o niezbyt wielkim ciężarze gatunkowym. Jest dziś „wielkim” kontrahentom obojętne, czy Polska, która według słów Roosevelta była „natchnieniem narodów”, zgadza się na tę krzywdzącą



rolę, czy też nie[2]. Powyższy stan obciążać będzie ich sumienie w perspektywie historycznej.

A my, czy jesteśmy bez winy?

[...]

Bilans powstania

Bilans powstania przedstawia się dla nas fatalnie.

Wielka Brytania, według oficjalnej statystyki, straciła na wszystkich frontach świata w ciągu pięciu lat wojny w zabitych 300 tysięcy żołnierzy; my, naturalnie hojnie szafując krwią własnego Narodu, pobiliśmy wszystkie rekordy, tracąc w ciągu dwóch miesięcy 250 tysięcy mieszkańców stolicy, niszcząc całą Warszawę i nagromadzone w niej zabytki i pamiątki kultury polskiej, nie mówiąc już o mieniu prywatnym mieszkańców. Naród Polski nie chciał powstania i nie było obawy, by wybuchło ono samorzutnie, a ewentualne utrzymanie w ryzach posłuszeństwa zapalnej młodzieży było zadaniem dowódców. Ale wydaje mi się, że ten postulat był niewykonalny, ponieważ wszyscy „swoi” oficerowie w Komendzie Głównej i Okręgu Warszawa byli właśnie pionierami czynu powstańczego. Niesumiennie i nieuczciwie wyzyskany był w kraju patriotyzm polskiej młodzieży, aby w Londynie i w lecie 1945 r. przez usta gen. „Bora” obciążyć ją odpowiedzialnością za spowodowanie wybuchu powstania.

P. Zygmunt Zaremba[3] w swej broszurze „Powstanie sierpniowe”, precyzując bilans powstania, mówi (str. 70): „Ale zademonstrowaliśmy i wobec świata, i wobec własnego narodu nasz ideał Wolnej Polski”[4].

Obawiam się, że kilka takich demonstracji, a „ideał Wolnej Polski” będą wyrażały tylko... cmentarze – i że bliscy bę-

eprasa.pl e7783acae2

dziemy realizacji słów wieszcza o krainie „mogił i krzyżów”[5].

Dowodzenie

Powstanie, jeżeli chodzi o przebieg walk, nie stanowiło zwartej całości. Każda dzielnica, szczególnie od drugiej połowy sierpnia, żyła swoim życiem, prowadząc odrębne walki.

Związek ze Śródmieściem, gdzie mieściła się kwatera dowódcy powstania, był natury raczej formalnej, uczuciowej i informacyjnej, a w stosunku do Mokotowa prawie nigdy operacyjnej.

Na stabilizację tego stanu wpłynęły przede wszystkim: brak bezpośredniej łączności między Mokotowem i Śródmieściem (droga radiowa przez Londyn, a w pewnych tylko okresach kanałami), brak odwodów na szczeblu dowódcy powstania, przy pomocy których mógłby wpływać na bieg walk w innych dzielnicach (gdyby nawet odwody takie istniały, to nie miałyby możliwości dotarcia do punktów wymagających wsparcia) i wreszcie brak centralnych magazynów zaopatrzeniowych, przy pomocy których dowódca normalnie żywi walkę.

Dowodzenie mego przełożonego w stosunku do Mokotowa ograniczało się do przesyłania mi (w wypadkach funkcjonowania drogi kanałowej) odpisów swoich meldunków sytuacyjnych, przedstawianych dowódcy AK. Przeważnie były to meldunki sprzed siedmiu, a w najlepszym wypadku sprzed czterech dni i w zasadzie nie posiadały już cech aktualności. Spełniały one rolę informatora o tym, co działo się w innych dzielnicach. W tym wypadku nawet odnośny punkt meldunku „Montera”: „zamiar”, prawie codziennie inny, nie miał dla mnie praktycznego znaczenia.

Tylko jeden raz „Monter” miał okazję poważnej interwencji operacyjnej na rzecz dzielnicy mokotowskiej, mianowicie podczas nakazanych przez siebie działań zaczepnych oddziałów mokotowskich w dniach 27 i 28 sierpnia 1944 r. z rejonu Sielc na stację pomp na Górnym Czerniakowie. W związku z tym prosiłem „Montera” o nakazanie oddziałom Śródmieścia wykonania równoczesnego natarcia z Fortu Czerniakowskiego w kierunku Sielc, na co „Monter” wyraził zgodę, zawiadamiając mnie, że odpowiednie rozkazy oddziałom Górnego Czerniakowa zostały wydane. Jest to fakt, który może potwierdzić szef sztabu Mokotowa i depesze w aktach.

Jak się później okazało, własnymi siłami nie byłem w stanie pokonać dwukilometrowej przestrzeni zacięcie bronionego miasta, a zaimprowizowana przez oddziały Górnego Czerniakowa, zamiast natarcia, „demonstracja ogniowa”, polegająca na rzuceniu kilkunastu granatów i bezładnej nocnej strzelaninie z kb, nie mogła mi nic pomóc. Wróg natomiast miał możność skoncentrowania swych wysiłków przeciwko nacierającym oddziałom mokotowskim. Z niewiadomych mi powodów „Monter” nie skorzystał z wyjątkowej okazji „bicia się razem”, wolał „maszerować i bić się oddzielnie”.

Polityka personalna dowódcy powstania w stosunku do załogi Mokotowa była nieprzyjazna. Przedstawione przeze mnie wówczas wnioski „Monter” odrzucił, motywując to, że będą załatwione po wojnie.

Jako „akt dowodzenia” „Montera” pozostają niefortunne jego odezwy z dnia 5 czy 6 września[6] do żołnierzy powstańczej Warszawy, obiecujące radykalną zmianę niedoli w przeciągu siedmiu do dziesięciu dni. Odezwy te, po upływie terminu „wyznaczonego” na poprawę sytuacji, wywołały w duszach żołnierzy kryzys zaufania do dowództwa powstania. Stanowiły one drażliwy temat, poruszany stale przez moich rozmówców. Notował to i codziennie meldował mi szef II oddziału por. „Miron”[7].

Polak kocha Ojczyznę, jest bohaterski, może romantyczny i niezmiernie ofiarny, lecz posiada bardzo wrażliwą psychikę, która mocno reaguje na łudzenie go przez przełożonych.

---

1 Straty na rzecz Sowietów sięgają około 40 proc. terytorium sprzed roku 1939, podczas gdy tzw. kompensaty na zachodzie nie pokrywają okaleczenia Polski na wschodzie [przyp. Autora].

2 Franklin Delano Roosevelt (1882–1945) – prezydent Stanów Zjednoczonych w latach 1933–1945. Przytaczane słowa pochodzą z listu skierowanego przezeń 5 lipca 1941 r. do prezydenta RP na uchodźstwie Władysława Raczkiewicza. Pełne brzmienie cytatu: „Bohaterski opór, jaki naród polski stawiał w ostatnich dwóch latach, jest natchnieniem nie tylko dla Ameryki, ale dla wszystkich ludów miłujących wolność”.

3 Zygmunt Zaremba „Wit Smrek” i in. (1895–1967) – od 1912 r. działacz PPS, w 1917 r. współtwórca Zjednoczenia Socjalistycznego Polskiego na Ukrainie, od 1919 r. członek Rady Naczelnej oraz Centralnego Komitetu Wykonawczego PPS, współorganizator tzw. Centrolewu w 1930 r., publicysta m.in. „Robotnika” i „Pobudki”, twórca koncernu prasowego „Zespół Czasopism PPS”, w 1937 r. oponent Wandy Wasilewskiej w RN PPS, we IX 1939 r. współorganizator Robotniczych Batalionów Obrony Warszawy, współtwórca konspiracyjnej PPS-WRN (krypt. „Koło”), od I 1944 r. przedstawiciel PPS-WRN w RJN, od 2 VIII do 4 X 1944 r. wydawca „Robotnika” w Śródmieściu, pozostał w konspiracji, zwalczany przez prokomunistyczną „lubelską” PPS, wobec niemożności działalności prawowitej PPS zagrożony aresztowaniem, od III 1946 r. na emigracji.

4 Pierwsze dwa wydania Powstania sierpniowego Zygmunta Zaremby ukazały się konspiracyjnie w XI 1944 r. i VI 1945 r. Następnie w Londynie ukazały się dwa wydania (1945 i 1946) poprawione i uzupełnione. Ppłk Rokicki przypuszczalnie korzystał z wydania londyńskiego z 1946 r., z przedmową Adama Ciołkosza. Zob. Z. Zaremba, „Żeby chociaż świat wiedział”. Obrona Warszawy 1939. Powstanie Sierpniowe 1944, oprac. O. Blatonowa, A.K. Kunert, Warszawa 2010, s. 288, 303–307.

5 Cytat z „Irydiona” Zygmunta Krasińskiego odnoszący się do Polski po klęsce Powstania Listopadowego. W pełnym brzmieniu: „Idź na północ w imieniu Chrystusa – idź i nie zatrzymuj się, aż staniesz na ziemi mogił i krzyżów – poznasz po milczeniu mężów i po smutku drobnych dzieci – po zgorzałych chatach ubogiego i po zniszczonych pałacach wygnańców – poznasz ją po jękach aniołów moich przelatujących w nocy”; Z. Krasiński, „Irydion”, w: „Pisma Zygmunta Krasińskiego”, Tom II, Nakładem Karola Miarki, Mikołów–Częstochowa 1912, s. 190.

6 Chodzi prawdopodobnie o rozkaz z 7 IX 1944 r., w którym była mowa o nadejściu pomocy w ciągu 4–5 dni.

7 Zob. przypis 831 Ryszard Osęk-Nowicki.



FOT. MPW



GRZEGORZ MAJCHRZAK

Biuro Badań Historycznych IPN

Z KOMUNISTYCZNEGO RAJU UCIEKALI WSZYSCY – OD ZWYKŁYCH OBYWATELI PO JEGO „ELITY". WŚRÓD UCIEKINIERÓW NIE BRAKOWAŁO RÓWNIEŻ SPORTOWCÓW, TAKŻE TYCH O GŁOŚNYCH NAZWISKACH. PRZYCZYNY TYCH UCIECZEK BYŁY RÓŻNE – OD NIEMOŻNOŚCI ZAGRANICZNEGO TRANSFERU, POPRZEZ CHĘĆ LEPSZEGO ŻYCIA, PO MIŁOŚĆ – MOŻLIWOŚĆ BYCIA Z BLISKĄ OSOBĄ

FOT. PAP/CAF/HENRYK GRZĘDA

Władysław Skonecki uciekł do Francji w 1951 r.

SPORTOWCY TEŻ WIALI NA ZACHÓD

eprasa.pl e7783acae2

Ten ostatni powód był przyczyną decyzji Haliny Góreckiej – znakomitej sprinterki, która należała do słynnego polskiego lekkoatletycznego Wunderteamu, a największe sukcesy (złoto w 1964 r. w Tokio i brązowy medal olimpijski w Rzymie w 1960 r.) odnosiła w sztafecie 4 x 100 metrów. W marcu 1965 r. wyjechała ona do Niemieckiej Republiki Federalnej na zawody lekkoatletyczne w Dortmundzie (dwumecz Polska–RFN). Do PRL już nie wróciła. Jak opisywano barwnie na łamach „Sterna": „Żółty Volkswagen podjechał na pierwszym biegu do szkoły sportowej w Kaisbergu i zatrzymał się. Kierowca znalazł sobie miejsce do zaparkowania z dala od głównych drzwi. Stamtąd mógł obserwować wejście, sam nie będąc widziany. Pozostał w samochodzie, zapalił papierosa i czekał. Po pięciu minutach opuściła budynek drobna, młoda kobieta o brązowych oczach i ciemnych włosach. Miała na sobie skromną sukienkę, w prawej ręce niosła torebkę. Rozejrzała się, jakby kogoś szukała. Gdy spostrzegła Volkswagena, ruszyła bardzo wolnym krokiem w jego kierunku. Mężczyzna siedzący za kierownicą, nie wysiadając, otworzył prawe drzwi, kobieta zajęła miejsce obok niego. Mężczyzna zapuścił silnik, dodał gazu i szybko odjechał". Górecka była co prawda mężatką, ale w jej małżeństwie – delikatnie rzecz ujmując – nie układało się najlepiej. Sama zainteresowana twierdziła, że było ono „wielką pomyłką w [jej] życiu". Tym tajemniczym mężczyzną z Volkswagena był Reinhold Herrmann, dawna miłość znakomitej lekkoatletki. Rozdzielił ich wyjazd jego rodziny do NRF w ramach akcji łączenia rodzin. Spotkała go ponownie w październiku 1963 r. w Kassel. To on zresztą ją namówił do ucieczki.

Podobne były powody ucieczki niespełna 22-letniego kolarza Jana Smyraka. Mimo młodego wieku wywalczył on w 1971 r. brązowy medal mistrzostw świata w jeździe drużynowej na czas. Rok później wyjechał na olimpiadę w Monachium. Start na niej zakończył się fiaskiem – upadkiem w czasie wyścigu indywidualnego. A młody kolarz – jak opisywała Służba Bezpieczeństwa – „odłączył się w ostatniej minucie w drodze ekipy na lotnisko". Powodem jego kroku miała być „kobieta Żydówka, emigrantka z Polski, przebywająca w Danii", z którą Smyrak planował ślub.

Czujni „smutni panowie"

W tym miejscu warto przypomnieć, że tego rodzaju ucieczkom starały się zapobiegać peerelowskie władze, zwłaszcza działacze sportowi i Służba Bezpieczeństwa. Jej funkcjonariusze zbierali informacje o sportowcach, którzy mogliby się na taki krok zdecydować. Nie zawsze jednak skutecznie. Nie pomagało również zabieranie paszportów czy zamykanie sportowców w miejscach zakwaterowania oraz pilne śledzenie ich kontaktów. Tak na marginesie, w przypadku takich imprez jak igrzyska olimpijskie – zwłaszcza letnie – za jedno z głównych zagrożeń SB uznawała właśnie tego rodzaju zdarzenia. I tak np. polski dwuboista Tadeusz Bafia – w przypadku, którego funkcjonariusze dysponowali informacjami, że „od dłuższego czasu nosi się z zamiarem pozostania za granicą kraju (RFN) [...] odmówi powrotu do kraju w czasie trwania igrzysk bądź bezpośrednio po ich zakończeniu" – wyjechał na zimową olimpiadę w Calgary w 1988 r. tylko dzięki „pełnej gwarancji" działaczy swojego klubu. Smaczku całej sprawie dodaje fakt, że było to Towarzystwo Sportowe Wisła-Gwardia Zakopane, czyli klub resortowy... W przypadku tych igrzysk olimpijskich Bafia nie był jedynym sportowcem podejrzanym o niechęć powrotu do ludowej ojczyzny. Do tego grona zaliczono również hokeistów Jerzego Christa, Leszka Jachnę, Franciszka Kuklę i Piotra Rybowskiego (który ostatecznie nie pojechał do Calgary), skoczka narciarskiego Jana Kowala oraz narciarkę alpejską Małgorzatę Bachledę-Szeligę (która również nie wyjechała). W przypadku panów ewentualna odmowa powrotu do kraju miała być warunkowana osiągnięciem dobrych wyników. Nieco inaczej rzecz się miała – według Służby Bezpieczeństwa – z Bachledą-Szeligą, która taki krok miała rozważać „z uwagi na stan materialny i ewentualną korzystną ofertę zawarcia związku małżeńskiego"... Kilka miesięcy później – przed letnią olimpiadą w Seulu – w gronie podejrzanych znaleźli się z kolei m.in. tyczkarz Marian Kolasa czy kajakarka Izabela Dylewska. Ostatecznie żadne z nich nie zdecydowało się na taki krok.

Wiejący piłkarze

Uciekali także inni sportowcy. Do najgłośniejszych i najliczniejszych ucieczek należały te w wykonaniu piłkarzy. Było ich sporo – wedle ustaleń historyka Sebastiana Pilarskiego w przypadku I ligi, czyli dzisiejszej ekstraklasy, na taki krok zdecydowało się co najmniej 50 graczy. Większość z nich „odmówiła powrotu" do Polski w latach 80. Również w ich przypadku powody były różne. I tak np. Marek Leśniak – zawodnik Pogoni Szczecin – uczynił tak w maju 1988 r. z powodu zakusów na niego działaczy Legii Warszawa. Szczecinianinem zainteresowany był Bayer 04 Leverkusen, zdobywca Pucharu UEFA (dzisiejszej Ligi Europejskiej) w 1988 r. Problem w tym, że z warszawskiego – wojskowego – klubu miał odejść za granicę Dariusz Dziekanowski, a działacze z Łazienkowskiej postanowili uzupełnić lukę po nim właśnie Leśniakiem. I dysponowali poważnym argumentem – obowiązkiem służby wojskowej. Marek Leśniak, któremu to zresztą zapowiedzieli, nie czekał jednak na ten ruch i po wyjazdowym meczu reprezentacji olimpijskiej z Danią wyszedł z hotelu, wsiadł do samochodu podstawionego przez działaczy Bayeru i odjechał...

Z kolei w przypadku bramkarza Śląska Wrocław Jacka Jareckiego przyczyną ucieczki w maju 1982 r. była miłość do innej młodej sportsmenki, która również zdecydowała się na taki krok. Była nią Gabriela Jarosz – mistrzyni Polski w tenisie z Górnego Śląska, która (wraz z rodziną) uciekła do RFN w 1981 r., w dwa miesiące przed wprowadzeniem stanu wojennego – ona wraz z matką samochodem, a ojciec z bratem jachtem. Kiedy jej chłopak przyjechał wraz z polską kadrą – w ramach przygotowań do hiszpańskiego mundialu – do Murrhardt, zjawiła się tam, aby go do tego nakłonić. Skutecznie, choć nie obyło się bez problemów. Jak to barwnie opisywał później Grzegorz Lato: „Oprócz naszej drużyny nikt tam nie mieszkał, a zawsze o 12 w nocy pensjonat był zamykany. [...] Jarecki pakował się i trochę zdezorientowany biegał po pensjonacie. Dlaczego zdezorientowany? Bo w żaden sposób nie mógł z niego wyjść. [...] Tam wszędzie zainstalowane były uchylne okna, które otwierały się tylko pod kątem i nie można było przez nie wyjść na zewnątrz. A główne drzwi były zamknięte. No ale ja miałem do nich klucze. [...] Pamiętam, że było koło czwartej nad ranem. Pozostali piłkarze i trenerzy spali. Jacek powiedział do nas: »Cześć, chłopaki«, wsiadł z dziewczyną do samochodu i pojechali. No i tyle". »

eprasa.pl e7783acae2

» Jeszcze inny był przypadek Jerzego Banasia – gwiazdy Górnika Zabrze i jednego z filarów kadry Kazimierza Górskiego. Na taki krok (w czerwcu 1966 r.) namówił go z kolei ojciec i to bynajmniej nie z miłości, lecz z chęci zysku – zarobku na synu... Banaś wraz z Konradem Bajgerem wykorzystali klubowy wyjazd do Szwecji. Obaj uciekli do Republiki Federalnej Niemiec. Takich przypadków w tym śląskim klubie było więcej, np. również w czerwcu 1966 r. – podczas pobytu zabrzan w Brunszwik – Waldemar Piotr Słomiany, jak informowała potem Misja Wojskowa PRL w Berlinie, „o godz. 3.45 wyszedł z hotelu i oddalił się w nieznanym kierunku". Prawdopodobnie po prostu chciał grać na Zachodzie. Groziła mu dyskwalifikacja przez Polski Związek Piłki Nożnej, ale ze względu na prawo do niemieckiego obywatelstwa nie uniemożliwiała mu ona gry w niemieckiej lidze. W każdym razie kolegom z pokoju (Włodzimierzowi Lubańskiemu i Rainerowi Kuchcie) oświadczył, że nie wraca do kraju i zostaje w RFN, „nie podając konkretnych powodów".

Drugi gest Kozakiewicza

Głośne były oczywiście nie tylko ucieczki piłkarzy, lecz również innych znanych sportowców – tenisisty Władysława Skoneckiego, boksera Dariusza Michalczewskiego, a zwłaszcza lekkoatlety Władysława Kozakiewicza. Ten ostatni zresztą – jak twierdzi – ucieczki nie planował, choć na Zachód wyjeżdżał z małżonką i dziećmi. Po tym jak podpadł polskim działaczom swoją postawą (m.in. nie wziął udziału w zawodach Przyjaźń-84, zorganizowanych w Moskwie w sierpniu 1984 r. w miejsce bojkotowanej przez kraje socjalistyczne letniej olimpiady w Los Angeles) oraz nie mógł startować – zwłaszcza w zachodnich mitingach – w barwach Polskiego Związku Lekkiej Atletyki i reprezentować kraju, postanowił (w 1985 r.) wyjechać do Republiki Federalnej Niemiec, aby zdobyć środki do życia. Jak potem wspominał w wywiadzie rzece przeprowadzonym przez Michała Pola: „Wjeżdżając w Gdańsku na prom »Rogalin« [...], wcale nie myśleliśmy, że to na zawsze, że to ucieczka. Chciałem trochę zarobić, postartować ile się da, i najpóźniej po zakończeniu sezonu letniego wrócić do Gdyni". Tak się jednak nie stało. Trzy tygodnie po tym, jak wystartował w pierwszym mitingu (w Bernie), peerelowska prasa napisała, że rzekomo uciekł do RFN i poprosił tam o azyl. Oczywiście niepokornego sportowca objęto dyskwalifikacją, zaczął go też ścigać urząd skarbowy. Kozakiewicz chciał nawet jechać do Polski, aby wyjaśnić zarzuty pod swoim adresem, ale odradzono mu, zauważając – całkiem zresztą słusznie – że po powrocie do PRL będzie mógł zapomnieć o wyjazdach za granicę.



FOT. RUTKIEWICZ/REPORTER

Dariusz Michalczewski (z prawej) wyjechał do Niemiec w 1988 r. Na zdjęciu podczas walki z Virgilem „Quicksilverem" Hillem o mistrzostwo świata WBA/IBF w wadze półciężkiej. Oberhausen, RFN, 13 czerwca 1997 r.

Prawie ćwierć wieku wcześniej – w 1951 r. – uciekł najlepszy wówczas polski tenisista Władysław Skonecki, który po meczu Pucharu Davisa ze Szwajcarią zamiast do Warszawy pojechał do Paryża. Jego przypadek jest o tyle podobny do casusu Władysława Kozakiewicza, że w wyniku decyzji peerelowskich władz miał nie wystąpić w prestiżowym turnieju Roland Garrosa. Tak na marginesie, znakomitego tenisistę poinformowano, że do kraju ma wracać, gdyż rzekomo Francuzi nie chcą mu dać wizy... W efekcie Skonecki w Paryżu zagrał, a emigracyjna prasa pisała, że „wybrał wolność". Sam zainteresowany swój krok tłumaczył: „Nie mogłem dłużej znieść systemu ucisku, w którym obecnie żyje się w Polsce". I dodawał: „Życie w Polsce stało się niemożliwe nawet dla sportowca takiego jak ja, który nigdy nie zajmował się polityką".

Z ludowej Polski sportowcy uciekali niemalże do końca. Jeszcze w kwietniu 1988 r. na taki krok zdecydowali się dwaj polscy bokserzy – Dariusz Kosedowski oraz Dariusz Michalczewski. Obaj podczas turnieju Inter Cup w Karlsruhe zwyczajnie odłączyli się od ekipy i zdecydowali na pozostanie w Republice Federalnej Niemiec. Bardziej znany – ze względu na późniejszą karierę – Michalczewski pytany o powód takiego kroku, w sytuacji kiedy w kraju miał właściwie wszystko, odpowiadał: „Chciałem mieć jeszcze lepiej". Taka zresztą motywacja nie należała do rzadkości. Owszem, czołowi polscy sportowcy żyli w PRL w zdecydowanie lepszych warunkach niż przeciętni Polacy, ale był nad nimi swoisty szklany sufit, który blokował ich karierę czy zarobki, poziom życia. I dlatego decydowali się na ucieczkę. Nie było ich wcale tak mało, o czym świadczy przytoczony wcześniej przykład piłkarzy. Ilu dokładnie, nie wiadomo – nikt do tej pory nie sporządził dokładnego zestawienia obejmującego zarówno tych już uznanych mistrzów, jak i zawodników utalentowanych, dobrze rokujących, ale jeszcze bez większego dorobku.

Dzisiaj już – na szczęście – nie muszą się decydować, czy to z powodu kariery, czy to z przyczyn osobistych, czy też innych, na ucieczkę z kraju. I nie muszą – o czym warto pamiętać – rozpoczynać trudnego życia na emigracji. Nikt też dziś nie robi z tych, którzy zdecydowali się reprezentować barwy innego państwa, zdrajców. Mało tego, to właśnie Polska stała się azylem dla czempionów z innych państw, o czym świadczy np. przypadek białoruskiej sprinterki Krysciny Cimanouskiej, która podczas letnich igrzysk olimpijskich w Tokio w 2021 r. poprosiła o azyl w naszym kraju...

eprasa.pl e7783acae2



PAWEŁ SKIBIŃSKI

1962 rok konfliktu we Francji o niepodległość Algierii

Z rokiem 1962 kojarzymy przede wszystkim kryzys kubański, mający miejsce jesienią tego roku. Doszło wówczas do bodaj najbardziej dramatycznej próby sił między ZSRS a USA, która mogła się zakończyć konfliktem nuklearnym. W tym samym czasie – niemal w tych samych dniach, gdy sowieckie głowice nuklearne zbliżały się na pokładach okrętów do Hawany – rozpoczął się Sobór Watykański II, wydarzenie kluczowe dla dziejów Kościoła katolickiego w minionym stuleciu.

Jednak dla Francuzów i Algierczyków najważniejsze w tym roku było zakończenie wieloletniej wojny algierskiej i ogłoszenie niepodległości przez Algierię, dotychczas integralną część Republiki Francuskiej, położoną na kontynencie afrykańskim. Wiosną tego roku został aresztowany w Algierze gen. Raoul Salan – lider OAS (Organizacji Tajnej Armii), podziemnego ugrupowania broniącego zbrojnie idei Algierii Francuskiej. Salan miesiąc później po krótkim procesie został skazany przez francuski trybunał wojskowy na dożywotnie więzienie.

Nie byłoby w tym nic dziwnego – przecież OAS było organizacją terrorystyczną, która starała się uśmiercić prezydenta V Republiki, gen. Charlesa de Gaulle'a – gdyby nie fakt, że to Salanowi w znacznej mierze de Gaulle zawdzięczał swoje stanowisko.

Kim był ów algierski generał? Salan urodził się w 1899 r. w rodzinie urzędniczej. Sam generał kojarzony był z radykalną prawicą, jednak miał rodzonego brata, który był aktywnym działaczem komunistycznym. Gen. Salan walczył w I wojnie światowej, m.in. pod Verdun, a następnie w okresie międzywojennym służył kolejno w Maroku, Syrii i francuskich Indochinach. W 1939 r. został wysłany do Etiopii, by tam wspierać irredentę skierowaną przeciwko Włochom. Odbył kampanię francuską w 1940 r. Następnie został przez władze Vichy wysłany do Afryki Zachodniej, a później do Algieru. W 1944 r. walczył w szeregach armii francuskiej na południu Francji, a następnie wkroczył do Niemiec. Został odznaczony kilkukrotnie Legią Honorową, a w sumie okazał się być oficerem o największej liczbie odznaczeń w całej francuskiej armii.

Od 1945 r. Salan walczył w Indochinach, a w 1952 r. został głównodowodzącym wojsk francuskich w wojnie przeciwko komunistycznemu Wietkongowi, jednak pełnił tę funkcję jedynie przez rok. W 1956 r. objął stanowisko głównodowodzącego w rozdartej od kilku lat wojną domową Algierii, gdzie arabscy lewicowi zwolennicy niepodległości tego kraju walczyli przeciwko zwolennikom pozostania w ramach Francji.

W 1958 r. gen. Salan kierował powstałym w Algierze Komitetem Ocalenia Publicznego, który utorował drogę do prezydentury gen. de Gaulle'owi. Sam Salan nigdy nie był jednak gaullistą, lecz jako były zwolennik Vichy sympatyzował raczej ze skrajną prawicą. W ciągu zaledwie kilku miesięcy okazało się, że program obrony Algierii Francuskiej, za którym opowiadał się Salan, nie odpowiadał zupełnie de Gaulle'owi. Uważał bowiem, że jest on niemożliwy do zrealizowania i sam stopniowo dążył do zakończenia konfliktu oraz uniezależnienia Algierii od Paryża.

Przeniesiony przez nowe władze w stan spoczynku Salan – wraz z trzema innymi wysokimi rangą dowódcami wojskowymi – podjął w 1961 r. próbę zamachu stanu, nazwaną przez historyków „puczem generałów". Wystąpienie wojskowych okazało się jednak bezowocne, a w jego wyniku dwóch organizatorów oddało się w ręce rządu i zostało skazanych na wieloletni areszt domowy, dwóch pozostałych zaś – m.in. Salan – przeszło do podziemia, stając na czele OAS.

W kwietniu 1962 r. – jak już wspomniałem – Salan został aresztowany. W wyniku procesu – ku niezadowoleniu de Gaulle'a – skazano go jedynie na dożywocie. Jednak nie odbył całości kary – w 1968 r. został zwolniony z więzienia, a w 1982 r. objęła go amnestia, w wyniku której przywrócono mu przywileje kawalera Legii Honorowej. Zmarł dwa lata później.

Spór między Salanem a de Gaulle'em był konfliktem między dwoma francuskimi patriotami, z których jeden opowiadał się za obroną słabnącego dziedzictwa imperium francuskiego, a drugi – za ścisłą realizacją interesu narodowego Francuzów. Okazuje się bowiem, że Salanowska wizja Algierii Francuskiej łączyła się z potrzebą integracji wielkiej liczby ludności muzułmańskiej, czego nie chciał zaakceptować Charles de Gaulle. Uważał on bowiem, że nie można myśleć o skutecznej integracji kilkudziesięciu milionów muzułmanów, którzy – w jego opinii – nigdy nie mogli się stać Francuzami w pełnym tego słowa znaczeniu. Dzisiejsze doświadczenia Francji z ludnością arabską wydają się w znacznej mierze potwierdzać ówczesne obawy francuskiego prezydenta. ■



Generał Raoul Salan walczył w Europie, Afryce i Azji w obronie imperium Francji

FOT. NATIONAALARCHIEF.NL; SHUTTERSTOCK

eprasa.pl e7783acae2

CENTRUM LEMKINA – NIC NIE ZOSTANIE ZAPOMNIANE

„PO KAŻDEJ WOJNIE KTOŚ MUSI POSPRZĄTAĆ. JAKI TAKI PORZĄDEK SAM SIĘ PRZECIEŻ NIE ZROBI" – TEN FRAGMENT WIERSZA „POCZĄTEK I KONIEC" WISŁAWY SZYMBORSKIEJ DOBRZE ODDAJE SENS DZIAŁALNOŚCI CENTRUM LEMKINA. DZIAŁAJĄCA PRZY INSTYTUCIE PILECKIEGO JEDNOSTKA NIEMALŻE OD POCZĄTKU WOJNY ZA NASZĄ WSCHODNIĄ GRANICĄ ZBIERA ŚWIADECTWA UKRAIŃSKICH CYWILI PO TO, ABY DOKUMENTOWAĆ ZBRODNIE POPEŁNIANE PRZEZ WOJSKA ROSYJSKIE



ALEKSANDRA KIERETA



Kateryna, wolontariusz Maltańskiej Służby Pomocy, zdjęcie wykonane w trakcie składania świadectwa dla Centrum Lemkina

FOT. INSTYTUT PILECKIEGO

Nigdy nie wiadomo, jak tym razem przebiegnie spotkanie. Czy mężczyzna o mocnych, dużych dłoniach na pewno wróci po przerwie na papierosa? A może kobieta w niebieskim polarze skapituluje przed kilkulatką, która od 10 min usiłuje się wdrapać na jej kolana? 30-letni Dima przeczuwa, że to może oznaczać koniec rozmowy. Ale nigdy nie naciska, co najwyżej przekonuje: „Twoje świadectwo jest ważne. Dzięki takim jak ty, będzie można ukarać sprawców". Oczy wszystkich uchodźców są do siebie podobne – można w nich dostrzec bezsilność i zmęczenie – choć różni ich wiek, wykształcenie, ale chyba najbardziej temperament. Bo jak inaczej wytłumaczyć to, że niektórzy wykazują się stoickim spokojem podczas trwającej półtorej godziny rozmowy o śmierci i wszechobecnym strachu, a inni wzruszają się na samo wspomnienie o domu? Dima już wie, kiedy przytulić, a kiedy po prostu pozwolić się wypłakać. Słucha, zapisuje, czasem o coś dopytuje. I mocno wierzy w to, że praca w Centrum Lemkina ma głęboki sens – nie tylko dla jego rodaków. Świadectwa, w przeciwieństwie do zeznań złożonych przed prokuraturą, nie są utajnione, dlatego cały świat może się dowiedzieć o tym, z czym od kilku miesięcy mierzą się Ukraińcy. A wiedza to potężne narzędzie.

Na Wschodzie bez zmian?

Dlaczego Dima pokłada nadzieję w instytucji powstałej przy Instytucie Pileckiego – jednostce, która (jak wyczytamy na stronie internetowej) przedstawia się jako „miejsce stworzone na potrzeby interdyscyplinarnej i międzynarodowej refleksji nad kluczowymi zagadnieniami XX wieku: totalitaryzmami niemieckim i sowieckim, a także konsekwencjami ich działań"? Kluczem wydaje się być – dość przewrotnie – właśnie zakotwiczenie w historii. Żeby to lepiej zrozumieć, porównajmy dwa świadectwa. Z pierwszą relacją można się zapoznać za pośrednictwem bazy „Zapisy Terroru", prowadzonej i udostępnianej przez instytut. Druga została zarejestrowana przez Centrum Lemkina.

„Pod murem po obu stronach trotuaru trupy ludności cywilnej leżały dość gęsto [...]. Zrobiłem opatrunki kilkudziesięciu osobom, kobietom i mężczyznom, przeważnie starszym. Robiąc opatrunki, zaobserwowałem, że z grup ludzi spędzonych na Zieleniak ronowcy wyciągnęli młodych chłopców, 16–17-letnich na oko, i prowadzili ich w kierunku szkoły powszechnej, gdzie przez cały czas rozlegały się strzały pojedyncze lub seryjne" (Stanisław Trojanowski, lekarz medycyny, 12 lutego 1948 r.).

„Gdy do miasta wjechał sprzęt wojskowy, ostrzeliwali z niego obiekty cywilne, szkoły, przedszkola. [...] na ulicach zaczęły pojawiać się ciała ludzi, którzy zginęli od odłamków lub od kul, i bardzo wielu ludzi, zwłaszcza starszych, którzy zmarli z głodu lub wychłodzenia. Ich zwłok nie miał kto zabrać [...]. Kiedy już udzielałam rannym pomocy, ludzie często podbiegali do mnie, czasem chwytali mnie i pytali, kiedy zacznę zabierać

eprasa.pl e7783acae2

zwłoki, dlaczego nie zabieram zmarłych, kto ma to robić" (Kateryna S., ratowniczka medyczna, 15 kwietnia 2022 r.).

Podobieństwo obu relacji jest uderzające – właściwie mogłaby je złożyć ta sama osoba. Sęk w tym, że dzieli je przestrzeń (tu Warszawa, tu Ukraina) i czas – aż 74 lata! To dowodzi, że każda wojna rządzi się tymi samymi „bezprawiami": bestialstwem, cierpieniem cywili, pomocą, która często przychodzi za późno. I są podobni zbrodniarze, których tożsamość ustalić niezwykle trudno. Z czasem jeszcze trudniej – wspomnienia się zacierają, dowody są szczątkowe albo ukaranie winnych nie znajduje się na liście priorytetów decydentów. Są też ludzie, którzy chcą iść dalej, zapomnieć... Choć bywa przecież tak, że o przestępstwach głośno się nie mówi (a czasem wręcz mówić nie wolno), zwłaszcza jeśli popełnił je zwycięzca.



FOT. INSTYTUT PILECKIEGO

Zbombardowany i ostrzelany Mariupol, na ulicach niepochowane ciała obrońców miasta, marzec 2022

O mordach opisanych przez doktora Stanisława Trojanowskiego świat się nie dowiedział, ale o historii opowiedzianej przez Katerynę już tak. Można było usłyszeć ją zarówno w polskich, jak i zagranicznych mediach, takich jak „Le Figaro", „Berliner Tageszeitung" czy „La Vanguardia". Bo tym razem „na Wschodzie" ma być inaczej – Centrum Lemkina powstało po to, aby zbrodnie popełnione przez rosyjskich żołnierzy zakorzeniły się w zbiorowej pamięci Europy i świata. Zgromadzony materiał ma też posłużyć jako materiał badawczy dla naukowców i dziennikarzy. Prof. Magdalena Gawin, dyrektor Instytutu Pileckiego, zaznaczyła wręcz, że „nie możemy czekać z gromadzeniem relacji. Jako historycy czujemy się zobligowani do tego, żeby stworzyć repozytorium z historiami osób, które doświadczyły agresji rosyjskiej, dzięki czemu zbrodnie zostaną utrwalone". Dlatego Centrum powołano już kilka dni po inwazji rosyjskiej na Ukrainę.

Wybór patrona nie był przypadkowy – aby lepiej zrozumieć tę decyzję, ponownie zwróćmy się ku przeszłości.

Świadek wieku ludobójstwa

Urodzony w żydowskiej rodzinie Rafał Lemkin (1900–1959) studiował prawo na Uniwersytecie Jana Kazimierza we Lwowie. Już wtedy, w latach 20., zdradzał zainteresowanie prawem karnym i analizował przypadki masowych zbrodni, jakie popełniono na grupach narodowych i religijnych (m.in. rzeź Ormian). W następnej dekadzie nie musiał już daleko szukać przedmiotu badań: narodziny faszyzmu i sowiecka polityka terroru stały się faktem. Szczególnie silne piętno na jego pracy odcisnął wywołany przez władze ZSRR wielki głód na Ukrainie, w wyniku którego zginęły miliony ludzi.

Po wybuchu II wojny światowej Lemkinowi udało się wydostać z Polski. W 1941 r. dotarł do Stanów Zjednoczonych, gdzie kontynuował swoją pracę. Tam też – mając na względzie swoje dotychczasowe badania i aktualne doświadczenie Holokaustu – ukuł nowe pojęcie: „ludobójstwo" (genocide). Definicję genocydu zawarł w książce „Rządy państw Osi w okupowanej Europie", opublikowanej w 1944 r.: „Przez ludobójstwo rozumiemy zniszczenie narodu lub grupy etnicznej. Pojęcie to ma oznaczać skoordynowany plan składający się z różnych działań zmierzających do zniszczenia istotnych podstaw życia grup narodowych, któremu towarzyszy zamiar unicestwienia tychże grup". Cztery lata później Narody Zjednoczone jednogłośnie przyjęły Konwencję w sprawie zapobiegania i karania zbrodni ludobójstwa, zaś prasa informująca o tym wydarzeniu nazwała dokument znacznie bardziej chwytliwie, tj. Konwencja Lemkina.

Instytut Pileckiego upowszechnia dorobek polskiego prawnika żydowskiego pochodzenia poprzez projekt „Lemkin 2018–2023", w ramach którego organizuje seminaria i konferencje naukowe czy opracowuje wystawy (stacjonarne i wirtualne). Wybór Rafała Lemkina na patrona ośrodka dokumentującego zbrodnie popełnione na cywilach jest zatem naturalną konsekwencją i kontynuacją działalności instytucji.

Machina Centrum Lemkina

Centrum Lemkina działa przez wolontariuszy, z którymi współpracuje kilkadziesiąt przeszkolonych przez psychologów osób z Ukrainy i Polski, ale jako jednostka powstała przy instytucie naukowym może liczyć na wiedzę historyków, politologów czy socjologów. Przy ich pomocy zostały zresztą opracowane ankiety, które wolontariusze wypełniają wraz z Ukraińcami, odwiedzając ośrodki dla uchodźców rozsiane po całej Polsce. Złożenie świadectwa jest bezpieczne, bo ankiety są anonimowe. W następnym kroku dokumenty poddawane są weryfikacji. „Katalogując ankiety, sprawdzamy miejsca i daty. Prowadzimy bazy danych, dzięki którym możemy zweryfikować, czy dana miejscowość była okupowana w określonym momencie; pomocne jest też krzyżowe zestawianie relacji osób, które mogły mieć podobne doświadczenia, ponieważ przyjechały do nas z tego samego regionu" – mówi Jakub Kiersikowski, szef Centrum. Obecnie świadectwa są udostępniane w formie wybranych fragmentów, ale w przyszłości zostaną zdigitalizowane i zamieszczone na specjalnej platformie. Każdy internauta będzie mógł zobaczyć metadane (np. krótki opis miejsca zbrodni), ale dostęp do pełnych świadectw uzyskają – po weryfikacji – naukowcy i dziennikarze.

A ci ostatni już korzystają z szybko powiększających się zasobów Centrum, dzięki czemu marzenie Dimy powoli nabiera kształtu. Opinia publiczna dowiaduje się o konkretnych przestępstwach popełnionych przez wojska rosyjskie na jego rodakach. Być może tym razem uda się zapisać zbrodnie popełnione przez Rosjan w pamięci świata, a sprawców rozliczyć? Pracownicy Centrum Lemkina po cichu liczą również na to, że ich starania przyczynią się do wypracowania sposobu na to, aby w przyszłości zapobiec agresji Rosji na jakiekolwiek inne państwo.

eprasa.pl e7783acae2



W 20. rocznicę śmierci hrabiny Lanckorońskiej z PROF. JERZYM MIZIOŁKIEM rozmawia Włodzimierz Rędzioch

PROF. KAROLINA LANCKOROŃSKA

AMBASADOR POLSKI, HISTORYK I MECENAS SZTUKI

FOT. ZE ZBIORÓW PROF. JERZEGO MIZIOŁKA

eprasa.pl e7783acae2

W tym roku obchodzimy 20. rocznicę śmierci hrabiny Karoliny Lanckorońskiej (ur. w 1898 r.), zamiłowanej w historii badaczki sztuki włoskiej, działaczki społecznej i wielkiej ambasador Polski za granicami kraju. Zmarła w Rzymie 25 sierpnia 2002 r. w wieku 104 lat, po przeszło 50 latach spędzonych w Wiecznym Mieście, gdzie – zgodnie z jej życzeniem – została pochowana na historycznym cmentarzu Campo Verano. Ta szczególna rocznica stała się dla mnie okazją do rozmowy z prof. Jerzym Miziołkiem dobrze znającym ścieżki życia tej wspaniałej kobiety, która za swoje zasługi dla kraju została odznaczona Wielkim Krzyżem Orderu Odrodzenia Polski, a za swoje osiągnięcia naukowe i wspieranie polskiej humanistyki – doktoratem honoris causa Uniwersytetu Jagiellońskiego. Prof. Lanckorońska wraz z bratem Antonim założyła Fundusz im. Karola Lanckorońskiego, z czasem przekształcony w Fundację Lanckorońskich z Brzezia, która wspierała polskie instytucje naukowe zarówno w kraju, jak i za granicą oraz polskich naukowców przygotowujących rozprawy doktorskie i habilitacyjne. Wśród nich był również prof. Jerzy Miziołek. W latach 1981–1982 dzięki Fundacji studiował w Pontificio Istituto di Archeologia Cristiana w Rzymie, a następnie kilkakrotnie przebywał we Włoszech i w Londynie jako stypendysta Fundacji.

Włodzimierz Rędzioch

O bogatym życiu hrabiny Lanckorońskiej można by napisać wiele książek, więc trudno wyczerpać temat w jednej rozmowie. Zacznijmy zatem od jej zasługi dla nauki i dla Polski...

Prof. Jerzy Miziołek: Prof. Karolina Lanckorońska do końca życia pozostała w duchu i w życiu codziennym nauczycielem akademickim. II wojna światowa przerwała jej karierę jako docenta historii sztuki na Uniwersytecie Jana Kazimierza we Lwowie, ale potrzeba uczenia była ogromną siłą pobudzającą ją do działania także na emigracji, na którą skazały ją losy powojennej Polski. Brała udział w organizowaniu i funkcjonowaniu dwóch ważnych placówek naukowych: Polskiego Uniwersytetu na Obczyźnie w Londynie i – wraz z ks. Walerianem Meysztowiczem – Polskiego Instytutu Historycznego w Rzymie, który rozpoczął swą działalność już w 1946 r. „Lwów i Wilno (ks. Meysztowicz pochodził z Wileńszczyzny) – mówiła do mnie kilka razy prof. Lanckorońska – połączyły siły w celu promowania wiedzy o Polsce i jej kulturze na Zachodzie". Organizowano wykłady, fora dyskusyjne, badania nad dziejami Polski, a z czasem – gdy udało się pozyskać większe środki finansowe – rozpoczęto działalność wydawniczą. Od 1954 r. wydawany był rocznik „Antemurale", a od 1960 r. „Elementa ad Fontium Editiones", które zawierają materiały źródłowe do dziejów Polski z archiwów zagranicznych, m.in. z Watykanu. Następnie Instytut podjął się wydawania, rozpoczętej w 1915 r. przez Polską Akademię Umiejętności (PAU), serii „Acta Nuntiaturae Polonae". Dokonania tej placówki naukowej, ulokowanej w przestrzeni Wiecznego Miasta pomiędzy Piazza del Popolo i Watykanem, są wiekopomne. Ukazało się 28 tomów „Antemurale", 76 tomów „Elementa ad Fontium Editiones", w tym 25 opracowanych przez samą Lanckorońską, a ponadto do dnia jej śmierci w sierpniu 2002 r. opublikowano ponad 20 tomów serii „Acta Nuntiaturae Polonae" (Akt Nuncjatury Apostolskiej w Polsce). Gdy w 1990 r. ukazał się pierwszy tom tego wydawnictwa, w Watykanie miała miejsce szczególna audiencja, którą upamiętnia wykonana wówczas fotografia. Emanują z niej ogromne zadowolenie Ojca Świętego Jana Pawła II, niemal egzaltacja prof. Lanckorońskiej, widoczna w gestach i wyrazie twarzy, a także cicha radość i duma ks. Damiana Wojtyski, redaktora prezentowanego tomu i pomysłodawcy całej serii wydawniczej obliczonej na 90 tomów.

To zasługi dla nauki. A teraz pomówmy o zasługach dla Polski. Karolina Lanckorońska była wielką patriotką i działając na emigracji, zrobiła bardzo wiele również dla kraju.

Jednym z najważniejszych dokonań Fundacji Lanckorońskich i Instytutu było umożliwienie wyjazdów zagranicznych wielu badaczom z Polski. Otrzymywali bezcenną możliwość wyrwania się za żelazną kurtynę, by poznawać zabytki, nawiązywać kontakty naukowe, zbierać materiały w bibliotekach i archiwach. O atmosferze takich wyjazdów pięknie pisze w swoich „Wspomnieniach" prof. Klementyna Żurowska, niegdyś współwięźniarka prof. Lanckorońskiej w obozie koncentracyjnym w Ravensbrück, a z czasem profesor historii sztuki na Uniwersytecie Jagiellońskim. Prof. Żurowska opisuje wyprawę naukową do Francji, w której uczestniczyli również Lech Kalinowski i Wanda Altendorf. Stypendyści Fundacji wyjeżdżali też do Anglii, Austrii, Niemiec, Grecji, lecz także głównie do Italii, ukochanego kraju nie tylko prof. Lanckorońskiej, ale też jej ojca – hrabiego Karola Lanckorońskiego (1848–1933). W celu uruchomienia tej bezcennej inicjatywy pozwalającej na rozwój karier naukowych humanistów z Polski Antoni Lanckoroński (1893--1965), brat prof. Lanckorońskiej, utworzył w 1960 r. wspomniany już Fundusz im. Karola Lanckorońskiego, który siedem lat później został przekształcony w Fundację Lanckorońskich. Dzięki Fundacji setki historyków, archeologów, historyków sztuki, filologów klasycznych, historyków filozofii z wszystkich ważniejszych środowisk naukowych w Polsce uzyskało możliwość dłuższych i krótszych pobytów w muzeach, bibliotekach i archiwach. Otrzymywali jak gdyby nowe życie naukowe, impuls do ambitnych działań i wiarę w potęgę nauki. Dzięki stypendiom Fundacji Lanckorońskich powstały setki publikacji ogłaszanych w czołowych pismach o światowej renomie. Tym samym dokonywało się prawdziwe umiędzynarodowienie polskiej humanistyki. Ale prof. Lanckorońska wspierała też hojnie liczne polskie instytucje naukowe, m.in. PAU w Krakowie, Uniwersytet Jagielloński, KUL, a także Bibliotekę Polską w Paryżu i Instytut Sikorskiego w Londynie. Pamiętam jeden z pięciu tomów „Corpus Basilicarum Christianarum Romae", bezcennego wydawnictwa poświęconego wczesnochrześcijańskim kościołom Rzymu, który przywiozłem z Wiecznego Miasta dla Biblioteki KUL, wracając z jednego z pobytów stypendialnych. Przejął go ode mnie w Warszawie ówczesny dyrektor Biblioteki dr Andrzej Paluchowski. »

eprasa.pl e7783acae2

» Ileż to nowych książek wydanych we wczesnych latach 80. – tych w USA, Anglii, we Włoszech i Francji – mogliśmy przeczytać w Bibliotece Instytutu Historii Sztuki Uniwersytetu Jagiellońskiego, wówczas jeszcze w murach Collegium Maius. Wielu ze stypendystów Fundacji posiada szczególne osobiste pamiątki – książki z pięknie napisaną dedykacją prof. Lanckorońskiej; moją pamiątką jest monumentalny tom Pasquale Testiniego „Archeologia Cristiana" z 1980 r.

Jako stypendysta Fundacji Lanckorońskich miał profesor okazję poznać hrabinę. Czy mógłbym poprosić o jakieś osobiste wspomnienia o Karolinie Lanckorońskiej?

Od 6 stycznia, a więc od Święta Trzech Króli, do 17 lipca 1982 r. mieszkałem w Polskim Instytucie Historycznym ulokowanym na trzecim piętrze pięknego, eklektycznego w charakterze gmachu, przy via Virginio Orsini 19A. Mój pokój sąsiadował z gabinetem profesor, która mieszkała piętro wyżej. Spotykaliśmy się codziennie; pytała, nad czym pracuję, jak idą studia w Papieskim Instytucie Archeologii Chrześcijańskiej i wreszcie któregoś dnia zapytała: „Czy nie posłuchałby pan moich wykładów o sztuce Michała Anioła?". Tak więc w pierwszym półroczu 1982 r. dostąpiłem zaszczytu – jako jedyny słuchacz – wysłuchania całej serii wykładów prof. Lanckorońskiej o geniuszu włoskiego renesansu, które odbywały się w każdą sobotę pomiędzy godz. 12.00 a 12.55. Do każdego spotkania musiałem się przygotowywać, otrzymując instrukcję, co powinienem przeczytać w Bibliotheca Hertziana. Jedną z lektur przed wykładem o „Stworzeniu Ewy" na sklepieniu kaplicy Sykstyńskiej była książka Charlesa Seymoura omawiająca twórczość Jacopo della Quercia, w tym jego reliefy na fasadzie San Petronio w Bolonii. W trakcie wykładu stało się jeszcze bardziej jasne, że Michał Anioł studiował dzieła swoich poprzedników, by swoją sztukę wynieść na tak niesłychane wyżyny. Coś z duchowości „Stworzenia Ewy" Quercia jest zawarte w scenie namalowanej w Sykstynie, a jednocześnie emanuje z niej indywidualny, unikatowy styl Michała Anioła. Wykłady prof. Lanckorońskiej miały niezwykły, magiczny wprost charakter; wiele z nich niemal dokładnie pamiętam do dziś. Profesor Lanckorońska wykładała niezwykle klarownie, z wielką miłością do artysty, o którym pisała wielokrotnie (poświęciła mu też rozprawę doktorską). Lekko podniesiony głos i wspaniałe ilustracje, a były nimi stare ryciny, wywoływały atmosferę niemal podniosłą, niezapomnianą. Uczona dotykała przecież tajemnicy geniuszu, a przez okno pokoju, w którym odbywał się wykład, widać było kopułę bazyliki św. Piotra. Patrząc na to dzieło Michelangela, wyczuwało się też bliskość kaplicy Sykstyńskiej z jej jedynymi w swoim rodzaju freskami. Znakomita, niemal natchniona profesor szczególnie wiele uwagi poświęciła późnym dziełom Michała Anioła, a więc tym wykonanym w ostatnich 30 latach życia (1534–1564): „Sądowi Ostatecznemu", freskom w Cappella Paolina, dziełom wykonanym dla Vittorii Colonny. Nieledwie wspomniała swoje własne prace na ten temat, a przecież obszerny fragment jej rozprawy doktorskiej poświęconej „Sądowi Ostatecznemu", obronionej w Wiedniu w 1926 r., wszedł na stałe do literatury o sztuce i jest do dziś powszechnie cytowany. W czasie tych wykładów usłyszałem po raz pierwszy o Vittorii Colonnie i jej relacjach z Michałem Aniołem, o zwolennikach reformy Kościoła, takich jak Reginald Pole, i kręgu tzw. Spirituali, którzy wspierali działania papieża Pawła III prowadzące do soboru trydenckiego. W całej palecie porównań pojawiały się nie tylko odniesienia do inspiracji antykiem klasycznym w „Sądzie Ostatecznym", lecz także Kopernikiem. Oto jej słowa nieco sparafrazowane: „Ruch jest naczelną zasadą całej kompozycji w tym arcydziele, które jest współczesne rewolucji kopernikańskiej". Po latach miałem się dowiedzieć, że tuż przed II wojną światową prof. Lanckorońska złożyła do druku w Lwowskim Towarzystwie Naukowym obszerną rozprawę pt. „Problem religijny w ostatnich dziełach Michała Anioła", która nie została do dziś opublikowana. W czasie omawianych tu wykładów profesor przekazywała mi wyniki swoich badań, które po wojnie zarzuciła, poświęcając wszystko Najjaśniejszej Rzeczypospolitej; tak mówiła o Polsce, która dla niej była wielonarodowa: polsko-litewsko-małoruska (ukraińska) i sięgała daleko na Wschód. Wracając jeszcze na chwilę do wykładów prof. Lanckorońskiej o Michelangelo, warto nadmienić, że wielu innych stypendystów zostało obdarowanych jej prelekcjami i dotyczyły one także problematyki konserwacji fresków Sykstyny, którymi bardzo się interesowała. Jest prawdopodobne, że wspierała ona Jana Pawła II, za którego pontyfikatu tej konserwacji dokonano, w niezwykle udanych próbach „opowiadania" o misterium Sykstyny, o czym miałem okazję pisać na łamach „wSieci Historii".

Co należałoby zrobić, by Polacy lepiej poznali tę wspaniałą kobietę?

Musimy o niej więcej pisać, mówić w radiu i telewizji, robić filmowe dokumenty popularyzujące jej liczne dokonania, heroizm, niezłomny charakter i przeogromną miłość do Najjaśniejszej Rzeczypospolitej. Ponadto trzeba koniecznie opublikować: po pierwsze – jej większe i mniejsze studia o sztuce włoskiej, rozproszone w rozmaitych pismach, w których mowa jest nie tylko o Michelangelo, ale też o Rafaelu, Leonardzie da Vinci, Tintoretcie i weneckim malarstwie XVIII w.; po drugie – wspomnianą już rozprawę doktorską w tłumaczeniu polskim (została napisana po niemiecku i obroniona na Uniwersytecie Wiedeńskim w 1926 r.); po trzecie – wydać po polsku i ewentualnie po włosku rozprawę pt. „Problem religijny w ostatnich dziełach Michała Anioła". Praca ta jest jednym z najważniejszych dokonań naukowych tej wybitnej badaczki. O tym, jak wielką wagę przywiązywała do tej rozprawy, świadczy fakt, że uzupełniała ją jeszcze w latach 1945–1947. Z czasem ten pomysł zarzuciła, śledząc z Italii dramatyczną sytuację w powojennej Polsce i decydując się na poświęcenie się innym działaniom. Warto tu nadmienić, że jedyny egzemplarz rozprawy złożonej do druku w 1939 r. przewiózł kardynał Sapieha; dziś przechowywany jest w Archiwum Nauki PAN i PAU w Krakowie. Zarówno ta rozprawa, jak i dysertacja doktorska o „Sądzie Ostatecznym" Michała Anioła są dzięki wsparciu Fundacji Polska Wielki Projekt tłumaczone z niemieckiego na język polski i zostaną niebawem opublikowane – pierwsza z wymienionych jeszcze przed końcem br. Ale pełne przywrócenie ważnego miejsca prof. Lanckorońskiej w nauce światowej może się dokonać także poprzez wydanie przynajmniej części jej prac po włosku i angielsku. Właśnie przetłumaczona została na język włoski jej praca habilitacyjna z 1935 r. o dekoracji malarskiej Il Gesù – jednego z najsłynniejszych kościołów Wiecznego Miasta. Zostanie opublikowana przez włoskiego

eprasa.pl e7783acae2



FOT. ARCHIWUM NAUKI PAN I PAU W KRAKOWIE

wydawcę we współpracy z wybitnymi badaczami włoskiego baroku. Badacze ci, podobnie jak liczni uczeni zajmujący się twórczością Michała Anioła, wezmą udział w konferencji naukowej, która będzie miała miejsce w Rzymie.

No właśnie, przygotowuje pan profesor konferencję na temat Karoliny Lanckorońskiej. Co to będzie?

Będzie to konferencja międzynarodowa w sercu Rzymu – poświęcimy ją zarówno prof. Lanckorońskiej, jak i jej ojcu Karolowi Lanckorońskiemu, który nauczył ją miłości do Italii i do Rzymu w szczególności. Ponadto Karol Lanckoroński ogromnie zasłużył się w dziedzinie archeologii (prowadził m.in. wykopaliska w katedrze w Akwilei), pięknie opisał Rzym w swoich wspomnieniach z 1875 r. i zgromadził znakomity zbiór sztuki włoskiej, zwłaszcza renesansowej. Jak wiadomo, bardzo wiele dzieł z tej kolekcji utworzonej w Wiedniu trafiło w latach 1994 i 2000 do Zamków Królewskich w Krakowie i Warszawie. Także Karol Lanckoroński w pełni zasługuje na to, by na trwałe trafić do annałów sztuki włoskiej i do grona powszechnie znanych miłośników Italii. Może się to stać tylko wówczas, gdy pojawią się o nim publikacje po włosku i będzie o nim mowa w najbardziej prestiżowych miejscach Wiecznego Miasta. Tak więc w grudniu br. w murach Curia Iulia, Muzeów Kapitolińskich, w Istituto Nazionale di Studi Romani i w Fondazione Caetani wybitni specjaliści z Europy i Ameryki mówić będą o dokonaniach prof. Lanckorońskiej w dziedzinie badań nad twórczością Michała Anioła, Rafaela, Tintoretta, Tiepolo i o jej miłości do Rzymu, w którym przeżyła więcej niż pół wieku i gdzie spoczęły na wieki jej doczesne szczątki. By opowieść o wielkiej damie nauki polskiej była kompletna, musi się w tej narracji pojawić również jej ojciec – ogromnie zasłużony dla kultury polskiej. Podobnie jak prof. Karolina, tak i Karol Lanckoroński otrzymał Order Odrodzenia Polski (Polonia Restituta) i doktorat honoris causa Uniwersytetu Jagiellońskiego.

Czy poza wspomnianą książką z dedykacją ma pan profesor inne pamiątki po prof. Lanckorońskiej?

Mam jeszcze kilka innych książek, listy i pocztówki, ale przede wszystkim jestem w posiadaniu laski, którą można zobaczyć w jej ręku na licznych zdjęciach. Często przechodzę obok domu przy via Virginio Orsini, by wspominać czasy młodości i wykłady o Michelangelo. Byłem raz nawet na trzecim piętrze, gdzie mieścił się Instytut, w którym mieszkałem przeszło pół roku. To bardzo smutne, że to obszerne lokum sprzedano po śmierci prof. Lanckorońskiej – dziś mieści się tam rodzaj studia projektowego. Któregoś dnia zaszedłem ponownie i zapytałem portiera, czy jest czarna laseczka Contessy. Poprzedni portier, który Contessę pamiętał, przechowywał ją z pietyzmem, jak cenną pamiątkę. Nowy portier zaś chwilę się porozglądał i rzekł z ogromnym zadowoleniem, podnosząc laseczkę do góry: „Eccoci (Oto ona). Czy pan ją przygarnie?". Z ogromną radością przygarnąłem i przechowuję, jak prawdziwie wielką, jedyną w swoim rodzaju pamiątkę po wybitnej uczonej i wielkiej patriotce, której tak wiele zawdzięczam, podobnie jak bardzo liczni badacze z całej Polski.

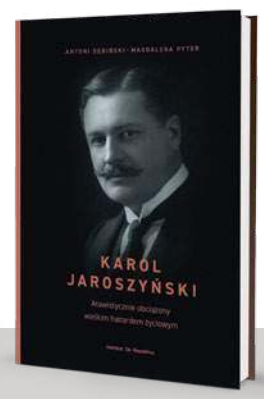
eprasa.pl e7783acae2



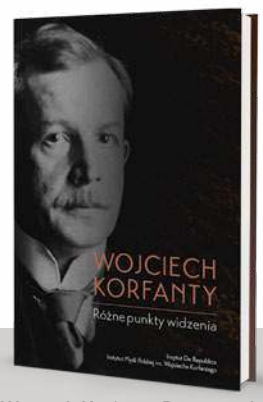
RAFAŁ ŁATKA

Biuro Badań Historycznych IPN

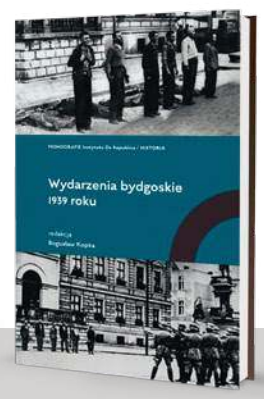
W KRĘGU KLIO



Antoni Dębiński, Magdalena Pyter, „Karol Jaroszyński. Atawistycznie obciążony hazardem życiowym", Warszawa 2022



„Wojciech Korfanty. Różne punkty widzenia", red. Zygmunt Woźniczka, Warszawa 2021



„Wydarzenia bydgoskie 1939 roku", red. Bogusław Kopka, Warszawa 2022

Nowości wydawnicze Instytutu De Republica

Nie minął jeszcze rok, od kiedy powstał Instytut De Republica utworzony z inicjatywy premiera Mateusza Morawieckiego, a już może się on pochwalić kilkoma sukcesami wydawniczymi. Wśród nich chciałbym zwrócić uwagę na trzy wartościowe publikacje, które mogą zainteresować naszych czytelników.

Na pierwszy plan wysuwa się bez wątpienia książka Antoniego Dębińskiego i Magdaleny Pyter poświęcona niezwykle ciekawej postaci, jaką był Karol Jaroszyński. Bohater ich opowieści pod koniec istnienia imperium carskiego był jednym z najbogatszych ludzi w Rosji. Zawdzięczał to sprytowi i talentowi do robienia interesów. Większość majątku utracił na skutek rewolucji bolszewickiej. Nie oznaczało to jednak zakończenia jego publicznej działalności. Jaroszyński był bowiem także polskim patriotą i człowiekiem religijnym. Można powiedzieć, że bez jego wkładu Katolicki Uniwersytet Lubelski prawdopodobnie nigdy by nie powstał. Dębińskiemu i Pyter udało się przedstawić jego sylwetkę w kompetentny sposób, mimo stosunkowo niewielkiej liczby archiwaliów dotyczących tego człowieka biznesu i filantropa. Będzie to z pewnością lektura interesująca nie tylko dla tych, którzy chcą się dowiedzieć czegoś więcej o początkach KUL-u.

Druga warta uwagi pozycja to zbiór studiów poświęconych Wojciechowi Korfantemu, przygotowany pod redakcją Zygmunta Woźniczki. Bez wątpienia okrągła rocznica odzyskania przez Polskę niepodległości w 2018 r. spowodowała znaczący wzrost zainteresowania tą postacią – co przyniosło też wiele nowych publikacji na jego temat. Recenzowany w tym miejscu tom nie ma na szczęście charakteru czysto okolicznościowego, gdyż nie tylko rzetelnie oddaje wiedzę na temat wybranych aspektów działalności jednego z „ojców polskiej niepodległości", lecz także dodaje nowe ustalenia. Wśród artykułów pomieszczonych w publikacji warto zwrócić szczególną uwagę na teksty: Grzegorza Kucharczyka przybliżające kontekst niemiecki aktywności Korfantego; redaktora tomu dotyczącego walki bohatera książki o Górny Śląsk toczonej na forum Reichstagu i Landtagu; Edwarda Długajczyka o podejściu Korfantego do genezy III powstania śląskiego; Karola Maklesa o jego lekturach i podejściu do słowa pisanego.

Trzecia z publikacji niedawno wydanych przez Instytut De Republica dotyka zagadnienia, które do dnia dzisiejszego nie zostało w pełni wyjaśnione i budzi spory wśród polskich i niemieckich historyków. Chodzi o tzw. wydarzenia bydgoskie 1939 r. Bogusław Kopka zebrał kilka interesujących przyczynków poszerzających naszą wiedzę historyczną na temat tego, co działo się w dniach 3 i 4 września 1939 r. w Bydgoszczy. Artykuły przybliżają nie tylko wydarzenia, lecz przedstawiają również ich genezę oraz kontekst historyczny (m.in. ciekawe studium

eprasa.pl e7783acae2

redaktora tomu o wojnie totalnej). Warto sięgnąć szczególnie do tekstów: Marka Romaniuka o funkcjonowaniu mniejszości niemieckiej w Bydgoszczy w latach 1920–1939; Marka Kornata o narracjach niemieckiej propagandy antypolskiej dotyczącej wydarzeń z 3 września; Janusza Kutty o „Bromberger Blutsonntag". Jednak zdecydowanie najciekawszym artykułem publikacji pozostaje artykuł Pawła Kosińskiego. Jego autor przybliża bilans ofiar dywersji niemieckiej i jej stłumienia. Kosiński pokazuje, jak wygląda stan wiedzy na ten temat i jak ciągle daleko jesteśmy od pełnej rekonstrukcji przebiegu wydarzeń bydgoskich z 3–4 września 1939 r. Zaskakuje m.in. to, że nie znamy nawet dokładnych przyczyn śmierci niemal dwóch trzecich ofiar, zaś tylko w przypadku 61 wskazano polskich żołnierzy jako sprawców ich śmierci. Należy wyrazić nadzieję, że autor tekstu będzie kontynuował swoje badania, które przyniosą dalsze nowe ustalenia w tej dziedzinie.



„Arcana" 2020 nr 3 (165), red. Andrzej Waśko

Czasopismo „Arcana" od wielu już lat pozostaje jedną z najważniejszych „wizytówek" szeroko rozumianego krakowskiego środowiska konserwatywnego. Na łamach dwumiesięcznika ukazują się teksty z zakresu kultury, historii i polityki. Przez wiele lat, od początku istnienia pisma, redaktorem naczelnym periodyku był znakomity historyk prof. Andrzej Nowak, zaś obecnie kieruje nim Andrzej Waśko, znany specjalista w zakresie polskiej literatury romantycznej. Numer 165 pisma jest szczególnie interesujący, gdyż znalazło się w nim kilka inspirujących analiz historycznych. Tom otwierają dwa ciekawe teksty poświęcone Rosji. Pierwszy z nich autorstwa A. Nowaka dotyczy rosyjskiego potencjału totalitarnego. Krakowski badacz pokazuje, jak reżim Putina i on osobiście wykorzystują zmanipulowany obraz historii do uzasadniania celów polityki wewnętrznej i zagranicznej, w tym agresji zbrojnej na Ukrainę. Nowak skutecznie zrekonstruował światopogląd i wyobrażenia Putina dotyczące „imperialnych celów" Kremla oraz przybliżył kluczowe dzieła rosyjskich historyków (a w zasadzie należałoby powiedzieć propagandzistów) służące do uzasadniania jego politycznej agendy. Artykuł redaktora emeritusa uzupełnia analiza Łukasza Dryblaka, który syntetycznie ujął cele strategiczne Rosji i uwarunkowania jej polityki zagranicznej. W numerze nie brakuje również innych ciekawych tekstów. Wśród nich na pierwszy plan wysuwają się uwagi Macieja Zakrzewskiego o dzisiejszym stanie państwa polskiego – jego sukcesach (dość nielicznych) i porażkach. Szczególnie interesujące są jego rozważania o tym, dlaczego Polakom nie udało się po 1989 r. zbudować dobrze funkcjonującego państwa. Zwrócił także uwagę na brak „elementu spajającego" polską politykę po wstąpieniu do Unii Europejskiej i NATO. Zgadzam się z diagnozą, którą przedstawił, mam jednak nadzieję, że w którymś z kolejnych numerów napisze, jakie rozwiązania mogłyby przynieść poprawę sytuacji – inaczej jego uwagi pozostaną niejako „zawieszone w próżni". Dodać w tym miejscu należy, że polemika, jaką podjął z tym tekstem Andrzej Waśko, jest w moim odczuciu zupełnie nieprzekonująca, bo w zasadzie nie zakwestionował on stanu rzeczy, jaki Zakrzewski opisał. „Arcana" kontynuuje w tym numerze cykl refleksji na temat kondycji i przyszłości nauki w Polsce. Kluczowy tu bez wątpienia jest głos Marka Kornata, który wskazał na dwa istotne rozwiązania, które obok już przeprowadzonej likwidacji gimnazjów poprawią kondycję naszego szkolnictwa. Są to likwidacja systemu bolońskiego, który zupełnie się nie sprawdził, oraz wprowadzenie egzaminów wstępnych na studia wyższe. Wśród innych patologii wskazanych przez krakowskiego historyka należy wymienić obniżenie poziomu stopni naukowych, a szczególnie habilitacji.



Jeff Pearlman, „Czas zwycięzców. Narodziny dynastii Lakers", Warszawa 2022, Poradnia K

Historia sportu ma w Polsce bardzo wielu czytelników. Większość z nich koncentruje się na piłce nożnej, nie tylko polskiej, lecz także europejskiej. Liczba odbiorców dziejów innych dyscyplin sportowych, w tym koszykówki, jest znacząco mniejsza. Jednak amerykańska liga NBA ma u nas grupę wiernych fanów. Szczęśliwie w ostatnich latach na polskim rynku wydawniczym ukazuje się coraz więcej książek im dedykowanych: od biografii najważniejszych zawodników, trenerów, przez historię zespołów, aż po publikacje dotyczące dziejów samej ligi. Większość z publikacji wydawanych w Polsce na temat koszykówki w USA to tłumaczenia amerykańskich klasyków. Warto spośród nich sięgnąć szczególnie po niedawno wydane dzieło Jeffa Pearlmana dotyczące dynastii Lakers panującej w NBA w latach 80. XX w. Amerykański dziennikarz bardzo szeroko opisał dzieje ekipy znanej z eksplozywnego stylu showtime, która na przestrzeni lat 1980–1991 zdobyła pięć mistrzowskich tytułów. Autor skoncentrował się nie tylko na opisie sukcesów sportowych, lecz także na przybliżeniu tajemnic szatni oraz losów poszczególnych zawodników, dzięki którym Lakers z tej dekady byli jedną z najlepszych drużyn w historii koszykówki.

REKLAMA



9/0222/F

eprasa.pl e7783acae2

Rafał Łatka rozmawia z...

...PROF. MIROSŁAWEM SZUMIŁO, autorem książki „Tajni księża. Historia nielegalnego pobytu słowackich werbistów w Polsce w latach 1957–1964”





Panie profesorze, jak wygląda koncepcja pana książki i jak natrafił pan na materiały o słowackich duchownych przebywających w Polsce?

Prof. Mirosław Szumiło: Pomysł na książkę powstał w trakcie mojej pracy nad wystawą pt. „Bracia w wierze. Współpraca katolików polskich i słowackich w okresie komunizmu”. Okazało się, że w Archiwum IPN znajduje się 10 tomów dokumentów na temat akcji o kryptonimie „Werban”, prowadzonej przez Służbę Bezpieczeństwa w celu odnalezienia i złapania trzech słowackich werbistów, którzy uciekli do Polski w latach 1957–1958. Nikt wcześniej nie korzystał z tych materiałów. Ich cennym uzupełnieniem są dokumenty z archiwów słowackich i czeskich oraz relacje pozostawione przez bohaterów opisywanej historii. Moim celem było opisanie studium przypadku tych trzech zakonników: Štefana Horvátha, Jozefa Šabo i Roberta Boríka, jako przykładu pomocy udzielanej przez polskich katolików prześladowanym Słowakom. Dlatego w pierwszych rozdziałach książki czytelnicy mogą się zapoznać z syntetycznym opisem sytuacji prześladowanego Kościoła w Czechosłowacji oraz polskiej pomocy dla braci w wierze zza południowej granicy.

A zatem jak wyglądała pomoc polskiego Kościoła dla braci w wierze z Czechosłowacji?

Nie ulega wątpliwości, że sytuacja Kościoła katolickiego w PRL była lepsza niż w Czechosłowacji. Mimo licznych ograniczeń oraz ciągłej inwigilacji polski Kościół po 1956 r. zachowywał niezależność od państwa i miał pewne możliwości udzielania pomocy Kościołowi w Czechosłowacji, który był w tym czasie wciąż mocno prześladowany. Dotyczyło to przede wszystkim zakonów męskich, które zostały w 1950 r. oficjalnie zlikwidowane i musiały przejść do działalności podziemnej. Pomoc ze strony polskich zakonników polegała głównie na pośredniczeniu w kontaktach z Watykanem oraz przesyłaniu literatury religijnej i materiałów liturgicznych, a także organizowaniu tajnych święceń kapłańskich w Polsce. Historia Horvátha, Šabo i Boríka jest wyjątkowa, bowiem przed przyjęciem święceń potajemnie ukończyli oni w Polsce studia teologiczne, a następnie ukrywali się jeszcze przez kilka lat jako swego rodzaju tajni księża. Umykali usilnie poszukującym ich funkcjonariuszom SB, co było możliwe dzięki zaangażowaniu w akcję ich ukrywania niemal całego zakonu werbistów, a także zaprzyjaźnionych sióstr służebniczek i zwyczajnych polskich rodzin.

W jaki sposób SB wytropiła słowackich werbistów?

Słowacy przenosili się z miejsca na miejsce i ukrywali się każdy osobno. Dwukrotnie, dzięki donosom księży tajnych współpracowników, bezpieka była blisko aresztowania Horvátha. Dużą rolę odgrywał przy tym znany później agent SB werbista Józef Penkowski. Jednak za każdym razem Słowak umykał w ostatniej chwili i gubił trop. Momentem przełomowym w sprawie okazała się dopiero próba ucieczki Šabo do Szwecji. Zatrzymanie słowackiego księdza w gdańskim porcie nastąpiło wskutek donosu oficera statku handlowego, który miał go przemycić. Po aresztowaniu Šabo sprawa poszukiwania dwóch pozostałych słowackich werbistów nabrała wagi państwowej. Prowadzono liczne rewizje w klasztorach i mieszkaniach. Ostatecznie zastosowano kombinację operacyjną, która skłoniła ich do dobrowolnego ujawnienia się.

Jak wyglądało śledztwo i jakie wyniki przyniosło?

Aresztowany Jozef Šabo siedział w słynnym więzieniu mokotowskim. Zachowywał się mężnie i podczas przesłuchań nie wydał swoich współbraci ani opiekunów. Esbecy aresztowali także polskich werbistów, którzy udzielali mu największej pomocy: ks. Feliksa Zapłatę i ks. Franciszka Kasperka. O ich roli wiedzieli na podstawie donosów. W wyniku procesu sądowego Šabo i Zapłata zostali skazani na rok więzienia z zaliczeniem aresztu śledczego. W rezultacie stosunkowo łagodnego potraktowania przez sąd Šabo szybko wyszedł na wolność. Kilka miesięcy później ujawnili się Horváth i Borík, którzy zostali zwabieni obietnicą amnestii. Wkrótce okazało się, że to był podstęp. Wszystkich trzech 6 września 1964 r. deportowano do Czechosłowacji, gdzie podczas procesu sądowego w Bratysławie zostali skazani za przestępstwo opuszczenia terytorium republiki bez pozwolenia.

FOT. XX

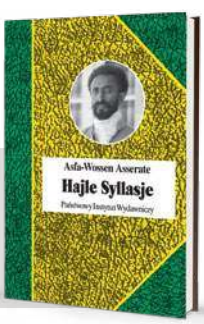
Ostatni cesarz w Afryce



ELŻBIETA BRZOZOWSKA

Któż z nas nie pamięta sugestywnego obrazu cesarskiego służącego, którego jedyną funkcją miało być ścieranie z obuwia dygnitarzy plam moczu zostawianych tam przez pieska Lulu, ulubieńca Hajle Syllasjego?

W całej tej historii, opisanej przez Ryszarda Kapuścińskiego, prawdą jest tylko to, że piesek o takim imieniu w istocie mieszkał w pałacu. I tak jest z całym „Cesarzem": zahacza o realia, ale źródłem wiedzy jest żadnym. Tym cenniejsza staje się książka Asfy-Wossena Asseratego – rzetelna, oparta na skrupulatnie zweryfikowanych źródłach biografia Hajle Syllasjego, spisana przez wykształconego w Niemczech i Wielkiej Brytanii etiopskiego pisarza. Spokrewnionego – dodajmy – z cesarzem, wnuka rasa Kassy, ostatniego przewodniczącego rady koronnej i syna rasa Asserate – jednego z 60 dygnitarzy zamordowanych krwawej nocy 23 listopada 1974 r. Pochodzenie autora nie czyni go bezkrytycznym wobec bohatera książki. Kreśląc portret ostatniego cesarza Etiopii, zdaje sobie sprawę, że jedni widzą w nim dyktatora, inni czczą jako świętego (chociaż sam cesarz prostował to podczas pamiętnej podróży na Jamajkę – „Nie jesteśmy Bogiem. Nie jesteśmy prorokiem. Jesteśmy niewolnikami Boga" – tłumaczył delegacji rastafarian). Z kart książki wyłania się człowiek, któremu przyszło mierzyć się z wielkimi wyzwaniami. Od młodości obarczony władzą (zostając gubernatorem Hareru, nie miał nawet 18 lat, regentem został mając 24, a cesarzem – 38) radził sobie z konfliktami w kraju, ale kiedy oddziały Mussoliniego zajęły Etiopię, musiał szukać pomocy na forum Ligi Narodów. To tam padły pamiętne i prorocze słowa: „Katastrofy są nieuniknione, jeśli wielkie państwa przyglądają się gwałceniu małego państwa" (zaraz po przyjętym owacjami przemówieniu Syllasjego delegaci przegłosowali zniesienie sankcji wobec agresora, tj. Włoch). Z przymusowej emigracji cesarz wrócił dopiero po wojnie i szybko stał się ikoną ruchu antykolonialnego. Kiedy Bob Marley śpiewał o nim w „Black Man Redemption", Hajle Syllasje próbował reformować Etiopię na modłę Zachodu. Wysyłał tam etiopskich studentów, lecz nie zauważył, że ci po powrocie – widząc zacofanie kraju – zaczęli planować przewrót. W grudniu 1960 r. próba zamachu nie powiodła się, ale 14 lat później, kiedy na problemy polityczne nałożyły się skutki suszy – już tak. Czerwony terror przyniósł śmierć ponad pół miliona „wrogów klasowych" i koniec cesarstwa.



Asfa-Wossen Asserate, „Hajle Syllasje. Ostatni cesarz Etiopii", tłum. Urszula Poprawska, Państwowy Instytut Wydawniczy 2022

Od tam-tamów do telewizji



GABRIELA SIEROCIŃSKA-DEC

Telefony komórkowe, komunikatory, e-maile pozwalają nam dzisiaj na szybkie przekazywanie informacji. Dzięki mediom społecznościowym wiemy, co dzieje się u naszych znajomych, bez względu na to, gdzie przebywają. Ale doskonale wiemy, że nie zawsze tak było. W końcu w nie tak odległej przeszłości wiadomości były bardzo często przekazywane tylko w formie pisemnej, a rozmowy telefoniczne były przywilejem.

Książka Liliany Fabisińskiej „Halo. Historia komunikowania się", wydana przez Naszą Księgarnię, przedstawia historię przekazywania informacji na przestrzeni dziejów. Autorka pokazuje świat dla wielu młodych osób nie do wyobrażenia – bez internetu czy telefonu komórkowego.

Opowiada o tym w przystępny i ciekawy sposób w sześciu rozdziałach, a każdy z nich poświęcony jest innemu aspektowi porozumiewania się. Mamy więc opowieść o mowie i kształtowaniu się języków, rodzajach pisma, szyfrach i tworzeniu języków dla osób ze specjalnymi potrzebami. Dużą część książki stanowi historia poczty. Autorka opisuje, jak przez wieki zmieniał się sposób dostarczania listów i jakimi drogami docierały one do odbiorców. Bardzo ciekawym fragmentem książki jest rozdział poświęcony nietypowym formom komunikacji, takim jak m.in. tam-tamy, piktogramy czy znaki drogowe. Swoje miejsce znalazła tu opowieść o alfabecie Morse'a oraz sygnałach wysyłanych przez latarnie morskie.

Autorka podkreśla, że komunikujemy się nie tylko słowem i pismem, lecz także wieloma symbolami czy gestami. Nie bez powodu przywołuje więc język kwiatów czy analizuje mowę ciała. Ostatnia część książki poświęcona jest wynalazkom związanym z historią komunikacji – kiedy i w jakich okolicznościach pojawiły się gazety, telefon, telegraf, wreszcie radio i telewizja.

Uwagę przykuwają kolorowe, różnorodne ilustracje Anity Graboś. Książka ma lekko usztywniane strony, twardą okładkę i większy format, co pozwoli na bezproblemową wspólną lekturę z młodym odbiorcą. To też jedna z tych lektur, które mogą prowokować do długich rozmów i pytań stawianych przez osoby urodzone już w epoce internetu.



Liliana Fabisińska, „Halo. Historia komunikowania się", ilustracje Anita Graboś, wyd. Nasza Księgarnia 2020, wiek: 7–14 lat

eprasa.pl e7783acae2

CZY WARTO WSPÓŁCZEŚNIE UCZESTNICZYĆ W BUDOWIE PSEUDOWARTOŚCI I ANTYKULTURY ALBO NIE PROTESTOWAĆ PRZECIWKO NIEJ? KAŻDY MUSI WE WŁASNYM SUMIENIU ODPOWIEDZIEĆ SOBIE NA TO PYTANIE. DLA CHRZEŚCIJAN ODPOWIEDŹ WINNA BYĆ TU JASNA I OCZYWISTA

SPRAWIEDLIWOŚĆ NADEJDZIE W CZASIE ŻNIW



JANUSZ SZEWCZAK

Zreguły najwięcej o życiu wiedzą ci, którzy byli najbliżej śmierci, bo wtedy łatwiej odpowiedzieć na pytanie, które stawia wielki chrześcijański filozof Blaise Pascal: „Kto mnie tu postawił? Na czyj rozkaz i z czyjej woli przeznaczono mi to miejsce i ten czas?”. Skoro śmierć nie omija nikogo, to może warto czasem wiedzieć, jaki sens miało moje doczesne życie, czy na pewno dobrze je wykorzystałem, czy odchodzę pogodzony z Bogiem, czy potrafiłem w tym czasie zachować odpowiedni dystans do własnych porażek i cudzych sukcesów, czy też przeciekło mi ono między palcami? Czy nasza życiowa symfonia była pełna harmonii, czy raczej pełna fałszu i dysonansów? Czy żyliśmy dla kogoś i dla czegoś, poza samym sobą i własnym ego? Czy było to życie pogłębione wiarą, naznaczone szansą na zbawienie i zmartwychwstanie, czy skazane na potępienie? Czy potrafiliśmy iść w miarę prostą drogą, czy ciągle kluczyliśmy, gubiliśmy szlak i sam cel wędrówki, czy było to życie tylko na pokaz, pełne zgniłych kompromisów i utraty prawdziwych wartości, bez boskich przykazań?

Demokryt, antyczny filozof, nie wahał się ludzkiego życia oceniać tak: „Żyć w sposób zły, nierozumny, bezwstydny i nieczysty to bynajmniej nie znaczy żyć źle, lecz stale umierać. Rzecz ma się następująco: nie otrzymaliśmy życia krótkiego, ale czynimy je krótkim, pod względem zaś jego posiadania jesteśmy nie nędzarzami, ale marnotrawcami; O wiele za późno, wtedy dopiero zaczynać życie, kiedy je trzeba już kończyć”. Niektórzy zbyt późno dochodzą do wniosku, że należałoby jednak w swym życiu coś lub całkiem sporo zmienić. Chcieliby zacząć życie na nowo i przeżyć je znacznie lepiej, gdy do drzwi puka już śmierć.

Niektórzy są umarli już za życia, jak zauważa Demokryt, nie żyli bowiem, jak żyć człowiekowi przystało, odbierali życie innym i pogardzali innymi, byli niczym pyszne, kolorowe pawie i papugi, wykarmione w złotych klatkach, które nigdy nie wzbiły się w powietrze, lub tzw. tłuste koty, leniwie wylegujące się w życiowym komforcie, konsumujące ponad miarę, żyjące krzywdą innych. Trzeba się mądrze śpieszyć z życiem, bowiem śmierć skrada się podstępnie i cichutko. „Śmierć, która jest grabieżcą wszechrzeczy”, a „Siłą naszego serca należy gospodarzyć tak, by jej starczyło na wiele bólów”, co postulował Lucjusz Seneka. Już antyczni mędrcy potrafili docenić godne życie, choć mieli świadomość nieuniknionej śmierci, której jednak nie traktowali z pogardą. Życie musi mieć swój kres, kres ostateczny, choć jakże często nasze życie to głównie teatr, wieczne udawanie i bywa, że czasem robi się z tego ponury dramat. Dlatego Blaise Pascal w „Rozprawach i listach” zalecał: „Nie wyrzekajmy się więc miłości życia, jaką nam wszczepiła natura, skoro Bóg nas tym życiem obdarzył. Kochajmy jednak takie życie, do jakiego nas Bóg stworzył, a nie jego przeciwieństwo”.

Choć zazwyczaj żyjemy w tęsknocie za tym, co już minione, to czeka nas to, co nieuniknione, gdy trafiamy w objęcia Morfeusza – antycznego boga snu i niebytu. Jednak gdy idzie o ludzi głębokiej wiary, jest za tą granicą coś istotnego – życie wieczne. Artur Schopenhauer w swym dziele „W poszukiwaniu mądrości życia” trafnie zauważał: „Kto sądzi, że jego życie ogranicza się do obecnego życia, ten uważa siebie za ożywioną nicość [...]. Odbierzmy życiu nieliczne

eprasa.pl e7783acae2

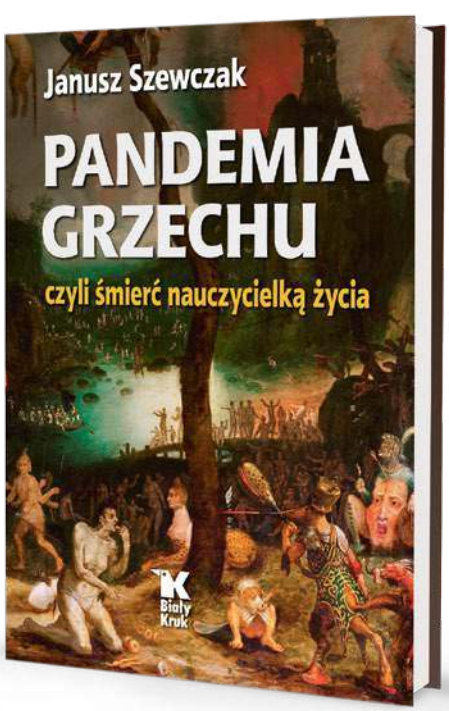
chwile religii, sztuki i czystej miłości. Czy pozostanie coś innego niż szereg trywialnych myśli. [...] Życie podobne jest do bańki mydlanej, którą utrzymujemy i nadymamy tak długo, jak to możliwe, a przecież z trwałą pewnością, że ona kiedyś pęknie". Chodzi o to, by z tego „życiowego pożaru" nie pozostała tylko garstka popiołu. Trzeba na ów koniec życia, na nadchodzącą śmierć patrzeć z perspektywy życia wiecznego – dla chrześcijan jest to rzecz oczywista i pocieszająca, bo dla nich śmierć jest tylko etapem do nowego życia, przesiadką w podróży do Stwórcy Wszechświata.

Nic więc dziwnego, że tak wielu chrześcijan zatrwożonych i zasmuconych, a także zdezorientowanych tym, do czego przekonują ich mass media i liczni politycy, pyta swych duchowych przywódców: dokąd zmierza współczesny świat i co mamy robić? Jak można się przeciwstawić złu i cywilizacji śmierci, czy nadejdzie jakieś opamiętanie? Ten nowoczesny, współczesny świat wymaga od nas, nie tylko katolików, ale też po prostu od ludzi przyzwoitych, odważnych postaw i jednoznacznych opinii. Może dojść do konieczności, już tak się dzieje, do składania wręcz bohaterskich świadectw wiary w demokratycznych państwach Zachodu, w tym w Polsce.

Jeden z największych na świecie autorytetów w sferze badań ludzkiego mózgu, laureat Nagrody Nobla, australijski neurofizjolog John Eccles (1903–1997) dowodził swymi badaniami, że każdy człowiek ma nieśmiertelną duszę: „Materia bowiem nie jest w stanie wytwarzać zjawisk psychicznych, energia fizyczna nie tworzy energii psychicznej, tylko zaś duchowa rzeczywistość tworzy zjawiska psychiczne, a duchowym wymiarem człowieczeństwa jest jego nieśmiertelna dusza. Prawdziwymi cechami człowieczeństwa i humanizmu są nie tylko rozum i wiedza, ale niepowtarzalność osoby ludzkiej w duchowym istnieniu nieśmiertelnej duszy. Każda dusza jest po prostu nowym Bożym stworzeniem wcielonym w ludzki zarodek. Myślenie ludzkie nie tyle jest efektem procesu i zjawisk materialnych, co cudem uduchowienia istoty ludzkiej dzięki Stwórcy. I ta uduchowiona dusza tworzy nasze Ja już po śmierci". Jakże doskonale współgrają z tym słowa samego Pana Jezusa: „Cóż bowiem za korzyść odniesie człowiek, choćby cały świat zyskał, a na swej duszy szkodę poniósł?" (Mt 16, 26). Dbajmy więc o tę naszą duszę jeszcze za życia, bo bardzo przyda się nam po śmierci.

Nie wolno, nie ma powodu poddać się złu, trzeba kochać życie, czynić dobro i wierzyć w Boga. Papież Jan Paweł II, który sam tak ukochał ludzkie życie, w homilii wygłoszonej w Sopocie w czerwcu 1999 roku, przywołując słowa św. Pawła, dawał nam dobre wskazówki: „»W niczym nie dajcie się zastraszyć przeciwnikom« (por. Flp 1, 28), »Toczcie tę samą walkę, jaką i u mnie widzieliście« (por. Flp 1, 30) – Apostoł Narodów dodawał, że jest to walka z naszymi grzechami osobistymi, a zwłaszcza z grzechami przeciw miłości, które mogą przybrać niejednokrotnie niepokojące rozmiary w życiu społecznym". I to niewątpliwie czeka nas, chrześcijan, w najbliższej przyszłości – czuwanie i wojowanie z ciemnością, z nowym barbarzyństwem domagającym się śmierci na życzenie, tworzenia ludzkich chimer, powszechnej eutanazji, z rosnącą w siłę cywilizacją śmierci. Za zbroję i tarczę musi nam znów posłużyć wiara i nadzieja, a także oczekiwanie na zbawienie naszej nieśmiertelnej duszy [...].

„Potrzebna jest powszechna mobilizacja sumień i wspólny wysiłek etyczny, aby wprowadzić w czyn wielką strategię obrony życia! Musimy ciągle odnosić się do powszechności sumień, nie instytucji!" – pisze św. Jan Paweł II w encyklice „Evangelium vitae". Święty Augustyn z Hippony w swym „Państwie Bożym", opisując Sąd Ostateczny, stwierdza: „Jest jakaś moc Boża, która sprawi, iż każdemu człowiekowi wszystkie czyny jego, dobre czy złe, przypomniane zostaną i z nadzwyczajną szybkością staną przed oczyma duszy, aby samo to uświadomienie było oskarżycielem lub obrońcielem sumienia". I o tym warto pamiętać jeszcze za życia, bo śmierć, ta doczesna, biologiczna, niczego tak naprawdę nie kończy, zwłaszcza dla tych, którzy oprócz zwykłego serca mają jeszcze duchową duszę.



Deus caritas est – Bóg jest miłością. Warto więc żyć dla życia, również tego wiecznego, warto też żyć mocą swego pióra i intelektu, bo to, co piękne i wartościowe, przetrwa każdą śmierć. Niewątpliwie przetrwa też wielka sztuka, prawdziwa sztuka, nie postmodernistyczne ekscesy. Ona właśnie, obok głębokiej wiary, daje nam wielką i niepowtarzalną szansę istnienia, nawet po śmierci.

[...]

Chciałoby się na koniec zawołać: „Gdzież jest, o śmierci, twój oścień" (1 Kor 15, 55) – gdy dusza ma nieśmiertelna i język giętki!".

Można by pytać za psalmistą: „Gdy walą się fundamenty, cóż może zdziałać sprawiedliwy?" (Ps 11, 3) – otóż może każdy z nas dać świadectwo dobra i prawdy, przeciwstawiając się złu na tym polu, na którym działa. Nie wolno dać sobie wydrzeć z serca i umysłu poczucia wartości i wiary w Boga. My konserwatyści, chrześcijanie, musimy zachować wrażliwość na rzeczy święte, na dobro, prawdę, piękno, godność każdej istoty ludzkiej, stawać w obronie słabych i bezbronnych. Jak pisał Stanisław Cat-Mackiewicz (1896–1966): „Konserwatyzm to miłość skarbów zdobytych przez kulturę wieków. Konserwatyzm to wyciąganie doświadczeń z przeszłości i popieranie tego, co swoją dobroć wykazało". Warto być także dzisiaj konserwatystą, chrześcijaninem, człowiekiem dobrym, choć śmiertelnym. Możliwość spojrzenia na swoje życie z perspektywy własnej nieuchronnej śmierci daje nam szansę, by żyć przyzwoicie i godnie. Nieuchronność przemijania ludzkiego to nadal podstawowy element ludzkiej tożsamości, to także sens istnienia i wielkiej szansy na wieczność i zbawienie. Pan Bóg zgodził się przecież, by pszenica wzrastała razem z kąkolem (por. Mt 13, 24–30), ale zapowiadał jednocześnie, że sprawiedliwość nadejdzie w czasie żniw, czyli w chwili ludzkiej śmierci.

Fragment książki Janusza Szewczaka „Pandemia grzechu", Biały Kruk 2022

eprasa.pl e7783acae2

GÓRNA PÓŁKA

Narodziny supermocarstwa



ANTONI DUDEK

Piąty już tom monumentalnej historii USA w XX w. autorstwa Piotra Zaremby przeczytałem z jeszcze większym zainteresowaniem niż poprzednie. Powód był oczywisty: ten tom obejmuje wprawdzie bardzo krótki okres (od japońskiego ataku na Pearl Harbor po śmierć Roosevelta i koniec II wojny światowej), ale to właśnie te cztery lata przesądziły o przekształceniu się USA w supermocarstwo.

Zaremba zaczyna swoją narrację od przytoczenia fragmentu końcowego sprawozdania komisji Izby Reprezentantów, nazywanej potocznie katyńską: „Nasza komisja jest przekonana, że Stany Zjednoczone w swoich relacjach z Sowietami znalazły się w tragicznej sytuacji, w której wygrywając wojnę, przegrały pokój". I właśnie ten wątek – przyczyn, dla których Amerykanie „przegrali pokój" – należy do najciekawszych w książce. Najważniejszą z nich był detalicznie opisany przez Zarembę proces, jaki nastąpił po niemieckim ataku na ZSRS, w konsekwencji którego „instynktowny antysowietyzm większości elit został zastąpiony w ciągu niewielu miesięcy amokiem przystosowania zmieniającego się w uwielbienie". I nie był to, jak się niekiedy uważa, rezultat jakichś wszechpotężnych wpływów sowieckiej agentury w USA, ale autentycznego przekonania, że nazizm jest czymś zdecydowanie gorszym od komunizmu, który zresztą – jak chciano wówczas wierzyć w Ameryce – wyparował gdzieś pod rządami Stalina.

Nasilająca się po 1941 r. fascynacja ekipy Roosevelta Kremlem i jego mrocznym gospodarzem to oczywiście tylko jeden z wielu wątków przebogatej faktograficznie książki Zaremby. Innym, znacznie słabiej u nas znanym, jest narastanie antyjapońskiej psychozy i obaw przed inwazją cesarskiej armii na zachodnie wybrzeże USA, co pozostawało całkowicie poza realnymi możliwościami Tokio. Doprowadziło to do podpisania w lutym 1942 r. przez Roosevelta zarządzenia numer 9066, które przy wsparciu Kongresu pozwoliło na skierowanie 112 tys. amerykańskich Japończyków do 10 obozów dla internowanych. Ich działalność, a także spór polityczny towarzyszący funkcjonowaniu tych obozów, to jeden ze słabiej znanych epizodów w dziejach USA. ■



Piotr Zaremba, „Demokracja zwycięska. Ameryka Roosevelta i Trumana w II wojnie światowej", wydawnictwo Neriton, Warszawa 2022

POLSKIM OKIEM

Grzech Kościoła na dawnych Kresach



RYSZARD CZARNECKI

Kolega – organizator transportów żywności i środków medycznych na Ukrainę, który jednocześnie stamtąd, tymi samymi busami, przywiózł setki osób, pokazuje mi z dumą zdjęcia z tych wypraw.

Choćby z katolickiej parafii pod Lwowem, w której wielu wiernych, jeśli nie większość, to Polacy. Na fotografii pomnik polskiego papieża, codziennie oglądany przez naszych rodaków przychodzących tu na mszę. Zwracam uwagę, że napis na pomniku jest wyłącznie po ukraińsku, choć przecież to papież z Polski, a parafia w dużym stopniu polska. Zaczynam pytać. Żadna lokalna władza nie wymuszała na parafii, aby napis był tylko po ukraińsku. To decyzja księdza – zresztą z Polski!

To kolejna taka historia, którą w różnych wariantach słyszę powtarzaną od lat. Chodzi o polskich księży, którzy wyjeżdżają do parafii na Białorusi oraz Ukrainie i forsują stosowanie w liturgii wyłącznie czy głównie oficjalnych języków państwowych, choć bardzo często większość parafian to Polacy albo ludzie polskiego pochodzenia przyzwyczajeni do języka polskiego w kościele. Taka „ukrainizacja" czy „białorutenizacja" z udziałem polskich kapłanów jest, powiem ostro, grzechem Kościoła katolickiego. Intencja jest jasna: chodzi o to, aby Kościół był „powszechny", a nie „narodowy". Chodzi o to, aby przyciągnąć tych wiernych, którzy po polsku nie mówią wcale albo mówią słabo. Tyle że taka metoda nie zawsze skutkuje wobec nowych wiernych, a – przez ostatnie co najmniej ćwierćwiecze – jest przyjmowana z bólem, żalem, goryczą, przykrym zaskoczeniem przez naszych rodaków. Zachowali oni mowę ojców i dziadów w najtrudniejszych czasach, doczekali się wolności wyznawania wiary przodków i gdy oczekiwali, że w Kościele będzie dalej (albo: znów...) rozbrzmiewała mowa ojczysta – to nagle słyszą kazania w językach, które na tych terenach z katolicyzmem na pewno się nie kojarzą.

Piszę o tym z bólem – i jako Polak, i jako katolik. Kościół jako hierarchia, a także poszczególni księża jadący ze szczególną misją na dawne Kresy Wschodnie Rzeczypospolitej powinni unikać zgorszenia, jakim jest narzucenie wiernym języka innego niż polski – wbrew nim, czyli ludziom, dzięki którym Kościół katolicki przetrwał na tych terenach. Misję Kościoła powszechnego można śmiało pogodzić z szacunkiem dla wiernych – Polaków. Trzeba tylko chcieć... ■

eprasa.pl e7783acae2



ŻÓŁKIEW ŻÓŁKIEWSKICH

Hetman Stanisław Żółkiewski był postacią ze wszech miar wybitną. Wykaz pełnionych przez niego funkcji zapiera dech. W jego rękach spoczywała wielka buława koronna, był kanclerzem wielkim koronnym, królewskim sekretarzem, wojewodą kijowskim, lwowskim kasztelanem, obejmował starostwa, a do tego potomnym zostawił po sobie spisane pamiętniki.

Jego wojenna sława sięgała daleko poza granice Rzeczypospolitej, a w Rosji na swój sposób pamiętany jest po dziś dzień. 4 lipca 1610 r. polskie wojska dowodzone przez hetmana Żółkiewskiego osiągnęły jedno z najznamienitszych zwycięstw w historii. Wtedy to pod Kłuszynem ok. 6-tysięczna armia polska rozgromiła wojska rosyjskie wspierane przez zaciężnych Szwedów, których połączona liczebność sięgała, wg różnych źródeł, nawet 35 tys. żołnierzy. Po naszej stronie byo jednak ponad pięć tysięcy husarzy... a oni wrogów liczyli, gdy już ich pobili. Zwycięstwo otworzyło Żółkiewskiemu drogę na Moskwę, która po raz drugi w krtótkim czasie została zajęta przez Polaków. Hetman nie poprzestał na zajęciu Kremla. Uwięził dotychczasowego cara Wasyla Szujskiego i jego braci, którzy rok później składając hołd polskiemu królowi Zygmuntowi III Wazie, bili głowami o posadzkę Zamku Królewskiego w Warszawie, a nowym carem ustanowił królewicza Władysława. Ambitny plan Stanisława Żółkiewskiego jednak się nie powiódł. Król nie zgodził się, by jego syn został moskiewskim władcą, a 4 listopada 1612 r. polska załoga Kremla została pokonana przez powstańców kniazia Pożarskiego. Obecnie Rosja świętuje rocznicę tego wydarzenia jako Dzień Jedności Narodowej – tak zniweczone następstwa geniuszu hetmana Żółkiewskiego przyczyniły się do świątecznego kalendarza Rosjan.

Jednak duma z naszego wodza to nie jedyne, co po sobie pozostawił. Tak jak jego patron Jan Zamoyski wybudował Zamość, tak Stanisław Żółkiewski w 1603 r. założył pod Lwowem Żółkiew. Miasto powstało na planie nieregularnego pięcioboku i zostało otoczone murami obronnymi z czterema bramami. Wokół rynku zbudowano piętrowe kamienice z arkadowymi podcieniami, a tuż obok stanął zamek (1610 r.) oraz kolegiata (1618 r.), która w zamyśle hetmana miała być mauzoleum jego rodu. Wraz z upływem czasu stała się też pomnikiem chwały wojennej – zawisły w niej ogromne obrazy przedstawiające zwycięskie bitwy pod Kłuszynem, Chocimiem, Wiedniem i Parkanami. W trzech ostatnich dowodził Jan III Sobieski, prawnuk Stanisława Żółkiewskiego i dziedzic Żółkwi. Obecnie dzieła znajdują się w Lwowskiej Galerii Obrazów.

Po zakończeniu II wojny światowej miasto znalazło się w ZSRS, którego władze rozpoczęły wieloletni proces dewastacji świątyni. Dopiero pod koniec 1989 r. kościół został zwrócony wiernym i do 1997 r. podlegał gruntownej renowacji przeprowadzanej przez polskich konserwatorów i finansowanej z polskiego budżetu oraz ze środków pozyskanych od darczyńców. 11 października 1997 r. kościół został na nowo poświęcony przez arcybiskupa Mariana Jaworskiego.

Z lewej strony monumentalnego późnobarokowego ołtarza (ok. 1740 r.) znajdują się pomniki nagrobne pochowanych w kryptach hetmana Stanisława Żółkiewskiego i jego syna Jana. Warto zwrócić uwagę na rzeźbę karmiącego młode krwią z własnej piersi pelikana, nie bez powodu usytuowaną u stóp krzyża na w głównym ołtarzu. W kontekście sakralnym symbolizuje ona najwyższą ofiarę, jest znakiem ofiary Jezusa.

Sobiescy zaznaczyli swoje władanie miastem również w świątyni. Są w niej pochowani Jakub, ojciec króla i dwaj jego synowie: Jakub Ludwik oraz Konstanty Władysław. Uważny obserwator w stojącym przy kościele ułamanym obelisku dostrzeże żupan opasany słuckim pasem – to pozostałości pomnika Jana III Sobieskiego z 1903 r.

ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI

FOT. ARCHIWUM AUTORA

WIĘCEJ ZDJĘĆ POD ADRESEM: wPolityce.pl/historia/609277-zolkiew-zolkiewskich

eprasa.pl e7783acae2

Józef Kopeć – rektor Solidarności



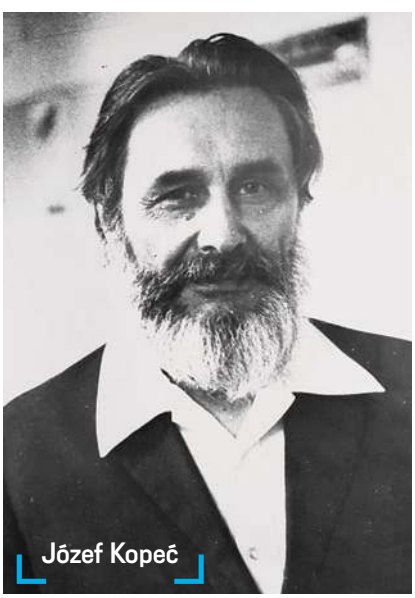
ARTUR KUBAJ

„To była postać wybitna, był autorytetem nie tylko naukowym, ale i etycznym, moralnym. Chociaż matematyk, wszechstronny humanista, katolik mocno związany z Kościołem, neutralny politycznie. Niezależny i bezpartyjny".

Tymi słowy Marek Adamkiewicz – działacz środowiska studenckiego, związany z wrocławskim SKS-em i szczecińskim NZS-em, którego odmowa służby wojskowej dała początek młodzieżowemu ruchowi Wolność i Pokój, opisał profesora Józefa Kopcia, jedynego w dziejach uczelni rektora wybranego przez społeczność akademicką wbrew opinii PZPR. Ten uwielbiany przez młodzież nauczyciel budził wielką niechęć i obawy szczecińskich służb specjalnych PRL. W tajnych „Informacjach", przeznaczonych dla I sekretarza KW PZPR w Szczecinie Stanisława Miśkiewicza, donoszono o prekursorskich poczynaniach rektora: „Zakłada się, że wraz z upływem czasu i brakiem przeciwdziałania ze strony politycznych i administracyjnych władz województwa, pozostałe uczelnie Szczecina zaczną naśladować swoistą politykę odnowy przyjętą przez tę uczelnię. W szczególności dotyczy to ścisłego współdziałania rektora WSP doc. dr. hab. J. Kopcia z NSZZ Solidarność oraz NZS, z systematycznym aczkolwiek kamuflowanym wypieraniem PZPR i SZSP z faktycznego kierowania i współudziału w funkcjonowaniu uczelni".

Doświadczone pokolenie

Józef Maria Kopeć przyszedł na świat 18 marca 1923 r. w Poznaniu, w rodzinie powstańca wielkopolskiego, a później sekretarza poznańskiego Sądu Okręgowego, i nauczycielki historii. Rok 1939, w którym ukończył Gimnazjum Marii Magdaleny, był zarazem jednym z najtragiczniejszych dla całej rodziny. W czerwcu zmarł jego ojciec Wiktor Kopeć, a we wrześniu, podczas wojny obronnej, zginął Antoni, starszy brat Józefa. W lutym 1940 r. rodzina Kopciów została wysiedlona do Małopolski. W tym czasie Kopeć pracował dorywczo, a później jako robotnik przymusowy. Pomimo ciężkiej pracy pobierał naukę w Szkole Handlowej Wyższego Stopnia w Tarnowie. W 1944 r. wraz z kolegą uciekł do oddziału partyzanckiego Armii Krajowej w rejonie Turbacza i Rabki. W marcu 1945 r. wraz z matką powrócił do Poznania, gdzie po zdaniu matury w Liceum im. Bergera rozpoczął w październiku 1946 r. studia na Wydziale Matematyczno-Przyrodniczym Uniwersytetu Poznańskiego. Dzięki swoim zdolnościom, pasji i pra-



Józef Kopeć

cowitości, pod okiem jedynego wówczas na wydziale prof. Władysława Orlicza, wychowanka i kontynuatora lwowskiej szkoły matematycznej, realizował się zarówno w pracy naukowej, jak i dydaktycznej. Związany był z poznańskim środowiskiem naukowym, które po wojnie miało znaczący wpływ na budowę życia naukowego w Szczecinie. Po ukończeniu studiów (1951) obronił w Poznaniu rozprawę doktorską (1960), ale z uwagi na trudne warunki materialne, a był on już wówczas głową pięcioosobowej rodziny, zdecydował się na wyjazd i kontynuowanie kariery naukowej w Szczecinie. Początkowo był zatrudniony w Wyższej Szkole Rolniczej, gdzie poświęcał się badaniom nad równaniami różniczkowo operatorowymi w przestrzeniach Banacha, zakończonych ostatecznie kolokwium habilitacyjnym na jego poznańskiej Alma Mater (1968). Wtedy też Józef Kopeć przeniósł się do Wyższej Szkoły Nauczycielskiej (szczecińskiej filii UAM), obejmując tam funkcję dziekana Wydziału Matematyczno-Przyrodniczego, co przesądziło na trwałe o pozostaniu w Szczecinie, pomimo zabiegów prof. Orlicza, wówczas już członka rzeczywistego PAN, by powrócił do Poznania. Przez lata pracy naukowej w WSN, przekształconej w 1973 r. w Wyższą Szkołę Pedagogiczną w Szczecinie (WSP), Józef Kopeć zyskał miano wybitnego specjalisty i autorytetu w dziedzinie matematyki stosowanej. Profesor Kopeć był współautorem kilkudziesięciu artykułów naukowych z zastosowań matematyki. Pisał programy komputerowe, wymyślał i wprowadzał nowe algorytmy do obliczeń, konstrukcje i procedury w obliczeniach, a także narzędzia statystyczne do systematycznej analizy rozważanych problemów.

Aktywność społeczna

Prócz pracy naukowej Józef Kopeć angażował się w działalność społeczną, a najważniejszym doświadczeniem w tym zakresie niewątpliwie była Solidarność. Był pierwszym przewodniczącym NSZZ „Solidarność" na uczelni (do stycznia 1981 r.), znakomicie współpracując przy tym z rodzącym się obok Niezależnym Zrzeszeniem Studenckim. Po łódzkim strajku studentów i podpisaniu przez nich 18 lutego 1981 r. porozumienia z władzami PRL w zakresie autonomii szkół wyższych pojawiła się szansa na znaczące zmiany na uczelniach. Zgodnie ze studencką wizją uniwersytetu jako instytucji autonomicznej o kierunkach jej funkcjonowania miały decydować wspólnie poszczególne elementy społeczności akademickiej – kadra profesorska, młodsza kadra naukowa i studenci. Reprezentanci każdej z tych społeczności mieli pochodzić z wyborów. Uczelnie zyskać miały w ten sposób samodzielność organizacyjną, dydaktyczną

FOT. Z ARCHIWUM MACIEJA KOPCIA

eprasa.pl e7783acae2



W czasie strajku studenckiego na WSP (listopad–grudzień 1981)

i finansową. Współpracę Kopcia z ówczesną Solidarnością oraz atmosferę panującą w tym okresie na WSP wspomniany już wyżej Marek Adamkiewicz opisywał w ten sposób: „Czasami mieliśmy wrażenie, że tworzymy jedną organizację, jedną rodzinę, że nie ma podziału na studentów i pracowników naukowych". Trudno się zatem dziwić, że zarówno uczelniana Solidarność, jak i NZS wspólnie poparły kandydaturę prof. Kopcia na rektora Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Szczecinie. Kampania została poprowadzona w sposób otwarty, nowoczesny, można powiedzieć w stylu amerykańskim. Kopeć wygrał w sposób bezdyskusyjny. Jego kontrkandydatem zaaprobowanym przez PZPR był doc. Kazimierz Jaskot.

Rektor z wyboru

Wybór Kopcia na rektora Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Szczecinie był potężnym uderzeniem w system partyjnej nomenklatury. Partyjni działacze nie byli w stanie wybaczyć rektorowi jego zaangażowania w budowanie autonomii uczelni i przez cały okres sprawowania funkcji (do stycznia 1982 r.) jego działalność była przedmiotem licznych donosów. Szczególne niezadowolenie budziła swoboda dla działalności NZS, które otrzymało możliwość powielania wszelkich druków i wydawnictw, zarówno na użytek studencki, jak i szerzej – na użytek Solidarności (powstał dzięki temu cieszący się dużym zainteresowaniem punkt sprzedaży wydawnictw niezależnych). NZS przy aprobacie rektora wznowiło funkcjonowanie Uniwersytetu Latającego, zapraszając na wykłady do Szczecina m.in.

WYBÓR JÓZEFA KOPCIA NA REKTORA WYŻSZEJ SZKOŁY PEDAGOGICZNEJ W SZCZECINIE BYŁ POTĘŻNYM UDERZENIEM W SYSTEM PARTYJNEJ NOMENKLATURY

Marcina Króla, Jana Józefa Lipskiego czy Zbigniewa Romaszewskiego. Rektor odmawiał funkcjonariuszom Służby Bezpieczeństwa wglądu do akt osobowych pracowników naukowych i studentów bez stosownych nakazów, co nie było przestrzegane. Czarę goryczy przelało zaproszenie na inaugurację roku akademickiego bp. Kazimierza Majdańskiego. Przemówienie biskupa, w którym, podobnie jak w słowie inauguracyjnym rektora Kopcia, wybrzmiała wizja utworzenia na bazie WSP Uniwersytetu Szczecińskiego, przyjęto w kręgach związanych z ówczesną władzą z niechęcią. A propozycję biskupa, aby po uroczystości goście rektora udali się do pałacu biskupiego na poczęstunek, potraktowano jako swoistą zniewagę. Nic zatem dziwnego, że w sprzyjających okolicznościach, a za takie należy uznać wprowadzenie stanu wojennego, szczecińska bezpieka do spółki z władzami partyjnymi i administracyjnymi pozbyła się w pierwszych dniach stycznia 1982 r. rektora z zajmowanej funkcji. Pretekstem do tego stała się odmowa podpisania deklaracji lojalności oraz zatrudnienie wbrew oczekiwaniom SB internowanego Tadeusza Dziechciowskiego, sekretarza szczecińskiego tygodnika „Jedność", co odebrane zostało przez władzę jako prowokacja. Komisarycznym rektorem uczelni został kontrkandydat Kopcia z wyborów rektorskich doc. Jaskot, który nie miał już problemu ze ścisłą współpracą z władzą. Niektórych naukowców odwołano wtedy z funkcji bądź odsunięto od pracy dydaktycznej, a część studentów relegowano ze studiów.

Bez happy endu

W czasie stanu wojennego Józef Kopeć był wielokrotnie przesłuchiwany przez SB, a za udział w pierwszomajowej manifestacji Solidarności został ukarany grzywną 10 tys. zł. Po odwołaniu z funkcji pracował on przez rok w PAN-ie, a następnie powrócił do pracy naukowej na uczelni, by w 1986 r. przejść na wcześniejszą emeryturę. W tamtym czasie konsultował jeszcze pracę magisterską Marka Adamkiewicza, który po odmowie służby wojskowej znalazł się w zakładzie karnym. I choć Adamkiewicz napisał pracę magisterską pod kierunkiem prof. Kopcia, na miesiąc przed terminem obrony został skreślony przez rektora Jaskota z listy studentów. Po 1989 r., pomimo przejścia na emeryturę, Józef Kopeć powrócił raz jeszcze do pracy badawczej – początkowo na Politechnice Szczecińskiej, a po ustąpieniu rektora Jaskota w 1990 r., także do pracy na Uniwersytecie Szczecińskim. Prof. Józef Kopeć zmarł 28 lipca 2006 r.

Po 1989 r. US niechętnie rozliczał się ze swoich uwikłań z okresu komunistycznego, a osoby skompromitowane do niedawna pełniły jeszcze znaczące funkcje na uczelni. Można by rzec, że elementem decydującym w tym zakresie było „odchodzenie na emeryturę". W przyszłym roku będziemy obchodzili setną rocznicę urodzin prof. Kopcia, co może być znakomitą okazją dla Uniwersytetu do przypomnienia osoby i wartości, do których się odwoływał w swoim życiu, co otwierałoby uczelnię na universitas.

eprasa.pl e7783acae2

Ukraina według Adolfa Bocheńskiego



MAREK JUREK

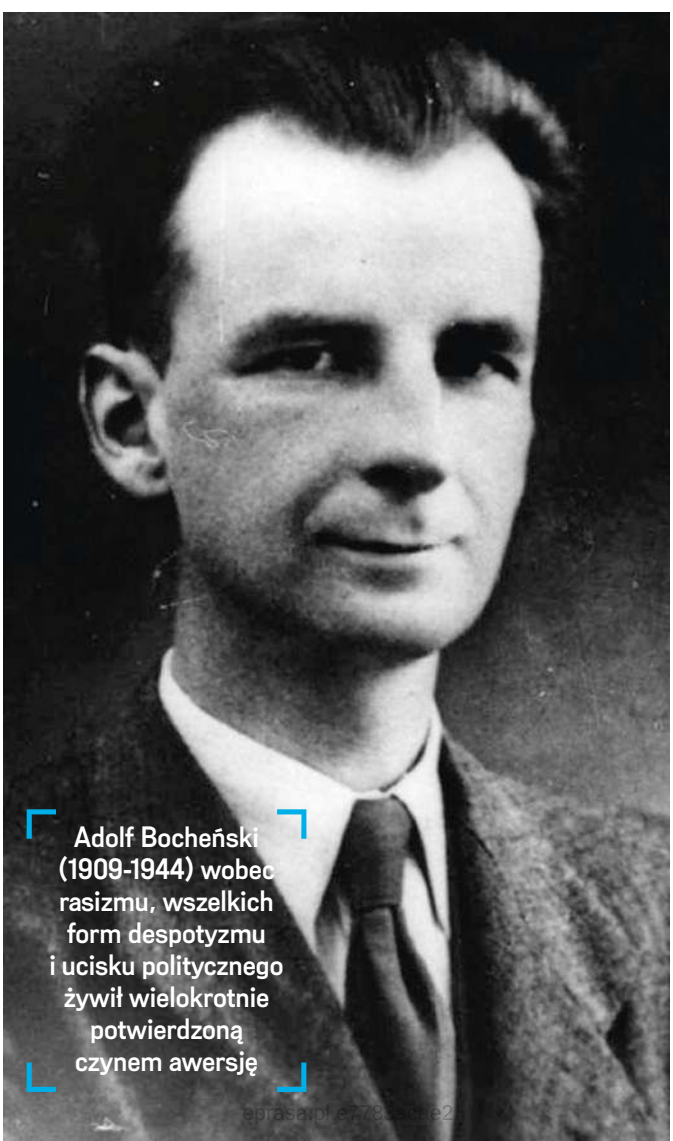
Autor „Między Niemcami a Rosją" był zwolennikiem porozumienia z Niemcami i rozbicia Związku Sowieckiego. Uważał, że w wersalskim układzie sił niepodległość Polski jest nie do utrzymania, bo logiką rewizjonistycznej polityki Niemiec oraz ZSRS jest rozbiór i w konsekwencji likwidacja niepodległej Polski.

Chyba że wybuchnie między nimi wojna. Zakładał, że polityka polska może mieć na to pewien wpływ, wspierając nastawienie tego z dwóch mocarstw zagrażających Polsce, które gotowe jest podjąć wojnę przeciw drugiemu.

Na przejęcie władzy przez Hitlera w Niemczech zareagował więc podobnie jak Pius XI. Papież w pierwszej chwili uznał bowiem, że pojawił się wreszcie w Europie polityk, który mówi o potrzebie czynnej walki z komunizmem. Pius XI szybko na Hitlerze się poznał, a nazizm uznał za ideologię podobną do bolszewizmu, więc za kolejne wyzwanie dla cywilizacji chrześcijańskiej. Ojciec Święty patrzył na sprawę z perspektywy odpowiedzialności uniwersalnej, Bocheński – przez pryzmat narodowy. Wobec rasizmu, wszelkich form despotyzmu i ucisku politycznego żywił wielokrotnie potwierdzoną czynem awersję. Uważał natomiast, że antykomunistyczny zwrot w niemieckiej polityce nie tylko przełamuje bierność Zachodu wobec Rosji sowieckiej, lecz co więcej – rozwiera obcęgi, które gniotą i muszą zgnieść naszą niepodległość. I stanowi żywioł, który może doprowadzić do zmian na Wschodzie.

Niepodległość Ukrainy, czyli podzielona Rosja

Gwarantem trwałości i korzystnego dla Polski charakteru tych zmian miała być niepodległość Ukrainy. W geopolitycznym planie Bocheńskiego stanowiła po prostu formę podziału Rosji. Tu Adolf Bocheński antycypował przekonanie Zbigniewa Brzezińskiego o kluczowej geopolitycznie pozycji Ukrainy, bez której Rosja przestaje być światowym mocarstwem, ale które zachowuje – stanowi imperium wiszące jak miecz Damoklesa nad Europą Środkową, w pierwszym więc rzędzie – nad Polską. „Tylko podział Rosji na dwa państwa wzajemnie się neutralizujące – pisał Bocheński w »Między Niemcami a Rosją« – może to niebezpieczeństwo od nas odwrócić". Zaznaczał przy tym z naciskiem, że kluczowe znaczenie ma demontaż wschodniego imperium, a nie nadzieje na „idylliczne stosunki z Polską" przyszłej Ukrainy. Uważał, że w perspektywie przyszłości „jest dla nas rzeczą obojętną, czy Polska będzie kiedyś w złych stosunkach z Ukrainą a dobrych z Rosją, czy też odwrotnie". Był bowiem przekonany, że relacje tych państw będą antagonistyczne. Z niezwykłą jasnością w 1937 r. przepowiadał, że nawet „gdyby Rosja uznała kiedyś niepodległość Ukrainy za fakt dokonany i konieczny, to między oboma państwami wystąpiłyby z ogromną siłą spory o pograniczne mieszane narodowościowo obszary". I za Włodzimierzem Bączkowskim wskazywał „na zasadniczą rolę Zagłębia Donieckiego"!

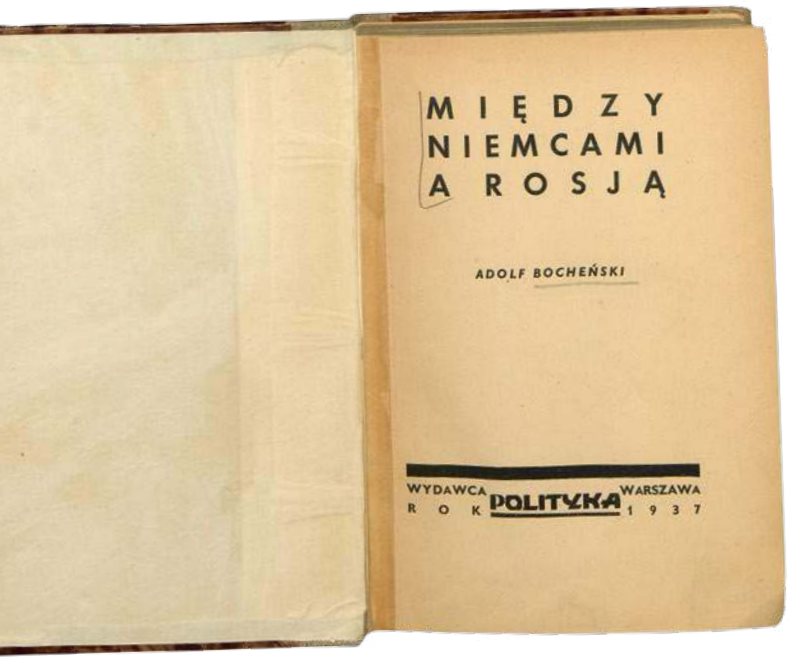


Adolf Bocheński (1909-1944) wobec rasizmu, wszelkich form despotyzmu i ucisku politycznego żywił wielokrotnie potwierdzoną czynem awersję

FOT. POLONA.PL; ARCHIWUM

Kogoś może razić ta na pozór chłodna, a przecież motywowana żarliwą odpowiedzialnością za zachowanie niepodległości Polski, analiza. Taka reakcja byłaby jednak bardzo powierzchowna. Bocheński nie „postulował wojny". Był po prostu przekonany, że porozumienie Rosji i Niemiec (do którego „automatycznie prowadzi obecne status quo") oznaczać będzie wojnę, chciał więc zapobiec jej najgorszym dla Polski konsekwencjom. I dlatego uważał, że Rzeczpospolita musi się starać, by nieunikniona wojna wybuchła nie przeciw nam, ale pomiędzy naszymi wrogami.

Widząc zaś w Ukrainie czynnik równowagi wschodnioeuropejskiej, traktował ją właśnie jako jej element konieczny na mapie Europy, bo „znaczne osłabienie Ukrainy lub nowe zniknięcie jej z kart Europy nie mogłoby leżeć w interesie Rzeczypospolitej, podobnie jak bardzo znaczne



osłabienie Rzeczypospolitej nie mogłoby leżeć w interesie Ukrainy".

Rozumieć interesy, nawet jeśli się im przeciwstawiamy

Głęboka troska o zachowanie niepodległości prowadziła Bocheńskiego do szukania korzystnego dla Polski porządku międzynarodowego. To zaś kazało poznać i szanować podejścia narodów, które będą go tworzyć. Aby bronić w sytuacjach kolizyjnych polskich interesów, ale również aby otwierać pola potrzebnej współpracy – trzeba rozumieć cudzą perspektywę. Dlatego właśnie stał się Adolf Bocheński jednym z najlepszych w Polsce znawców ukraińskiej literatury politycznej, historycznej i wojskowej (którą czytał oczywiście w oryginale). Był przekonany, że politykę państw i narodów definiują ich interesy, ale uważał, że po pierwsze – okoliczności, które je wyznaczają, popychać mogą politykę w różnych kierunkach, po drugie – na rozumienie interesu zawsze wpływa kultura danego narodu, jego doświadczenia, wcześniejsze dążenia. Stąd o ile polityka nie jest od okoliczności niezależna, o tyle wyciągając z nich różne wnioski, można różnie definiować interes narodowy.

W wypadku Ukrainy wskazywał na dwie linie, które wyznaczać mogą różne kierunki jej polityki. Pierwsza – to generalny podział na zachód i szeroko rozumiany wschód, na różnice między Galicją Wschodnią a resztą historycznego i etnicznego obszaru Ukrainy. Druga – to podział ukraińskiej prawicy na nacjonalistyczną szkołę Dmytra Doncowa i konserwatywną Wacława Lipińskiego (Wjaczesława Łypynskiego). W tym labiryncie (bo opisywana przezeń kulturowa przestrzeń była dużo bogatsza) chciał szukać drogi dla polsko-ukraińskiego porozumienia.

Z perspektywy czasu można pytać, czy nadzieje te nie były całkowicie złudne. Można np. twierdzić, że Bocheński przypisywał zbyt duże znaczenie ukraińskim konserwatystom. Ale to względny zarzut, wojna z reguły wywraca porządek polityczny. Kto mógł w połowie lat 30. przewidywać, że za 10 lat największą partią w Polsce będą ludowcy?

Adolf Bocheński dostrzegał widmo tragedii na horyzoncie, przestrzegał tylko, że antyukraińska polityka, łamanie prostego założenia marszałka Piłsudskiego, że Ukraińcom nie może być pod panowaniem Rzeczypospolitej gorzej, niż było im pod panowaniem Habsburgów, to droga ku przepaści. „Wszyscy ci – pisał w artykule »Aleksander Wielopolski i Bazyli Mudry« – którzy nie mając pojęcia o Ukraińcach i ich nastrojach, zajmują się bezmyślnym szczuciem Polaków na mniejszość, biorą na siebie krew ofiar, która zostanie być może przelana, jeżeli tak dalej pójdzie".

WIDZĄC W UKRAINIE CZYNNIK RÓWNOWAGI WSCHODNIOEUROPEJSKIEJ – TRAKTOWAŁ JĄ JAKO JEJ ELEMENT KONIECZNY NA MAPIE EUROPY

Neojagiellonizm przeciw idei jagiellońskiej

Jednocześnie krytykował naiwny federalizm, posługujący się deklamacją jagiellońską. Przekonywał, że wskazywanie Ukraińcom czy Litwinom jako ideału czasów, w których polska Rzeczpospolita dokonała kulturowej asymilacji ich elit – działać musi na te narody równie odstraszająco jak jawne ograniczanie praw.

Punktem wyjścia do współpracy musi więc być jasne uznanie ich podwójnej odrębności: od Polski w ogóle oraz odrębności ich współczesnego życia narodowego od wspomnień historycznych i dawnych form politycznych, które w poprzednich wiekach rozpłynęły się w morzu cywilizacji polskiej.

Przed Polską rysował zaś plan szerszy niż ideologiczny jagiellonizm. Chciał naprawdę podjąć niezrealizowane dzieło Jagiellonów, wypełnić testamenty Kazimierza Jagiellończyka i Władysława IV. Wnukowie Jagiełły panowali bowiem (co należy podkreślić – osobno) nad Polską, Litwą, Czechami i Węgrami. Historia ta skończyła się tragiczną śmiercią Ludwika Jagiellończyka pod Mohaczem w 1526 r. Władysław IV, prawnuk Zygmunta Starego, chciał do tej polityki wrócić. Przeszkodziło w tym powstanie Chmielnickiego, mówiąc językiem dzisiejszym – kwestia ukraińska.

Doktryna Bocheńskiego (którą autor nazywał skromnie „polską doktryną Monroe") zakładała więc podjęcie przez Polskę roli zwornika Europy Środkowej, wspierającej jej państwa w zachowaniu niezależności wobec imperiów na wschodzie i zachodzie. Programem miała być solidarność, a nie destrukcyjne wobec niej aspiracje dominacyjne. Wyzwania były nominalnie inne jak w czasach Jagiellonów i Wazów. Wtedy na wschodzie była Turcja, na zachodzie – Cesarstwo Habsburgów. Jednak struktura geopolityczna Europy Środkowej pozostała podobna. I tak jak w czasach synów i wnuków Jagiełły, nadal potrzebowała ośrodka siły i politycznej inicjatywy, zachęcających do przeciwdziałania dominacji mocarstw i budowania wzajemnych więzi między państwami tego regionu.

eprasa.pl e7783acae2

KSIĘŻNA LITERATKA



WINCENTY KOROTYŃSKI UWAŻAŁ, ŻE JEJ TALENT BYŁ NIEWIELKI, ALE WŁASNY, ORYGINALNY, NIEEPIGOŃSKI, A TWÓRCZOŚĆ PROSTA, SZCZERA, UCZUCIOWA. CZYTANO JĄ CHĘTNIE, WIERSZE PRZEPISYWANO DO SZTAMBUCHÓW I ALBUMÓW



JOANNA PUCHALSKA

Urodzona w 1815 r. Gabriela księżna Puzynina była najmłodszą z trzech córek Adama Günthera i Aleksandry z Tyzenhauzów. Panny wychowywały się w majątku Dobrowlany w powiecie święciańskim, zimy zaś spędzano w Wilnie. Dom rodzinny był troskliwy i kochający, dziewczynki dużo przebywały w towarzystwie starszych. Znaczny wpływ na ich rozwój intelektualny miały osoby bywające u rodziców, a więc Ignacy Chodźko, Jan Krzysztof Damel, Józef Mianowski, Antoni Edward Odyniec, Jan Rustem, Jędrzej Śniadecki, Maria Szymanowska, Tomasz Zan. Panny od najmłodszych lat chodziły do teatru w Wilnie, a także w Warszawie – podczas wizyt u babki Tyzenhauzowej. Te pierwsze kontakty z Melpomeną też kształtowały literacki gust Gabrieli i miały wpływ na późniejszą twórczość.

W rodzicielskim salonie czytało się „Obrazy litewskie" Ignacego Chodźki, wiersze i dramaty Antoniego Edwarda Odyńca, poezje Władysława Syrokomli, Tomasza Zana, Wincentego Pola, powieści Józefa Ignacego Kraszewskiego i Waltera Scotta oraz utwory piszących pań, a więc Hoffmanowej, Deotymy, Pruszakowej-Duchińskiej, Ilnickiej. Znany był dobrze kanon polskiej literatury: Julian Ursyn Niemcewicz, Ignacy Krasicki, Franciszek Karpiński, Kazimierz Brodziński, Alojzy Feliński, Stanisław Trembecki, Franciszek Wężyk.

Najmłodsza panna Güntherówna od dziecka prowadziła pamiętnik, odnotowując wydarzenia z życia rodziny. Nie była piękna, za mąż wyszła późno i być może dzięki temu miała wewnętrzną przestrzeń, by rozwinąć się twórczo.

Nie zachwycał jej Homer

Nie przepadała za literaturą klasyczną, natomiast już na 10-letniej dziewczynce wywarła silne wrażenie poezja Adama Mickiewicza, zwłaszcza ballady. Ten romantyzm był swojski, wywodzący się z dobrze znanego litewskiego świata. Po latach Gabriela napisze: „»Powrót Taty«, »Kurhanek Maryli«, »Pani Twardowska««, »Pierwiosnek« itd. omal co wieczór czytane były w naszym salonie i zawsze słuchane z nowym zajęciem, zawsze z tym samym rozrzewnieniem". W Dobrowlanach gościł też „Konrad Wallenrod", „Dziady" i oczywiście „Pan Tadeusz". Jako dorosła rozprowadzała po Litwie egzemplarze „Ksiąg narodu polskiego i pielgrzymstwa polskiego". I w romantyczno-sentymentalnym geście posłała wieszczowi do Paryża butelkę wody z Niemna z dołączonym własnym wierszem podpisanym „Litwinka". Podobno poeta ochrzcił tą wodą najmłodszego syna.

Nasza litewska muza

Po salonach krążyły w odpisach układane przez nią młodzieńcze wierszyki, poprawiane z początku przez Ignacego Chodźkę. Utwór o incipicie „Już karnawał", podpisany inicjałami G.G., wydrukowało warszawskie czasopismo „Motyl", gdy autorka miała 13 lat. Dwa inne wiersze ukazały się w druku dopiero 10 lat później w wileńskim piśmie „Biruta". Jeden z nich zatytułowany był „Ganek" i głosił pochwałę rodzicielskiego domu.

Ganeczku luby, ganeczku kochany!
Niech mieszka szczęście przy tobie;
Bo nikt przyszedłszy w żałobie,
We łzach stąd nigdy nie był odegnany!

Szczęśliwy dom i czuła opieka rodziców to skarb, ale może to być także utrudnienie. Gabriela była zbyt posłuszna, wręcz uległa i brakowało jej śmiałości, by wygłaszać niezależne sądy. Na szczęście spotkała mądrych i życzliwych ludzi, który dopomogli jej rozwinąć skrzydła. Jednym z pierwszych recenzentów był Józef Ignacy Kraszewski (zaprosił ją nawet do współpracy z „Athenaeum"), a po nim szczególnie dla niej ważni byli Antoni Edward Odyniec i Ignacy Chodźko. Ten ostatni nazwał ją „naszą litewską muzą"

FOT. ARCHIWUM: BIBLIOTEKA NARODOWA; SHUTTERSTOCK

eprasa.pl e7783acae2

i przekonał niechętną matkę 28-letniej autorki, by zgodziła się na publikację wierszy córki. Dzięki temu ukazał się pierwszy tomik zatytułowany „W imię Boże". Krytyka przyjęła go życzliwie. Pisano o „świeżości, czystości, ujmującej naiwności". W 1845 r. wyszedł kolejny zbiorek „Dalej w świat!", który zawierał głównie utwory okolicznościowe, a także liryczne i krótkie epickie. Trzeci, będący w części powtórzeniem dwóch poprzednich, wydano w 1859 r., gdy Gabriela była już mężatką.

Nigdy nie pretendowała do roli poetki-wieszczki. Swoją rolę określała dużo skromniej:

Ja cichy strumień, co płynie tak skromnie,
Ja, co śród wieszczów jestem tylko gością,
Której nikt jeszcze nie wsławił zazdrością,
A nucąc z cicha, w tak łatwym sposobie,
Kilku przyjaciół wyśpiewałam sobie.

Za przykładem Klementyny Hoffmanowej, która wydawała pismo „Rozrywki dla dzieci", panna Güntherówna napisała książeczkę przeznaczoną dla młodych czytelników, zatytułowaną „Dzieci litewskie, ich słówka, odpowiedzi i postrzeżenia".

U księżnej w salonie

W 1851 r., mając 36 lat, wyszła za mąż za księcia Tadeusza Puzynę. Jako mężatka nawiązywała samodzielne kontakty z wydawcami, próbowała, nie zawsze skutecznie, negocjować wyższe honoraria. W 1857 r. opublikowała aż trzy tomy opowiadań. Są to powiastki i szkice z życia ziemiaństwa na Litwie, niektóre oparte na własnych wspomnieniach. Zaciekawienie czytelników budziła „Szpileczka z roku 1730. Katakumby Kościoła Dominikańskiego w Wilnie" z tomiku „Małe a prawdziwe opowiadania". Jest to opowieść o wycieczce do kościelnych podziemi. Szpilka wyjęta z czepka pochowanej tu kobiety inspiruje autorkę do historyczno-obyczajowych refleksji.

W swoim salonie w mężowskim Horodziłłowie, a także w posagowym Potulinie i w Wilnie gościła Władysława Syrokomlę, a do stałego kręgu znajomych należeli m.in. Antoni Kątski, Józef Korzeniowski, Władysław Mickiewicz, Stanisław Moniuszko, Henryk Wieniawski, Wincenty Korotyński, Adam Honory Kirkor. Szczególnie bliski od lat pozostawał Chodźko. Bywali u niej również aktorzy, choć przyjmowanie ich nie było dobrze postrzegane w jej sferze. Księżna organizowała wspólne czytanie książek i przedstawienia amatorskie, gdyż coraz bardziej wciągał ją teatr.

Z Melpomeną w sercu

Zachęcona przez Franciszka Wężyka zaczęła próbować sił w dramacie. Sama miała wrodzony talent komiczny i aktorski, ale że była z natury nieśmiała – do tego matka wychowywała ją zgodnie z zasadą, iż kobieta „najszczęśliwsza jest, gdy o niej ludzie nie wiedzą i nie mówią" – tylko w ten sposób mogła realizować sceniczne tęsknoty.

Jej sztuki wystawiane były nie tylko po amatorsku w salonach, lecz także przez teatr w Wilnie, jak na przykład dwuaktowa komedia wierszem „Czy ładna, czy bogata?". Na tej samej scenie zaprezentowano też „Muzułmanina na Litwie", „Za miastem", „Córkę filozofa XVIII wieku" i komedię „Krzyż wojskowy". Odyniec wyraził się o jej twórczości scenicznej, iż „brak wyższego artyzmu okupuje szlachetna myśl i dążność".

Osobny rozdział twórczości księżnej to publicystyka. Felietony i artykuły ogłaszała w „Bluszczu", „Kółku Domowym", „Kronice Rodzinnej", „Opiekunie Domowym", „Przyjacielu Domowym" i „Tygodniku Ilustrowanym".



Kronikarka litewskich dworów

Od wczesnej młodości prowadziła dziennik. Na podstawie tych zapisków oraz rodzinnej korespondencji powstały pamiętniki zatytułowane „Moja pamięć". Ilustrowany rysunkami i fotografiami rękopis uległ zniszczeniu w czasie powstania warszawskiego. Przed wojną udało się wydać tylko pierwszą jego część, która ukazała się pod tytułem „W Wilnie i w dworach litewskich. Pamiętnik z lat 1815–1843". Dziś jest to najbardziej znana jej książka, świetne źródło wiadomości o życiu i obyczajach litewskich ziemian.

Prosta, szczera, uczuciowa

Obdarzona zdrowym rozsądkiem i poczuciem humoru w swoich utworach nie moralizowała, lecz doradzała. Zaangażowana w kwestię włościańską, nie walczyła, lecz przekonywała opornych. Była też znana jako filantropka i popierała młode talenty. Wielu osobom „drogę w świat otwarła", jak napisał Władysław Korotyński. Powiedział też o niej: „Z chlubą dla siebie wielką panią być nie umiała".

Nie była typem intelektualistki, natomiast mając w sobie ciekawość świata, starała się nadrobić niedostatki domowej edukacji i chętnie uczyła się nowych rzeczy. Uwielbiała naukowe nowinki, nawet próbowała sama fotografować.

Chapeau bas za to, że mimo oporów rodziny, zwłaszcza matki, uparcie pisała i zdobyła rozgłos. Dziś należy do grona pisarek zapomnianych, takich jak Deotyma, Seweryna Pruszakowa-Duchińska, Maria Ilnicka, Paulina Wilkońska czy Gabriela Żmichowska (ta ostatnia, podobnie jak Klementyna Hoffmanowa, bardziej znana jest jako patronka warszawskiego liceum niż autorka).

Gabriela Puzynina zmarła stosunkowo młodo, w wieku 53 lat, prawdopodobnie na raka piersi. „Otoczona kwiatami i przyjaciółmi, używam lata i staram się nie myśleć o jesieni" – napisała w ostatnich miesiącach życia do Odyńca. Po „grobach familijnych Puzynów" w podziemiach horodziłłowskiego kościoła, gdzie ją pochowano, nie pozostał żaden ślad.

eprasa.pl e7783acae2



Kolby laboratoryjne i probówki stosowane przy rozwoju penicyliny, ok. 1940 r.

ZWYCIĘSKA PENICYLINA

NAJGROŹNIEJSZY WRÓG TO TAKI, KTÓRY DZIAŁA PO CICHU I GO NIE WIDAĆ. CIĘŻKA TO WALKA Z TAKIM PRZECIWNIKIEM



KRZYSZTOF ŻARYN

Teoria ta jest powszechnie znana i często wykorzystywana w strategiach wojskowych. Sprzęt militarny, mundury, wszystkie akcesoria produkowane są w takich barwach, by myliły przeciwnika. Pociski, drony, samoloty również konstruuje się tak, by były jak najsłabiej wykrywalne przez radary wroga. Im trudniej zauważyć czy wykryć broń, tym większe zniszczenie może ona nieść. Podobnie dzieje się z naszym organizmem i patogenami, które wpływają na niego, a są trudne do zauważenia. Jednym z powszechnie spotykanych a niewidocznych gołym okiem organizmów żyjących, o silnie negatywnym wpływie na człowieka są bakterie. Nijak nie jesteśmy w stanie bez narzędzi zaobserwować ich działania, a skutki ich żeru są opłakane. Do czasu wynalezienia lekarstwa bakteriobójczego człowiek był niemal bezbronny wobec działania tych mikroskopijnych komórek. Dopiero przypadek spowodował, że nastąpił przełom w medycynie i wynaleziono penicylinę – pierwszy antybiotyk.

Czym jednak są te niewidoczne ustroje? To najczęściej jednokomórkowe mikroorganizmy, które mogą przedostawać się do ciała ludzkiego i namnażać się w nim. Na bardzo dużą liczbę rozmnożonych bakterii organizm odpowiada na poziomie układu odpornościowego. Koniec końców mechanizm ten doprowadza do powstania stanu chorobowego. Może się on objawiać gorączką, wymiotami, biegunkami. Najczęściej zakłócenie pracy organizmu rozwija się w towarzystwie stanu zapalnego wywołanego przez opisywane drobnoustroje. Najczęstsze choroby spowodowane działaniem bakterii to: angina, borelioza, różyczka czy tężec. W sytuacji skrajnie niebezpiecznej zakażenie bakteriami może doprowadzić do sepsy, czyli gwałtownej, ogólnej reakcji zapalnej organizmu, a w konsekwencji do śmierci. I taki najczarniejszy ze scenariuszy występował bardzo często do momentu wykrycia antybiotyków, czyli leków bakteriobójczych.


Antoni van Leeuwenhoek

Spotkanie, nazwanie, poznanie

Mimo że nastąpiło to dopiero w XX w., to już znacznie wcześniej ludzie zdali sobie sprawę z powagi problemu. Próbowano radzić sobie z zakażeniami bakteryjnymi na różne sposoby. Na bardzo odległych dla nas terenach, czyli dzisiejszej Boliwii i Peru, stosowano wyciąg z kory drzewa tebabuja. Podobne działanie ma kora lapacho, a w naszym domowym ogródku drzewa dębu. Zaglądając bardziej w naszą historię, odnaleźć można inny sposób radzenia sobie z zakażeniami. W Trylogii Henryka Sienkiewicza bardzo często opisywany był sposób na zagryzkę chleba z pleśnią lub pajęczyną. Taka mieszanka wprowadzana w ranę działała bakteriobójczo. Antybiotyki, które odnaleźć można w naturze, to również miód, czosnek

FOT. WALTER CICCHETTI/SHUTTERSTOCK.COM; SHUTTERSTOCK; WELLCOME LIBRARY, LONDON

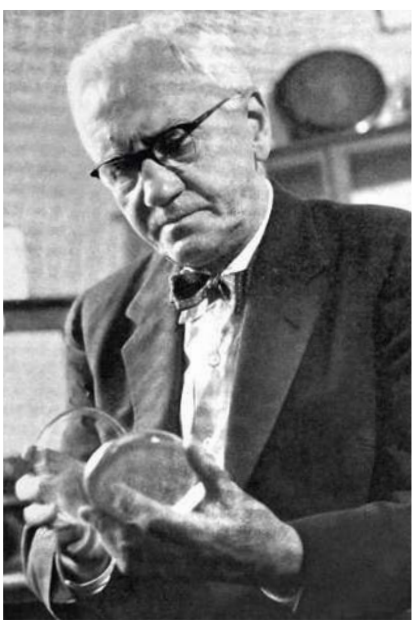
eprasa.pl e7783acae2

czy cebula. Działanie tych substancji i ich stosowanie było intuicyjne, ponieważ odkrycie bakterii to dopiero późniejsze czasy.

Za człowieka, który zauważył bakterię po raz pierwszy, uznaje się holenderskiego urzędnika i przyrodnika Antoniego van Leeuwenhoeka (1632–1723). Było to w 1686 r. na własnoręcznie przez niego skonstruowanym mikroskopie. Swoje odkrycie nazwał „animalcules", co oznaczać mogło bardzo małe zwierzątka. W grupie tej znajdowały się właśnie bakterie, pierwotniaki i małe zwierzęta. Zmiana nazwy nastąpiła dopiero po niespełna 200 latach. W 1838 r. niemiecki przyrodnik Christian Gottfried Ehrenberg (1795–1876) użył greckiego określenia „bakterion", czyli pałeczka. Słowo to pochodzi od pałeczkowych kształtów badanych drobnoustrojów. Kilka lat później znani naukowcy Ludwik Pasteur (1822–1895) oraz Robert Koch (1843–1910) udowodnili chorobotwórcze działanie tych mikroskopijnych organizmów. A odkrycie to było kamieniem milowym do wynalezienia penicyliny – pierwszego antybiotyku.

Błogosławione bałaganiarstwo

Odkrywcą tego przełomowego leku był szkocki naukowiec Alexander Fleming (1881–1955). Spadkobierca sporego majątku znaczną jego część przeznaczył na swoją edukację. Ukończył studia medyczne na londyńskim uniwersytecie. Oprócz medycyny fascynowało go wojsko. Połączenie tych zainteresowań spowodowało, że w momencie wybuchu I wojny światowej przydzielony został do korpusu medycznego w randze kapitana. Nie potrzebował spędzić dużo czasu na froncie, by się zorientować, że podstawowym powodem śmierci żołnierzy były zakażenia wdające się w rany. Fleming począł szybko analizować zagrożenia i interesować się substancjami przeciwbakteryjnymi. Zaobserwował ich zawodność wynikającą z braku dostępu do rozwijających się bakterii w środowisku beztlenowym. Wnioski te poczynił, widząc, że mimo stosowania preparatu powierzchniowo, infekcje pogłębiały się wewnątrz opatrywanej rany. Kluczem do ewentualnego sukcesu w stosowaniu leku miała być ocena ran pod względem ich ciężkości i zanieczyszczenia. Jednak na tym etapie nie mógł uznać swego odkrycia za przełomowe. Dlatego nie ustawał w badaniach. Już po wojnie nastąpiło jego pierwsze odkrycie substancji bakteriobójczej. Był to lizozym. Jak to często bywa, pomógł przypadek. W czasie przeziębienia Fleming naniósł śluz nosowy na szalkę laboratoryjną. Według legendy po prostu o tym zapomniał i pozostawił na blacie biurka. Po jakimś czasie zobaczył w świetle mikroskopu, że cała szalka była zasiedlona mikroorganizmami poza miejscem śluzu. Okazało się, że śluz ludzki posiada substancję bakteriobójczą. Dalsze badania pokazały jednak jej bardzo nikłą skuteczność. Zabijała ona niewielką liczbę bakterii. Jednak było to pierwsze sukcesywne odkrycie tego szkockiego lekarza.



FOT. WELLCOMECOLLECTION.ORG

Alexander Fleming (1881–1955)

Kontynuując swe badania, Fleming skupił się na bakteriach z rodziny gronkowców. Prowadził kolejne serie obserwacji. Sądząc jednak po niektórych legendach krążących na temat naukowca, nie był on najbardziej pedantycznym człowiekiem. Historia głosi, że prowadząc badania na wyżej wymienionej grupie, pozostawił kulturę bakterii gronkowca w laboratorium i wyjechał na wakacje. Po powrocie zobaczył, że podmuchy z nieopodal znajdującego się okna przywiały do próbki zarodniki pleśni. Fleming z zaskoczeniem stwierdził, że bakterie występujące przy zarodnikach pleśni momentalnie obumarły. Naukowiec poszedł tym tropem i wyodrębnił substancję odpowiedzialną za ten stan rzeczy. W ten sposób został odkryty pierwszy znany nam antybiotyk – penicylina.

Przełom

Naukowiec zafascynowany swoim odkryciem przeprowadzał wiele kolejnych eksperymentów. Mimo swojej dużej determinacji nie zdołał on jednak opatentować swojego odkrycia. Barierą miały być sprawy finansowe. Gdy Fleming przeszedł już na zasłużoną emeryturę, jego odkryciem zainteresowało się dwóch naukowców: Howard Florey (1898–1968) i Ernst Chain (1906–1979). Zdołali już wyizolować pewną część penicyliny w swoim laboratorium, gdy nadarzyła się okazja do jej zastosowania. Żona profesora Floreya przedstawiła przypadek pewnego policjanta, który przeszedł zabieg usunięcia oka w wyniku powstania ropnia po zadrapaniu się cierniem róży. Pacjent był w bardzo ciężkim stanie. W wyniku ingerencji w ranie policjanta rozwinęła się infekcja bakteryjna. Naukowcy widząc, że stan operowanego jest bardzo ciężki, postanowili podjąć próbę zastosowania swojego preparatu. Zaaplikowali w ranę chorego całą wyizolowaną dawkę penicyliny. Następnego dnia stan policjanta znacząco się poprawił. Zelżała mu gorączka, wrócił apetyt. Pacjent zaczął znacznie lepiej rokować. Niestety zastosowana dawka okazała się za mała. Stan chorego ponownie pogorszył się po kilku dniach, a że nie było możliwości szybkiego wyizolowania potrzebnej dawki penicyliny, pacjent zmarł. Do powyższej sytuacji idealnie pasuje znany cytat: „Operacja się udała, pacjent zmarł", ponieważ mimo braku końcowego powodzenia w konkretnym przypadku okazało się, że penicylina może skutecznie walczyć z zakażeniami bakteryjnymi. Nie bez kozery wykrycie penicyliny nazwano przełomem medycyny.

Żeby jednak być uczciwym w stosunku do wielkiej grupy organizmów, jakimi są bakterie, trzeba wspomnieć również o tych, które działają dla człowieka prozdrowotnie. Mowa tu o bakteriach probiotycznych zasiedlających przede wszystkim nasz układ pokarmowy. Są pierwszą barierą między środowiskiem zewnętrznym a organizmem człowieka. Stanowią silną warstwę ochronną. Mają działanie odpornościowe oraz wspomagają trawienie. Aby poprawiać swoją florę bakterii jelitowych, należy spożywać fermentowane produkty mleczne oraz kiszonki.

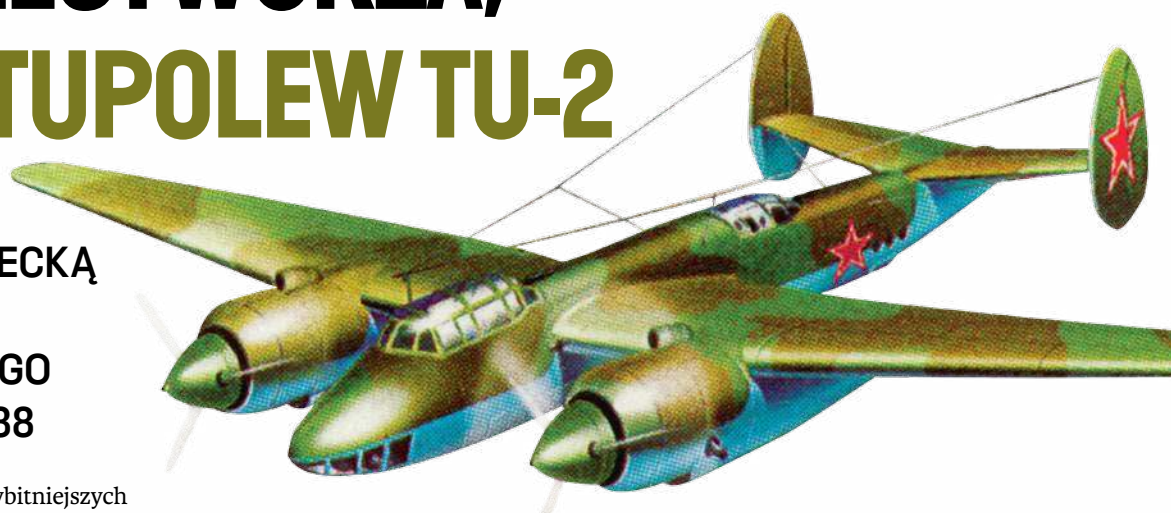
eprasa.pl e7783acae2

Z WIĘZIENNEJ CELI W PRZESTWORZA, CZYLI TUPOLEW TU-2



KACPER GROCHOCKI

BOMBOWIEC TU-2 BYŁ SOWIECKĄ ODPOWIEDZIĄ NA NIEMIECKIEGO JUNKERSA JU-88



FOT. OLGA POPOVA/SHUTTERSTOCK

Jednym z najwybitniejszych sowieckich konstruktorów samolotów był Andriej Nikołajewicz Tupolew. Mimo że w połowie lat 30. XX w. łączył on wysokie kierownicze i projektowe stanowiska w przemyśle lotniczym ZSRS, to paranoja systemu politycznego i stalinowskie czystki dopadły również jego. W październiku 1937 r. Tupolew został aresztowany przez NKWD za rzekomą działalność faszystowską i blisko rok spędził w niesławnym moskiewskim więzieniu Butyrki. W międzyczasie sowiecka bezpieka tworzyła zamknięte biura konstrukcyjne dla specjalistów z różnych dziedzin. Przyznanie się do „winy" pozwoliło na przeniesienie Tupolewa do takiego podmoskiewskiego specwięzienia zamiast do obozu pracy. Tutaj początkowo wraz z zespołem miał skonstruować czterosilnikowy nurkujący bombowiec strategiczny – maszynę, jaką nie dysponowała żadna armia świata. Dopiero po wykazaniu niemożności stworzenia takiego samolotu Tupolew mógł się zająć bardziej realistycznym projektem.

Był nim dwusilnikowy bombowiec nurkujący ANT-58 (od Andriej Nikołajewicz Tupolew), który otrzymał kodowe oznaczenia 103. Pierwsze projekty powstały pod koniec 1939 r. i w pierwszym kwartale 1940 r. zaakceptowano stworzenie prototypów. Budowę pierwszego rozpoczęto w maju, kiedy to sowiecka delegacja lotnicza przebywała w Niemczech. Pokazano jej tam bombowiec Junkers Ju-88, który od tamtego czasu stał się punktem odniesienia dla nowej maszyny Tupolewa. Spowodowało to wprowadzenie wielu modyfikacji do projektu, z których największą była zmiana jednostki napędowej. Z powodu problemów z dostępnością i jakością silników rzędowych zdecydowano o zastosowaniu silników gwiazdowych (silniki M-82 w układzie podwójnej gwiazdy i mocy 1330 KM każdy). Wymusiło to wykonanie ok. 1500 nowych rysunków technicznych, a dodatkowe problemy potęgował fakt ewakuacji biura projektowego do Omska w lipcu 1941 r. W tym samym czasie Tupolew i jego zespół zostali przedterminowo zwolnieni z więzienia, choć na pełną rehabilitację czekali do połowy lat 50.

Owocem wytężonej pracy projektantów był samolot ANT-60 (103W), oblatany w grudniu 1941 r. Na jego bazie powstała pierwsza seria produkcyjna nowego bombowca i choć testy nie zostały zakończone, to na froncie samolot debiutował pod Kalininem we wrześniu 1942 r., szybko zyskując uznanie pilotów. Maszyna otrzymała oznaczenie Tupolew Tu-2 i do października 1942 r. powstało jej 80 szt. Tu-2 okazał się nowoczesną maszyną (4-osobowa załoga i całkowicie metalowa konstrukcja), o dużym udźwigu bomb (do 2000 kg) i odpowiednim zasięgu (ok. 2000 km). Posiadał silne uzbrojenie (2 działka kal. 20 mm, 5 km kal. 7,62 mm oraz możliwość przenoszenia 10 pocisków rakietowych), był wytrzymały na trafienia, a do tego dość łatwy w pilotażu. Jednocześnie był jednak skomplikowany w produkcji, a jego prędkość maksymalna, po wspomnianej zmianie jednostek napędowych, spadła z ok. 610 km/h na pułapie 7800 m, do ok. 530 km/h na pułapie 3200 m.

Właśnie ze względu na poziom złożoności produkcja samolotu została przerwana na rzecz myśliwców jesienią 1942 r. Do Tu-2 powrócono w sierpniu 1943 r., kiedy oblatano prototyp Tu-2S – nowego seryjnego wzorca, którego budowa została uproszczona do możliwości sowieckiego przemysłu i gdy skrócono czas budowy jednego egzemplarza o 20 proc. Poprawiono również silnik i zmodyfikowano uzbrojenie maszyny. Produkcję seryjną wznowiono, po zakończeniu kolejnych testów, w 1944 r.

Po zakończeniu wojny w Europie Tu-2 trafiły na Daleki Wschód. Oprócz wersji bombowej powstało wiele innych modyfikacji, m.in. samoloty torpedowe, rozpoznawcze czy myśliwskie. Łącznie powstało ok. 3000 szt. wszystkich wersji, z czego ponad dwie trzecie stanowiły wersje bombowe.

Tu-2 był udaną konstrukcją, szczególnie zważywszy na jego więzienną proweniencję. Nie ustępował porównywalnym maszynom niemieckim (Ju-88) czy aliantów zachodnich (legendarny De Havilland Mosquito), o czym świadczy fakt, że jako jeden z niewielu samolotów wojennej produkcji był również montowany po 1945 r. W służbie pozostawał do lat 60. Lotnictwo Ludowego Wojska Polskiego także miało ten typ samolotu na wyposażeniu.

eprasa.pl e7783acae2

TAŃCZĄCY Z OGNIEM

Załoga Warszawskiej Straży Ogniowej Zamku Królewskiego

ARCHIWUM IPN
SEKCJA OPRACOWYWANIA DOKUMENTACJI AUDIOWIZUALNEJ



ARTUR CIEŚLIK

Od przeszło dwóch tygodni Rzeczpospolita walczy z niemieckim agresorem. 17 września 1939 r. – nikt nie mógł wiedzieć, że ten dzień Zamek Królewski zapamięta jako „czarną niedzielę".

„[...] w spokojny, pogodny niedzielny ranek około godziny 8 rano rozmawiałam z ojcem na dziedzińcu głównym przy Bramie Grodzkiej. Była to moja ostatnia z nim rozmowa. Nagle rozległ się huk rozrywających się pocisków artyleryjskich. Na naszych oczach pocisk trafił w narożnik dachu Zamku nad Salą Senatorską. Momentalnie wybuchł kłąb czarnego dymu, pokazał się ogień. Ojciec krzyknął: »Pali się – zajmij się mamą, daj mi znać, gdzie jesteście!« i pobiegł. Dach zaczął się palić, ogień błyskawicznie przesuwał się w kierunku wschodnim, od gorąca trzaskały dachówki. Następny pocisk trafił w narożnik nad Salą Balową. Brama Senatorska tonęła w kłębach czarnego dymu" – relacja córki Kazimierza Brokla, kustosza zbiorów muzealnych Zamku Królewskiego w Warszawie.

Siedziba prezydenta RP od wczesnych godzin porannych była pod silnym ostrzałem artyleryjskim pociskami burzącymi i zapalającymi. Około godz. 10.00 pierwszy pocisk zapalający przebił dach i rozerwał się na strychu północnego skrzydła. Żar ognia wskazówki zegara na zamkowej wieży zatrzymał na godz. 11.15.

Do akcji natychmiast przystąpiła drużyna Warszawskiej Straży Ogniowej Zamku Królewskiego. Oddział liczący 12 ludzi, dysponujący dwoma motopompami, zdołał zdławić rozprzestrzeniające się płomienie, ale godzinę później zapaliły się strychy w pozostałych skrzydłach. Do akcji gaśniczej wezwano posiłki, m.in. z II Oddziału Warszawskiej Straży Ogniowej w sile pięciu sekcji. Na terenie Warszawy służba przeciwpożarowa była składową cywilnej obrony ppoż. organizowanej w ramach systemu obrony przeciwlotniczej podporządkowanej dowództwu wojskowemu. Już 10 września dowódca obrony Warszawy gen. Walerian Czuma zarządził zmilitaryzowanie Straży Ogniowej m. st. Warszawy i od tej chwili zgrupowaniom straży ogniowych w poszczególnych dzielnicach nadano wojskową rangę. Cała akcja była prowadzona pod ciężkim ostrzałem – tego dnia poległo trzech strażaków i pięć osób cywilnych. Wśród ofiar był Kazimierz Brokl, który zginął na zamkowym dziedzińcu trafiony odłamkiem pocisku artyleryjskiego.

Na apel prezydenta miasta Stefana Starzyńskiego do ratowania zbiorów i gmachu obok strażaków stanęli kolejarze, harcerze, pracownicy Wydziału Technicznego Zarządu Miejskiego i Muzeum Narodowego w Warszawie oraz członkowie obrony przeciwlotniczej, w akcji pomagali również mieszkańcy Starego Miasta.

Na Starym Mieście z płomieni ratowano m.in. katedrę św. Jana i kościół św. Anny oraz inne budynki cywilne. Powodowało to trudności z zaopatrzeniem w wodę, gdyż ciśnienie w sieci wodociągowej raptownie spadło z 4 do 1,5 atmosfery. Wodę donoszono więc w kubłach.

Akcja gaśnicza Zamku Królewskiego trwała nieprzerwanie kilkanaście godzin. Niestety, wskutek pożaru, który dogaszano jeszcze wieczorem 18 września, spłonęła duża część dachów, hełmy wież Zegarowej i Władysławowskiej, zniszczeniu uległ drewniany strop Sali Wielkiej wraz z plafonem Marcella Bacciarellego „Rozwikłanie chaosu", a także zgromadzone w sali żyrandole, świeczniki i część wyposażenia. W pozostałych salach pożar nie poczynił większych szkód w dużej mierze dzięki stropom ogniotrwałym, założonym w części Zamku w okresie międzywojennym.

Tego dnia, gdy dawna rezydencja królów Rzeczypospolitej była zasypywana gradem pocisków i bomb zapalających, kiedy paliła się katedra św. Jana, Hitler osobiście obserwował oblężenie Warszawy z wieży kościoła na Pradze.



FOT. IPN

Strażacy z Warszawskiej Straży Ogniowej w trakcie akcji gaszenia pożaru w Sali Balowej Zamku Królewskiego

FOT. SHUTTERSTOCK

eprasa.pl/c7783acae2



Fotograf Andrzej Wiktor i dyrektor artystyczny Michał Korsun materializują koncept

Największym atutem robienia okładkowych sesji fotograficznych dla magazynu „wSieci Historii" są ludzie, którzy biorą udział w kreowaniu moich wyobrażeń na temat wydarzeń z przeszłości. Część z nich to prawdziwi pasjonaci, którzy od dekad biorą udział w rekonstrukcjach historycznych, a także zasilają szeregi wojów, rycerzy i żołnierzy na planach filmowych w Polsce i za granicą. To właśnie dzięki rekonstruktorom historycznym mogę liczyć na rzetelne konsultacje dotyczące umundurowania i strojów.

Druga grupa goszcząca na naszym planie zdjęciowym to aktorki i aktorzy, najczęściej młodzi – jeszcze w naszym zasięgu finansowym – wkraczający w świat teatru i kina. Tu chciałbym się pochwalić współpracą z Marianną Januszewicz – jedną z głównych aktorek wielkiej ukraińskiej produkcji pt. „Widdana", Adą Chlebowską – gwiazdą „Kontroli", Nataszą Leśniak – której nie trzeba nikomu przedstawiać, i Martą Julią Skoczek, która właśnie dostała angaż do zagranicznego serialu... Skoro już mowa o utalentowanych aktorkach, należy wspomnieć o bohaterce najnowszej okładki naszego magazynu – Weronice Skwaroń, która niedługo rozpoczyna zdjęcia w niemieckiej produkcji, gdzie jej biegła znajomość języka niemieckiego z pewnością się przyda, ale reszta szczegółów pozostaje jeszcze tajemnicą.

Ta młoda aktorka ze wszystkich seriali i filmów, w których miała okazję się pojawić, z największą ekscytacją wspomina produkcje historyczne. To właśnie w filmach kostiumowych – ze względu na delikatną i oryginalną urodę – często dostaje angaże, choć – jak podkreśla – nie zamyka się na inne wyzwania.

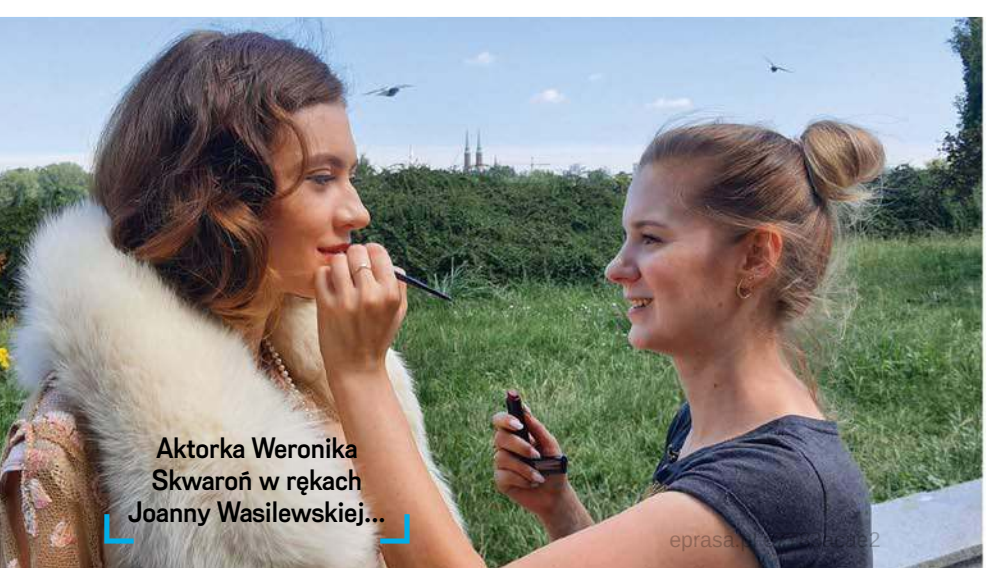
Najmłodszy bohater naszego planu to Aron Jończyk. Niech nikogo nie zwiedzie jego wiek, bo ten dziesięciolatek ma duże doświadczenie, które szlifował w licznych epizodach i rolach filmowych, serialach, sesjach oraz spotach. Także uwielbia występować w filmach kostiumowych i nie boi się grać w różnych trudnych scenach, m.in. z pożarami, strzelaniem i z udziałem kaskaderów. Upadki też nie są mu straszne, o czym mogą świadczyć lekcje jazdy konnej, które pobiera.

A skoro wspomnieliśmy o kaskaderach, to w pozornie spokojnej sesji brał udział jeden z nich – Rafał Mączka, wcielający się w typa spod ciemnej gwiazdy. To kolejna nasza współpraca przy okładce. Rafała cechuje pełen profesjonalizm i cierpliwość, a na planie ten mroczny błysk w oku (do którego pasuje często niemiecki mundur). Akordeonista z okładki to Edward Szambelan. Weteran naszych sesji, z 20-letnim doświadczeniem rekonstruktora i statysty, który brał udział m.in. w takich filmach jak „Bitwa Warszawska 1920", „Zemsta czy przebaczenie", „Cena władzy", „Zomoza". Prywatnie Edward wraz bratem od 40 lat prowadzi pasiekę, obecnie na Mazowszu.

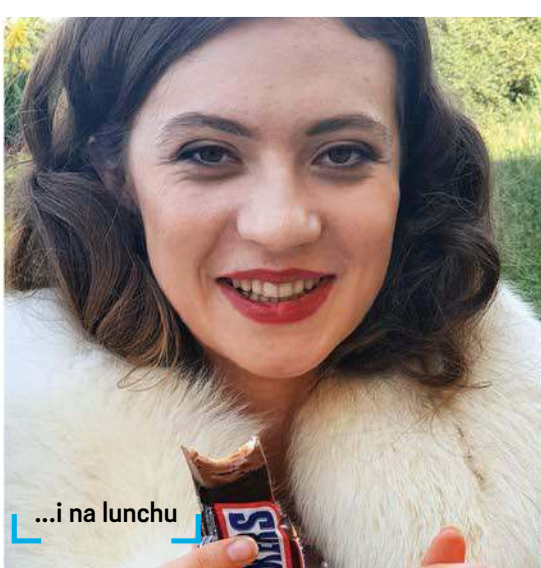
Wszystkich bohaterów sesji ubrał Michał Kępiński z niezawodnej agencji Retro-Pasje, z kolei fryzury, wąsy i make-up'y wykonała charakteryzatorka Joanna Wasilewska – nasz prawdziwy Aniołek :)

MICHAŁ KORSUN

FOT. MICHAŁ KORSUN, ANITA KOWALEWSKA, JOANNA WASILEWSKA, ANDRZEJ WIKTOR



Aktorka Weronika Skwaroń w rękach Joanny Wasilewskiej...



...i na lunchu

eprasa



Wpożyczalnia Retro-Pasje...



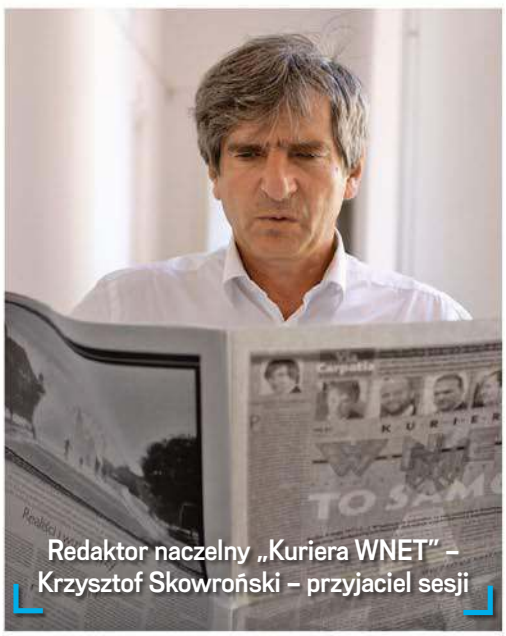
...najlepsze kostiumy na mieście



100 proc. obsady



Aron Jończyk planuje drzemkę



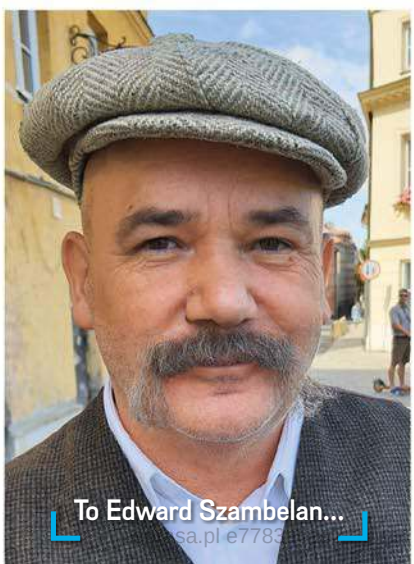
Redaktor naczelny „Kuriera WNET" – Krzysztof Skowroński – przyjaciel sesji



Przystojny i niebezpieczny – Rafał Mączka



Kto tak pięknie śpiewa?



To Edward Szambelan...



...pszczelarz

sa.pl e7783

NAC

KRÓLOWA POBOCZY



Syrena 105 na drodze w pobliżu Kazimierza Dolnego podczas Festiwalu Kapel i Śpiewaków Ludowych, 1980 r.

Pierwszym samochodem osobowym produkowanym w powojennej Polsce była Warszawa, licencyjna wersja radzieckiej Pobiedy, której montaż rozpoczęto w Fabryce Samochodów Osobowych na Żeraniu w 1951 r. Nie był to pojazd dostępny dla masowego odbiorcy – Warszawy służyły głównie jako pojazdy służbowe, taksówki, radiowozy oraz karetki. Syrena powstała więc jako „popularny, oszczędzający czas środek przewozu przy wykonywaniu czynności służbowych i wypoczynku, przeznaczony dla racjonalizatorów, przodowników pracy, aktywistów, naukowców i przodujących przedstawicieli inteligencji". Prace projektowe trwały od sierpnia 1953 r. i już pod koniec roku powstał przedprototyp, a w następnym roku dwa kolejne, testowane wkrótce podczas rajdu próbnego. Zebrane wówczas doświadczenia pozwoliły na zbudowanie pięciu prototypów prezentowanych na XXIV Międzynarodowych Targach Poznańskich w 1955 r., a następnie na V Światowym Festiwalu Młodzieży i Studentów, trwającym w Warszawie od 31 lipca do 14 sierpnia 1955 r.

Seryjną produkcję podjęto w 1957 r., początkowo ręcznie wyklepując blachy na cementowo-asfaltowych formach. Syrena pierwotnie nie miała oznaczeń modelu, dopiero kolejne modyfikacje oznaczano cyframi od 100 do 105. Pojazd początkowo był napędzany dwucylindrowym dwusuwowym silnikiem S-15 o mocy 27 KM. Wbrew obiegowym opiniom nie był to silnik od motopompy, a wręcz przeciwnie – po zastosowaniu w samochodzie powstała również odmiana S-15M przeznaczona do pracy w motopompach, różniąca się przede wszystkim układem chłodzenia. Później stosowano dwucylindrowe silniki S-150 (30 KM), a następnie trzycylindrowe S-31 (40 KM). Samochód mógł osiągnąć prędkość 100–120 km/h w zależności od wersji, zalecana prędkość podróżna wynosiła 60–75 km/h.

Poszczególne modele Syreny różniły się, oprócz silników, detalami nadwozia i wnętrza. Do ważniejszych zmian należało przeniesienie w modelu 103 zbiornika paliwa spod maski do bagażnika czy w wersji 105 zmiana kierunku otwierania drzwi ze staromodnego „pod wiatr" na typowy, stosowany do dziś we wszystkich samochodach. Najbardziej zaawansowanym modelem osobowym była Syrena 105 Lux, produkowana od 1975 r., w której dźwignię zmiany biegów umieszczono w podłodze, a nie przy kierownicy, zastosowano regulowane fotele i miejsce na radioodbiornik. Powstała też wersja pick-up, przeznaczona dla rolnictwa i oznaczona R-20 (1972). Miała jednak niską ładowność i nie mogła holować przyczepy. Bardziej udany był furgon, nazwany „Bosto", czyli „bielski osobowo-towarowy". Bielski, ponieważ od 1971 r. Syreny produkowano w Fabryce Samochodów Małolitrażowych w Bielsku-Białej, zwalniając moce produkcyjne Fabryki Samochodów Osobowych dla produkcji Fiata 125p. Opracowano także prototyp mikrobusu z przeznaczeniem na karetkę pogotowia, który jednak nie wszedł do produkcji seryjnej. Podobny los spotkał Syrenę Sport z awangardowym nadwoziem typu coupé, wykonanym z tworzyw sztucznych i czterosuwowym silnikiem w układzie boxer. Pomimo pomyślnych testów prototyp trafił do magazynu, a następnie został komisyjnie zniszczony – samochód był jedynie studium projektowym, bez planów produkcji seryjnej.

Wszystkie modele Syreny charakteryzowała wysoka awaryjność, co dało jej złośliwy przydomek „królowej poboczy". Newralgicznym punktem były przeguby napędowe, które często ulegały uszkodzeniu, choć wprawny kierowca był w stanie je wymienić w ciągu 20 minut. Również w innych przypadkach prosta konstrukcja samochodu pozwalała na wykonanie napraw we własnym zakresie; wymagało to jednak wożenia całego zestawu narzędzi i licznych części zapasowych. W literaturze fachowej prezentowano sposoby na zwiększenie komfortu eksploatacji, m.in. wyciszenie kabiny kierowcy czy uszczelnienie drzwi.

Syrenę wyprodukowano w łącznej liczbie pół miliona egzemplarzy. Pomimo rozpoczęcia w 1973 r. licencyjnej produkcji „malucha" – Fiata 126p, który zapoczątkował masową motoryzację w Polsce, anachroniczną Syrenę produkowano aż do 1983 r. Jest to najdłużej produkowany samochód polskiej konstrukcji, drugie miejsce zajmuje Polonez (1978–2002). Schyłek PRL i napływ tanich używanych aut z Zachodu spowodował masowe złomowanie lub porzucanie Syren. Wraki stały na osiedlach, dewastowane przez dzieci, lub rdzewiały w stodołach. Dziś Syrena, zwłaszcza najstarsze modele, jest cenionym zabytkiem motoryzacji, a odrestaurowane egzemplarze osiągają wysokie ceny.

ŁUKASZ KAROLEWSKI

FOT. NAC/GRAŻYNA RUTOWSKA; SHUTTERSTOCK

eprasa.pl e7783acae2



W środku z lornetką plut. pchor. „Rafał”, obok niego, najniższa w grupie, „Lusia”

POWSTAŃCZE FOTOGRAFIE SĄ ZNAKOMITYM ŹRÓDŁEM DLA HISTORYKÓW BADAJĄCYCH UMUNDUROWANIE I UZBROJENIE ŻOŁNIERZY ARMII KRAJOWEJ. W TRAKCIE DWÓCH MIESIĘCY WALK DOKUMENTALIŚCI UWIECZNILI NA ZDJĘCIACH ŻOŁNIERZY Z RÓŻNYCH ODDZIAŁÓW POWSTAŃCZYCH, WŚRÓD NICH BYLI ŻOŁNIERZE Z PLUTONU „RAFAŁKI”

CZASZKA – ZNAK „RAFAŁKÓW”



MICHAŁ TOMASZ WÓJCIUK



Żołnierz „Rafałków” pokazuje kpt. Cyprianowi Odorkiewiczowi „Krybarowi” broń zrzutową

To, co wyróżniało „Rafałki” spośród innych jednostek powstańczych, to używanie jako emblematów niemieckich saperskich, żółtych, trójkątnych proporczyków z trupią czaszką, które stanowiły oznaczenie dla terenu zaminowanego bądź skażonego chemicznie. Dodatkowo na hełmach z boku białą farbą malowali sobie literę „R”. Charakterystyczne dla umundurowania plutonu było także namalowane z przodu hełmu dużych rozmiarów godło państwowe – Orzeł Biały. 17-letnia wówczas Halina Paszkowska wspominała, że 2 sierpnia 1944 r. na podwórku budynku przy ul. Smulikowskiego razem z malarzem Kazimierzem Pieniążkiem przez kilka godzin malowali na hełmach literki „R” oraz godła państwowe. Jeszcze tego samego dnia Halinę przyjęto w szeregi plutonu jako łączniczkę i sanitariuszkę pod pseudonimem Lusia. Po latach wspominała swoich kolegów z oddziału: „Była to grupa dwudziestokilkuletnich chłopców, młodych, fantastycznych, przyjemnych. Bardzo się zaprzyjaźniliśmy. Byli wspaniali”. Po wojnie Halina Paszkowska była znanym i cenionym operatorem dźwięku. Przez ponad pół wieku pracowała w Wytwórni Filmów Dokumentalnych i Fabularnych. Udźwiękowiła ponad 20 filmów fabularnych, w tym „Eroicę” i „Zezowate szczęście” Andrzeja Munka, „Nóż w wodzie” Romana Polańskiego, „Pierwszy dzień wolności” Aleksandra Forda oraz ponad 200 filmów dokumentalnych. Zmarła w 2017 r.

Pluton „Rafałków” powstał w pierwszych dniach zrywu na bazie żołnierzy jednej z drużyn III plutonu oddziału Kierownictwa Dywersji I Obwodu AK Śródmieście (ODB-3, Oddział Dywersji Bojowej). Nazwę zawdzięczał pseudonimowi dowódcy plut. pchor. Janowi Potulickiemu „Rafałowi”, „Rafałowi Olbromskiemu”. Pochodził on z rodziny ziemiańskiej sięgającej korzeniami XV w. Potuliccy posiadali przed wojną wiele dóbr, m.in. Kruszewo, Obory, Więcbork, Potulice i Pruszków. „Rafał” w konspiracji skończył kurs Szkoły Podchorążych Rezerwy Piechoty i w ostatnich dniach lipca 1944 r. został oficerem broni w Zgrupowaniu „Konrad”. Miał wówczas 21 lat. W czasie powstania nowo sformowany pluton wszedł w skład 2. kompanii III Zgrupowania „Konrad”. Oddziałowi powierzano zadania mobilnego odwodu wykorzystywanego do szczególnie trudnych akcji, np. zwiadowczych, a także wypadów mających na celu dezorientację przeciwnika oraz misji specjalnych polegających na przedostawaniu się za linie przeciwnika celem pozyskania broni, amunicji i pożywienia. Do ważnych obowiązków oddziału należały również zadania obserwacyjno-strzeleckie polegające na likwidowaniu bądź dezorganizowaniu trasy niemieckich jednostek przemieszczających się mostami Poniatowskiego i średnicowym.

W zbiorach Muzeum Powstania Warszawskiego znajdują się grupowe zdjęcia „Rafałków” autorstwa Sylwestra Brauna „Krisa”, Stanisława Bali „Gizy”, Jerzego Tomaszewskiego „Jura” oraz innych nieznanych autorów. Fotografie zostały wykonane na ul. Tamka bądź Smulikowskiego, głównie pod numerem 6/8, gdzie na parterze w gmachu Ubezpieczalni Społecznej (dziś siedziba Związku Nauczycielstwa Polskiego) żołnierze plutonu mieli swoją kwaterę. Na zdjęciach uśmiechnięci powstańcy pozują w pełnym umundurowaniu, prezentując broń pozyskaną ze zrzutów lotniczych. Nie sposób nie zauważyć dużej integracji i łączącej ich przyjaźni.

Dowódca plutonu nie przeżył powstania, zmarł 24 sierpnia 1944 r. w wyniku ran odniesionych podczas nieudanej próby strzału z granatnika przeciwpancernego PIAT. „Rafał”, stojąc w hallu głównego wejścia gmachu Ubezpieczalni Społecznej, chciał zniszczyć niemiecką placówkę na przyczółku mostu średnicowego. Wystrzelony pocisk odbił się od żelbetowej belki znajdującej się nad oknem i spowodował eksplozję w hallu. Odłamki trafiły „Rafała” w tętnicę nad obojczykiem. Zmarł kilka minut później. W opublikowanym wspomnieniu w „Barykadzie Powiśla” z 27 sierpnia 1944 r. redaktor napisał o nim: „Doskonały dowódca i żołnierz, brat i przyjaciel dla towarzyszy broni. [...] Opanowany, ujmujący i koleżeński, przyciąga do siebie serca, wzbudza ciągły zapał”. Po śmierci Potulickiego dowódcą „Rafałków” został ppor. Aleksander Michalak „Olczak”. Po upadku Powiśla żołnierze plutonu do końca powstania walczyli w Śródmieściu. Wyszli do niewoli 5 października 1944 r.

FOT. SYLWESTER BRAUN „KRIS”, MM ZE ZBIORÓW MPW



Materiał przygotowany przez zespół Muzeum Powstania Warszawskiego

Muzeum Powstania Warszawskiego

REKLAMA IV OKŁADKA | 54/0722/F

Wspólnie

dla zielonej energii w Polsce



Myślimy o przyszłości. Chcemy zapewnić klientom dostęp do czystej energii

Jesteśmy jednym z liderów zielonej energetyki w Polsce. Jako część Grupy ORLEN realizujemy ambitny plan zmniejszenia o 33% emisyjności wytwarzanej energii. Dążymy do tego m.in. poprzez rozwój OZE na lądzie i udział w projektach morskich farm wiatrowych. Dbamy o równowagę między zapewnieniem bezpieczeństwa energetycznego, a troską o nasze otoczenie.

Zrównoważony rozwój. Z szacunkiem dla środowiska.

Wspólnie dla EKOLOGII

Energa GRUPA ORLEN

eprasa.pl e7783acae2